



HI LARY NORMAN NIEBEZPIECZNA ZABAWA

Tytut oryginału RALPH'S CHILDREN

Pragnę podziękować wszystkim wymienionym osobom: Howardowi Barmadowi, Jennifer Bloch, Sheenai Craig, Aishi Faruqi, Sarze Fisher, Howardowi Greenowi, Peterowi Johnstonowi, Helmutowi Peschowi, Helen Rose, Rainerowi Schumacherowi, Richardowi Spencerowi, doktorowi Jonathanowi Tarłowowi.

TLR

Zazwyczaj w dzieciach widzi się jedynie niewinność, a ich pełne wyobraźni i inwencji zabawy traktuje się z przymrużeniem oka. Zdarza się jednak, że niektóre dziecięce igraszki dalekie są od niewinności.

Bywa, że w dzieciach odzywają się najprymitywniejsze instynkty i wejście w świat dorosłych niczego nie zmienia.

TLR

Dla Jonathana

TLR

PROLOG

Po zgaszeniu światła więźniowie zazwyczaj kładą się do łóżek.

Jednak dziś wieczór jakieś nieokreślone, natrętne dźwięki uniemożliwiały im odpoczynek. Z cel dochodziło pojękiwanie, natrętny kaszel, odgłosy spluwania i szamotaniny, krzyki...

Leżący na pryczy więzienia w Oakwood Alan Mitcham, były nauczyciel, po raz setny myślał o dniu, w którym ława przysięgłych mu uwierzy, bo nie obrażał sobie, aby stało się inaczej.

Przecież jestem niewinny, powtarzał wciąż sobie.

Prześladujące go koszmary sprowadziły bezsenność. Teraz obawiał się także nocy i obcych, których widział we śnie. To przez nich wylądował w zamknięciu. To oni chcą go zniszczyć.

A wszystko wyglądało na wielkie nieporozumienie.

Tamci wołali na niego Bestia. Powtarzali to w kółko.

Bestia.

Ja wam jeszcze pokażę, odgrażał się dręczycielom...

Lecz jego czas dobiegł końca. Wybiła ostatnia godzina.

Wszystko stało się tak nagle, że nawet nie zdążył zareagować.

Najpierw pojawił się ten nieznany, dziwny hałas.

To coś nowego.

Ktoś otworzył drzwi celi.

-Co... - wyrzucił z siebie, zanim coś zatkało mu usta.

I było to ostatnie słowo Alana Mitchama. Jego czas minął na zawsze.

Ktoś wcisnął mu w gardło szmatę cuchnącą potem i moczem. Ktoś inny przygwoździł ręce i nogi do materaca. Nieszczęśnik szarpnął się, ale bez rezultatu. Po chwili zrobiło mu się niedobrze.

Co za odrażająca śmierć, pomyślał. To musi być sprawka samego diabła.

- To wiadomość dla ciebie, Bestio - usłyszał jeszcze. A więc to oni, pomyślał w agonii.

- Załatwione - stwierdził ten sam męski głos. To oni.

TLR

Artykuł z „Oxford Examiner” z 4 sierpnia:

Wczoraj rano w więzieniu w Oakwood znaleziono zwłoki nauczyciela, Alana Mitchama, oskarżonego w zeszłym miesiącu o napad z bronią w rękę na kiosk w Summertown.

Pomimo niepodważalnych dowodów Mitcham cały czas twierdził, że jest niewinny. Utrzymywał, że został zmuszony do skierowania broni przeciwko Sanjit Patel przez przetrzymujących go napastników. Ława przysięgłych uznała go jednak za winnego i skazała na dziesięć lat pozbawienia wolności.

Rzecznik prasowy więzienia poinformował, że jeszcze nie ustalono przyczyny śmierci.

TLR

NIECO WCZEŚNIEJ

TLR

GRA

Wieczorem, dziesiątego października, w pokoju nad knajpą „Czarny Kogut” zebrało się kilka osób. Z ustawionego na stoliku głośniczka dobiegał głos przywódczyni grupy, która kazała mówić do siebie Ralph.

- Tym razem nie obejdzie się bez załatwienia drania.

Za ciemnym oknem deszcz zasnuł okolice Berkshire. W taką pogodę najlepiej zostać w ciepłym i przytulnym domu.

Pokój, w którym słuchano Ralph, wcale nie wyglądał na przytulny. Wypełniały go bure, obskurne meble, a do tego był tak mały, że ledwie mieściły się w nim cztery dorosłe osoby. Jednak członkowie grupy spotykali się już w gorszych miejscach i nie zwracali uwagi na niewygodę. Zgodnie z regułami wszyscy przybyli na spotkanie inicjujące nową rozgrywkę. Brakowało jedynie Ralph, która choć ich tu wezwała, nie zjawiała się osobiście.

Początkowo zbierali się w neolitycznym kopcu grobowym Wayland's Smithy. Teraz nie czuli się tam bezpiecznie i nie korzystali już z tego miejsca. Jeszcze dziesięć lat temu wspólnie spędzali całe dnie. Obecnie widywali się znacznie rzadziej, ale ich spotkaniom zawsze towarzyszyło ożywienie.

To były najważniejsze dni w życiu każdego z członków grupy.

Jednak na pierwszym miejscu zawsze stawiali grę.

- To nic nowego - zauważył Prosiaczek i mimo że nie uczestniczył w samym finale ostatniej akcji, aż zadrżał na jej wspomnienie. Wydawane przez kneblowanego Mitchama odgłosy i jego przerażona twarz nie dawały mu spokoju nawet w nocy.

- Nie mieliśmy wyjścia. To była konieczność - przypomniała Ralph.

- Właściwie trudno brać to na siebie - wtrąciła Simon.
- A jednak mówimy o sobie - zaraz poprawiła ją Ralph. -Przecież wiesz, że wszystko idzie na nasz rachunek.
- A z ciebie ciągle takie zasrane niewiniątko, Simonko -rzucił Jack.
- Przecież wszyscy mieliśmy opory, prawda? - usłyszeli głos Ralph.
- Niezupełnie - zauważyła Roger.
- Tak, tak. Oczywiście ciebie to nie dotyczy - skwitował Jack.
- Ja byłem przerażony - przyznał Prosiaczek.
- Ty w ogóle jesteś strachliwy - podsumował tamten.
- Nie tylko on się bał - broniła kolegi Simon.
- Czy ktoś jest przeciw kolejnej grze? - Ralph przerwała tę utarczkę.

W pokoju zapadła głucha cisza. Jak zawsze w takich chwilach członków grupy sparaliżował strach.

- Tym razem będzie niespodzianka, ale najpierw każdy z was musi się zgodzić na udział w zabawie.

Ciasny pokoik nad pubem niedaleko Childrey zarezerwowała dla nich Ralph. Nocować w nim miała tylko Simon, i to wyłącznie po to, aby nie wzbudzać podejrzeń, bo i ona mogła szybko wrócić do domu. Wcześniej Jack kupił w Carphone Warehouse w Didcot nowy zestaw głośnomówiący. Odłączył stary telefon od gniazdka w odrapanej ścianie i podłączył nowy.

Wszyscy zamilkli, serca biły im szybko, usta wyschły. Czekali w napięciu, aż Ralph opowie im o nowej grze, ciekawi, co będzie w niej niezwykłego.

KATE

- Daj mi spokój, Robercie. Nie mam już do ciebie siły - z wyjątkową goryczą powiedziała Kate Turner do męża, z którym pomimo separacji umówiła się w przytulnej restauracji „Barani Udziec” na „przyjacielskie” spotkanie. Zaraz też pożałowała swoich słów, ale oczywiście było już za późno. Rob właśnie wychodził, a ona, zachowując kamienną twarz, z trudem wstrzymywała łzy.

Trochę przesadziłam, wyrzucała sobie.

A dlaczego tak się stało?

Prawdę mówiąc, z ważnych dla Kate osób nie tylko Robert stał się ostatnio ofiarą jej podłego nastroju, nieodłącznie związanego z napięciem przedmiesiączkowym.

Wcześniej dostało się Richardowi Firemanowi, redaktorowi z „Reading Sunday News”, gdzie Kate zamieszcza cotygodniowy felieton pod tytułem „Zapiski krewkiej babki”. Tego dnia, zaraz po przyjściu do redakcji, Richard wezwał ją do siebie. Chciał omówić przesłany mu rano materiał na temat Bożego Narodzenia. Niestety przy okazji spotkania Kate wylała na szefa kubek pomyj, co o mały włos skończyłoby się jej zwolnieniem.

Prawdę mówiąc, nigdy nie lubiła świąt. To z powodu matki, która na okoliczność Gwiazdki piła znacznie więcej niż normalnie, co zawsze doprowadzało do awantur z ojcem, Michaeliem. Przy czym „normalna” dawka alkoholu pochłanianego przez matkę i tak była ogromna. Po Bel Olivier Kate odziedziczyła kasztanowe loki, piwne oczy, małe piersi i niski, ostry głos. Po latach świąteczna atmosfera wymuszająca konieczność pozostania w domu zaczęła wyprowadzać ją z równowagi.

W tym roku Kate czuła się wyjątkowo kiepsko. Jej małżeństwo się rozpadło, a kłótnie rodziców nie ustawały. Z prawdziwą trwogą oczekiwała grudniowych rytuałów. Być może właśnie dlatego przeniosła swój podły nastrój na treść felietonu.

- Cholera jasna, Kate! Twój tekst wkurzy każdego, zanim jeszcze pomyśli o świątecznym stole - usłyszała na powitanie.

Fireman był przysadzisty i niski, a jego okrągłą, zadziwiająco chłopięcą twarz okalały przerzedzające się jasne włosy. Nosił staromodne okulary. Urzędował w zagraconym gabinecie; jedynie na biurku przy komputerze utrzymywał wzorowy porządek.

- To miał być zabawny koktajl zaprawiony odrobiną ironii - zaczęła.

- Może i tak, ale zupełnie ci to nie wyszło - podsumował.

- Prawdę mówiąc, twój artykuł do niczego się nie nadaje. Każdy może napisać byle co o świętach, ale ty przekonujesz nas, że szczerze ich nienawidzisz.

- To prawda - rzuciła i jakoś zwilgotniały jej oczy. Fireman zorientował się, co go czeka i wykrzyknął: -Tylko nie to!

- Lepiej nic nie mów - ostrzegła Kate. - Zaklinam cię! Richard jedynie wzruszył ramionami i patrząc w monitor komputera, polecił Kate napisać nowy felieton.

- Mam wszystko pisać od początku? - zapytała wściekła.

- Przecież niektóre kawałki są naprawdę fajne.

- To raczej połączenie podręcznika proktologa z opisem usług zakładu pogrzebowego.

- Więc masz w czym wybierać! - odgryzła się, broniąc swego.

Dalsza dyskusja przypominała już tylko samobójczy lot kamikadze, aż nagle Kate rzuciła się do biurka z zamiarem wykasowania całego tekstu z komputera Firemana. A trzeba wiedzieć, że nikomu nie było wolno nawet zbliżyć się do tej maszyny. Dopiero gdy oprzytomniała, zdała sobie sprawę z tego, jakiego ma wy-

rozumiałego szefa i jakie to szczęście, że Richard miał słabość do jej tekstów. W przeciwnym razie już lądowałyby na bruku, nie mając za co zrobić jakichkolwiek zakupów przez najbliższe dwadzieścia parę dni...

Zwierzyła się mamie przez telefon z zajścia w redakcji i dowiedziała się tylko, że sama jest sobie winna.

- Nie sądziłam, że usłyszę od ciebie coś takiego - odpowiedziała.

- Bo widzisz... - kontynuowała matka - ...z tobą zawsze tak było, że... - Bel Oliver nie miała jednak możliwości dokończyć zdania, bo córka rzuciła słuchawkę. Kate nie zamierzała wysłuchiwać czyichkolwiek kazań.

W latach swojej młodości Bel Oliver tworzyła wystrzałowe kreacje dla kilku stałych klientek, dwie rzeczy jednak zniszczyły jej karierę. Po pierwsze: zbyt duża słabość do wina i koktajli, a po drugie: nieprzewyciężona chęć, aby swoją pracą pognać męża, wywołać w nim poczucie winy i beznadziejności. Po rozpadzie małżeństwa większość ich wspólnych znajomych spotykała się tylko z Michaeliem. Gdyby nie Sandra West, wdowa, którą poznała na zajęciach terapeutycznych dla osób cierpiących na depresję, Bel nie miałaby nawet z kim rozmawiać. Chociaż Kate nie lubiła Sandry - z pozoru nieśmiałej, lecz w rzeczywistości natrętnej, i do tego choleryczki, matka potraktowała zjawienie się nowej przyjaciółki jak prawdziwe wybawienie.

- Sandi wierzy we mnie i w mój talent - często powtarzała córce.

- Nic dziwnego, przecież jesteś zdolna - odpowiadała wtedy Kate.

Sandra głośno nazywała Michaela głupcem, który nie wie, co stracił, opuszczając żonę, a Kate wyrodną córką, bo ta nie przyjęła osamotnionej matki do siebie. Bel wychwalała przyjaciółkę, która mimo dolegliwości kręgosłupa i problemów finansowych zawsze znajdowała dla niej czas.

- Nie wiadomo, o co właściwie chodzi tej Sandrze - powiedziała kiedyś Kate do ojca.

- Nie martw się, mama da sobie radę - usłyszała w odpowiedzi.

Chociaż Kate nie miała co do tego wątpliwości, coraz częściej zastanawiała się nad rolą Sandry w rozpadzie małżeństwa rodziców. Matka poznała ją niemal w przeddzień rozstania z ojcem. Czasami Kate podejrzewała nawet, że pani West zadurzyła się w Bel. Kate pogodziłaby się nawet z takim obrotem spraw, byle tylko matka znów poczuła się szczęśliwa.

Wolałaby jednak, aby nie było to dzięki Sandi.

Michael Oliver wziął na siebie winę za wszystko.

- Muszę przyznać, że nie jestem tym samym facetem, za którego przed laty wychodziła twoja matka - powiedział kiedyś niespodziewanie.

Kate właściwie zgadzała się z tymi słowami. Wysoki i wciąż atrakcyjny, szarooki Michael miał już włosy przyprószone siwizną. Był zdolnym adwokatem, ale przed laty zdecydował się porzucić praktykę. Jak wówczas powiedział: dlatego że Temida zbyt często się myliła.

- Przecież zawsze o tym wiedziałeś - odparła wówczas Bel.

- Zgadza się, ale dopiero teraz zaczęło mi to przeszkadzać.

- Nie pleć bzdur.

Michael był tak dalece rozczarowany tymi słowami, że całkowicie odsunął się od żony. Od tamtego dnia skupił się wyłącznie na wychowaniu córki.

- Nie zniósłbym tego, że mogłabyś mi wypominać rozstanie z mamą - mówił teraz do Kate.

- To raczej ona mogłaby mieć do ciebie pretensję, nie ja.

- To prawda, ale wiem, że ciężko to przeżyłaś.

- Jasne. Przecież kocham was oboje.

- No tak, miłość... - zauważył z ironią - .. błogosławieństwo czy przekleństwo?

- Wszystkiego po trochu - odparła Kate. Od razu pomyślała też, że wykorzysta przewrotne pytanie ojca na samym wstępie swojego cotygodniowego felietonu.

Kate kochała rodziców i Roba, ilekroć jednak zbliżał się jej okres, zawsze łąpała doła. Robiła się wtedy tak drażliwa i zrzędna, że trudno było z nią wytrzymać. Serdecznie nienawidziła tego stanu.

- Ale ze mnie podła suka - wyznała kiedyś mężowi. - Przecież ty tak wspaniale znosisz wszystkie moje awantury.

Ich szczęśliwe małżeństwo trwało jeszcze dwanaście miesięcy.

Istotnie, była wtedy szczęśliwa. Wspominała beztrioskie dzieciństwo w Henley, studia dziennikarskie w Sheffield i staż w „Sunday News”, gdzie trafiła na Richarda Firemana, życzliwego zwierzchnika lubiącego jej rozgadany styl i szerokie zainteresowania publicystyczne. Miała też dużo szczęścia, bo znalazła kawałkę w pobliżu redakcji.

- Nie chcesz pracować w Londynie? - dziwiła się Abby Wells, koleżanka ze studiów, gdy Kate zdecydowała się pozostać w Reading.

- Co ty! Nigdy nie odważyłabym się pisać w stołecznej prasie.

- To do ciebie niepodobne - Abby nie dawała za wygraną. - Kto inny jeśli nie ty potrafi zjednać sobie otoczenie, a zwłaszcza szefów, którzy na pewno nie będą ci się mieszać do tekstów.

- Tak było na uniwerku i jeżeli wszystko się uda, to może tak samo będzie w Reading - odparła Kate i pomyślała, że lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.

Ukoronowaniem jej marzeń o szczęściu stało się spotkanie z młodym nauczycielem języków obcych w szkole w Reading, o której przygotowywała artykuł. Rob Turner od razu zakochał się w młodej dziennikarce o rudawych włosach i poważnym spojrzeniu. Ona odpowiedziała równie gorącym uczuciem. Jej wybrany był uśmiechniętym, wysokim mężczyzną o kasztanowych włosach, niebieskich oczach i bystrym umyśle. Już po pierwszej rozmowie Kate wiedziała, że Rob uwielbia dzieci, a wolny czas najchętniej spędza na konnych przejażdżkach. Wysłuchiwała też opowieści o dramacie, jaki przeżył cztery lata temu, kiedy Penny, jego była żona, porzuciła go i wraz z dziewięciomiesięczną córeczką przeniosła się do Manchesteru.

- Jak mogła tak postąpić? - pytała wstrząśnięta Kate. - Dlaczego? - drażyła temat, chcąc znać całą prawdę, zanim kompletnie zadurzy się w swoim rozmówcy.

Robert chwilę zwlekał, po czym wyjaśnił:

- Po prostu, ona potrzebowała męża, aby urodzić. Wcale nie piała z zachwytu na mój widok. Jak się potem wyraziła, chciała, aby dziecko miało w miarę przyzwoitego ojca - wyjaśnił z dezaprobatą. Po chwili milczenia mówił dalej: - Penny nie lubiła mojego towarzystwa i z trudem znosiła wspólne życie. Właściwie to w ogóle nie tolerowała mężczyzn. Najwidoczniej od samego początku planowała rozwód i tylko wyczekiwała na właściwą chwilę.

- Kiedy ci o tym powiedziała?

- W dniu wyjazdu.

- O, nie! - jęknęła Kate.

- Właśnie tak - skwitował gorzko. - Choć z drugiej strony, gdyby od razu wyjawiała swoje zamiary, to pewnie nigdy nie przyszłaby na świat Emily. I choć Penny, odchodząc, postawiła mi bardzo trudne warunki, to już wolę taką sytuację, niż w ogóle nie mieć córki.

- Okrutna kobieta - uznała Kate.

- Jednak dba o dziecko.

- Pozbawiła córkę ojca - Kate nie dawała za wygraną.

- Staram się, aby Emily wiedziała, że nim jestem.

- Przecież nie o to chodzi.

- Masz rację, ale nic więcej nie mogę zrobić.

Wtedy po raz pierwszy objęła Roberta, a ten zaproponował, że Kate może porozmawiać z Penny, jako że ta obiecała, iż potwierdzi jego opowieść każdej kobiecie, którą jej były poważniej się zainteresuje.

- Widzę, że nawet masz referencje - zażartowała Kate.

- Tak jakby.

- Dobrze wiedzieć, ale nie będą potrzebne.

Kate sądziła, że resztę życia spędzą razem.

Było im ze sobą bardzo dobrze. Zamieszkali w typowym dla okolicy wiejskim domu położonym między Sonning Common a Kidmore End i uzupełniali się wzajemnie. Co miesiąc Rob z całego serca współczuł małżonce, nie zwracając uwagi na jej wredne zachowanie. A ona stawała się taką jędzą, że niekiedy szczerze żałowała, że Rob nie ma jakiegś równie paskudnej przypadłości lub zwyczaju, ale nie miała się do czego przyczepić.

Byli dobrym małżeństwem

A potem wszystko się skończyło.

TLR

LAURIE

Laurie Moon z uwagą oglądała namalowany przez siebie portret. To była jej najlepsza praca w tym miesiącu. I zarazem najważniejsza, bo właśnie skończyła malować prezent dla swojego syna. Żywe barwy przedstawiały ją wraz z Samem w lunaparku, z nieodłączną w takich sytuacjach watą cukrową, wygranym miśkiem przytulanką i plastikową torebką, w której pływała budząca litość złota rybka. Obraz miał być pamiątką po „najfajniejszym wypadzie z mamą”, jak podsumował Sam. A skoro on tak powiedział, to znaczy, że tak było naprawdę.

Laurie zawsze robiła wszystko, aby spełnić życzenia syna. A Sam chciał naprawdę niewiele. Przede wszystkim pragnął miłości. Wciąż garnął się do matki i chciał spędzać z nią jak najwięcej czasu. Jednak właśnie tego nie mogła mu zapewnić.

Jej obrazy zawsze podobały się małemu. Był ich największym wielbicielem. Choć ciąża nie zrobiła na Laurie najmniejszego wrażenia, to wizja wychowywania dziecka przeraziła ją nie na żarty. Opiekunowie i nauczyciele zmuszali Sama do jedzenia brukselki, kapusty lub marchewki albo do studiowania map. A on nie znosił ani kolorowych warzyw, ani oglądania atlasów geograficznych. Gdy jej odwiedziny wypadały w dniu, w którym Sama spotykały takie właśnie nieprzyjemności, powitanie obojga było znacznie cieplejsze niż zwykle. Jednak patrząc na syna, Laurie odczuwała wtedy raczej ulgę niż radość ze spotkania.

Laurie wiedziała, że w ośrodku dla upośledzonych dzieci Rudolf Mann House, w którym mieszkał i uczył się Sam, dbano o niego należycie. Pobyt chłopca w tej placówce był finansowany w całości przez Petera i Michele Moonów - dziadków Sama. Przyjaciele mówili do nich Pete i Shelly i uważali oboje za najlepszych ludzi na świecie. Dziadek Sama był wcześniej właścicielem sieci warsztatów samochodowych w Essex, ale teraz nikt już o tym nie pamiętał i cała rodzina mogła

w spokoju hodować konie we wspaniałej posiadłości położonej niespełna dwa kilometry od drogi łączącej Henley i Wallingford w hrabstwie Oxfordshire.

Pete i Shelly zawsze chętnie pomagali potrzebującym. Byli miłymi sąsiadami, kochali konie i uwielbiali tutejszą okolicę.

- Mieliliśmy naprawdę szczęśliwe życie - mawiał Pete. Wszyscy znajomi byli tego samego zdania. Państwo Moon

mieli syna, Andrew, znawcę koni, który pracował z ojcem. Żona Andrew, Sara, prowadziła księgi rodzinnego interesu. Andrew, Sara i ich dzieci mieszkali w Moulsoford. Jasnowłosa córka państwa Moon, Laurie, też pracowała w stadninie, jednocześnie studiując malarstwo. Ci spośród sąsiadów, których domy już namalowała, chwalili jej talent.

Parę lat temu Laurie wyjechała na dłużej do rodziny we Francji. W okolicy plotkowano, że dziewczyna została tam wysłana, aby mogła urodzić nieślubne dziecko z dala od rodzinnego domu lub z powodu zadurzenia się w chłopcu, którego nie akceptowała rodzina, ale rodzice wszystkiemu zaprzeczali. Ludzie wiedzieli jednak swoje i uznali, że z chłopaka musiał być niezły gagatek, skoro znani z tolerancji Moonowie podjęli tak stanowcze kroki.

- Musisz się z tym pogodzić - usłyszała Laurie od ojca przy niedzielnym śniadaniu.

Rodzice czuli się niezręcznie, nie zamierzali jednak zmieniać swojej decyzji. Shelly jak zawsze wyglądała wspaniale, lecz zaciśnięte usta i zmrużone oczy zdradzały zdenerwowanie.

Ojciec opuściwszy nieco modne okulary, popatrzył prosto w oczy Laurie.

- O nie których sprawach się nie dyskutuje - dodała matka. Michele zazwyczaj przyznawała mężowi rację. I wcale nie czuła się przez niego zdominowana. Pete był po prostu mądrym człowiekiem, który zręcznie poprowadził ich małżeństwo przez trudy życia.

- Robimy to właśnie dlatego, że cię kochamy i pragniemy twojego szczęścia - kontynuował ojciec.

- Zawsze mieliśmy na względzie twoje dobro, dziecinko - ponownie wtrąciła matka.

Dziecinko. Nic nie znaczący zwrot. Mówiła tak do niej tysiące razy, jednak teraz to słowo wywoływało u Laurie mdłości. Przymilająca się matka. Dziecinka.

W sporach z rodzicami Laurie zaciekle broniła swojego stanowiska. Zdzierając sobie gardło i szarpała nerwy, aż zrozumiała, że niczego nie wskóra, i odpuściła. Próbowwała jeszcze wziąć ich na spokój i opanowanie, jakie ostentacyjnie zaczęła okazywać. Miała nadzieję, że oboje znów staną się tymi wyrozumiałymi, wspańnialymi, kochającymi rodzicami, którymi byli wcześniej. Niestety, niczego nie wskórała i musiała się pogodzić z faktem, że wcześniej nie znała ich od tej strony. Laurie była po prostu za młoda i zbyt mało wiedziała o życiu, by to wszystko pojąć.

Sytuacja bez wyjścia.

Nie dałaby sobie rady.

No właśnie.

Zbyteczny patos.

Jaka to wzruszająca wymówka.

Akurat dla dziewczyny w ciąży.

Będę miała dziecko, wciąż powtarzała sobie Laurie. Mojego kochanego dziadziusia.

Nigdy wcześniej nie zdarzało jej się odczuwać takiego przypływu miłości na myśl o własnym maleństwie jak teraz. Dotychczas znała jedynie miłość swoich rodziców i rozumowała tak: skoro kochali swoją córkę, to kiedyś zrozumieją, że i ona chce poznać to uczucie. Kiedy już ojciec jej wybaczy, to zarówno on, jak i matka zrozumieją, dlaczego za wszelką cenę postanowiła urodzić.

Niestety, na razie wszyscy namawiali ją, aby pozbyła się kłopotu.

Tego kłopotu.

Sama.

To jej rodzice postanowili, że ich ósmioletni dziś wnuk trafi do tego domu dla upośledzonych dzieci. Przylegający do niego teren był bliźniaczo podobny do ich własnej posiadłości, wychowankowie mieli tam mnóstwo przestrzeni, zagrodę ze zwierzętami, place zabaw i boiska do uprawiania sportów. Ale przede wszystkim zadbano o bezpieczeństwo podopiecznych, więc Sam i jemu podobni mogli dokazywać do woli, bez przesadnego nadzoru opiekunów.

Sam spędził w tym miejscu całe życie. Wychodził stąd jedynie na badania lekarskie, zorganizowane przez opiekunów wycieczki i na wypadki z Laurie. Ten dom był całym jego światem i na razie chłopiec nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. W doskonale wyposażonej placówce pracowali oddani dzieciom pedagodzy, a podopieczni mieli własną szkołę z licznymi pracownikami, w których starszych wychowanków uczono różnych zawodów. Absolwenci szkoły mogli żyć dalej na własną rękę albo pozostać w należących do placówki samodzielnych mieszkaniach.

W zależności od stopnia upośledzenia przyszłość każdego z nich kształtowała się inaczej. Niektórzy musieli na zawsze pozostać w domu opieki. U Sama zdiagnozowano zespół Downa, na szczęście bez powikłań kardiologicznych. W dzieciństwie często łapał infekcje, lecz wszystko kończyło się dobrze. Laurie wiedziała, że ma szczęście, bo dzieci z dolegliwością Sama dużo częściej mają komplikacje z sercem po przeziębieniach niż ich zdrowi rówieśnicy.

Pamiętała, jak kiedyś jej ojciec nazwał swojego wówczas trzyletniego wnuka „szczęśliwym dzieckiem”. Choć nigdy wcześniej jej się to nie zdarzyło, chciała wtedy rozszarpać Pete'a na strzępy. W końcu uznała jego słowa za zwykłą niezręczność, bo przecież rodzice tak bardzo się starali postępować normalnie. A jednak zdarzało im się zachować jak słoń w składzie porcelany. A tu chodziło przecież o jej krew, jej ukochanego syna.

- Czy naprawdę sądzisz, że o tym nie wiemy? - pytała matka, gdy w ich domu jeszcze trwały spory.

- Gdyby było inaczej, miałabym was za niegodziwców - odparła natychmiast Laurie.

* * *

Laurie zdołała przekonać rodziców do pomysłu studiowania malarstwa. Całym sercem pragnęła malować konie, co ich martwiło. Widzieli ją bowiem na prawie lub na medycynie, a w najgorszym wypadku na weterynarii. Sterczenie przed sztalugami jawiło im się całkowitą stratą czasu i pieniędzy. Jednak pozytywna opinia wykładowców oraz bliskość Nettlebed School of Art sprawiła, że nie stawiali córce przeszkód.

Włożywszy całą swoją energię życiową w batalię o artystyczną uczelnię, Laurie miała nadzieję na spokojne życie. Wtedy wylądowała w łóżku z kolegą ze studiów, nie wiedząc, że poprzedzająca ich spotkanie niedyspozycja żołądka, spowodowana jakimś wirusem, skutecznie zneutralizowała działanie tabletki antykoncepcyjnej. Trzy dni później Mike Gilliam grzecznie oświadczył, że wprawdzie Laurie jest wspaniałą dziewczyną, ale on właśnie postanowił wrócić do swojej byłej.

- Masz rację, już się nie zobaczymy - przytaknęła, choć w rzeczywistości chciała zatrzymać tego utalentowanego przystojniaka dla siebie. Jedyne pocieszeniem była świadomość, że facet nie wiedział, jak bardzo jej na nim zależy.

Może gdyby jej ukochany był mniej przystojny, zastanowiłaby się dłużej nad usunięciem ciąży, uznała jednak, że takie rozwiązanie jest okrutne i nie do przyjęcia. Lecz przede wszystkim już wtedy oładnęła ją wspaniała świadomość bycia matką.

- Jesteśmy z tobą - zapewniali rodzice i nakłaniali córkę do swojego pomysłu, lecz Laurie twardo odmówiła.

Jej opór okazał się na tyle silny, aby państwo Moon zrozumieli, że jednak zostaną dziadkami. Postanowili wszakże usunąć córkę z ludzkich oczu.

- Jak rozumiem, wysyłacie mnie za granicę na zawsze. Skoro sąsiedzi nie mogą zobaczyć mnie z brzuchem, to nie będą mogli też zobaczyć mojego dziecka - wyrzucała rodzinie.

- Wcale nie - odparł Peter.

- Nie? - pytała zdziwiona. Pomyślała, że wszyscy mają jeszcze nadzieję, że zmieni zdanie lub liczą na cudowne poronienie. - W takim razie niech Bóg wam wybaczy - zakończyła.

Na te słowa Pete Moon spurpurowiał, a matka stała zawstydzona jak nigdy dotąd. Laurie wiedziała, że wygrała po raz drugi. Bo jak już naprawdę znajdzie się u ciotki w Prowansji, to zadba o siebie tak, żeby nie było żadnych komplikacji.

TLR

Ta podobnie dotknięta przez życie czwórka i tak by się zapewne spotkała, jednak to pewna książka scementowała ich tak mocno. Początkowo okazywali sobie wzajemnie nieufność i rezerwę, nie wierzyli nikomu i przez jakiś czas we wszystkim węszyli podstęp.

W ogóle poczucie pewności i zaufania stanowiło rzadkość w Domu Dziecka w Challow Hall. W tej placówce umieszczano dzieci z problemami wychowawczymi pomiędzy siódmym a szesnastym rokiem życia, które padły ofiarą bezduszności dorosłych i były tu kierowane zarówno przez najróżniejsze szczeble lokalnej władzy, jak i sądy rodzinne. Trafiając do Challow Hall, dzieci od razu popadały w depresję i czuły się okropnie.

Przed laty obszerny, szary, wzniesiony z kamienia dwór Challow Hall należał do zamożnego ziemianina. Wiekowy budynek stał pośród pofałdowanego terenu, nieopodal wsi Bartlet w hrabstwie Oxfordshire, około trzech kilometrów na południe od traktu Ridgeway. Przebiegający tamtędy stary, blisko stuczterdziestokilometrowy szlak komunikacyjny wił się pośród wapiennych wzgórz, łącząc Ivinghoe Beacon na wschodzie kraju z Avebury na południowym zachodzie.

Wychowankowie placówki nie zwracali jednak uwagi na otaczające ich piękno. Ponieważ nie było tu ani kina, ani centrum handlowego, większość z nich marzyła o jakimkolwiek innym miejscu, gdzie można by znaleźć prawdziwe rozrywki.

W Bartlet mieli do dyspozycji jedynie wiejski sklepik i kościół. Dzieciaki jeździły więc do Swindon, położonego przy granicy z okręgiem Wiltshire, i tu szalały na automatach do gry, zajadały się burgerami i chipsami, a w sklepach znajdowały rzeczy na tyle interesujące, że można było zaryzykować ich buchnięcie. Na nieszczęście ta kraina szczęśliwości leżała w linii prostej dokładnie dziewięć

kilometrów i sześćset metrów od Challow Hall. Bez skrzydeł lub choćby roweru trzeba było maszerować błotnistą i wyboistą ścieżką prowadzącą wśród okolicznych wzgórz, często pokonując obsiane pszenicą pola lub zarośnięte wysoką trawą ugory. A po tych męczarniach nie dochodziło się do miasta, lecz dopiero do traktu prowadzącego do Swindon.

Pomocą w trudnościach okazała się edukacja. Wychowanków placówki dowożono do podstawówki i liceum, a po lekcjach odstawiano z powrotem do Challow Hall. Marzący o zakosztowaniu wolności śmiałkowie znajdowali się więc codziennie w pobliżu przystanku autobusowego. Kto się nie bał kary, korzystał z okazji. Dokuczająca dzieciom nuda potrafiła ośmielić nawet mniej odważnych i żadne zakazy nie zdołały powstrzymać amatorów rozrywki.

Treść tej książki na zawsze zmieniła całą czwórkę.

Któreś z nich znalazło sfatygowany egzemplarz taniego wydania powieści w autobusie numer 47 i wzięło go ze sobą. Dewiza „znalezione to nie ukradzione” była powszechna w Challow Hall.

Teraz, zebrani w dawnym ogródku, który dziś pełnił funkcję zaniedbanego boiska, słuchali dziewczyny, która znalazła książkę i czytała na głos dedykację na okładce:

- „Dla mamy i taty”.

Rudy chłopak parsknął z odrazą, a jego piegowaty kolega dodał:

- Gdybym to ja coś miał napisać, moi starzy byliby ostatnimi ludźmi, którym chciałbym skrobnąć takie słowa.

- Mówi się „zadedykować” - poprawiła go wysoka Mulatka. To ona znalazła książkę.

- Jeżeli masz fajnych rodziców, to można tak zrobić - wtrąciła ładna, jasnowłosa dziewczyna.

- Albo gdy już nie żyją - zauważył szczupły chłopiec i zarumienił się od razu.

-Najpierw w ogóle trzeba mieć starych - podsumował rudzielec.

-Czy to jakaś fantastyka? - dopytywała się jasnowłosa. Pochyliła się nad książką i przyglądała się jej uważnie. - „Władca much” - przeczytała tytuł i dodała: - To pewnie coś jak ten film, w którym rośliny zjadają niewidomych ludzi.

- To był „Dzień Tryfidów” - sprostowała Mulatka i odwróciwszy książkę, wyrokowała: - Wygląda na coś interesującego.

-Daj spokój! - rzucił z odrazą rudowłosy.

-To jest dobra książka. Piszą tu, że to opowieść o dzieciach i zabijaniu. - Mulatka zakończyła dyskusję i zaczęła czytać na głos.

* * *

Ku zdziwieniu zebranych treść powieści pochłonęła ich tak bardzo, że nikt nie pomyślał o powrocie do swojej sali ani nawet nie ziewnął. Zasluchani, poznawali przygody grupy swoich rówieśników, których samolot trafił w rejon walk, został strącony i rozbił się na bezludnej wyspie, gdzie nikt nie mógł komenderować dziećmiakami.

-Super! - zareagował żywo jeden ze słuchaczy.

-Zamknij dziób! - skarcono natychmiast nerwusa. Dziewczyna kontynuowała czytanie, zmieniając intonację

głosu w zależności od zwrotów akcji. Jeszcze nigdy żadne z nich z własnej woli niczego nie przeczytało, ale to, co teraz słyszeli, z wielką siłą oddziaływało na młodą wyobraźnię. Gdy przyszła pora wracać do ośrodka, już myśleli o kolejnych rozdziałach powieści.

To była ucieczka od rzeczywistości.

Po drugim spotkaniu uznali, że trzeba znaleźć takie miejsce, w którym nikt im nie będzie przeszkadzał.

-A może w grobowcu? - zaproponowała dziewczyna czytająca książkę.

Otoczenie, które wskazała, miało jeszcze bardziej spotęgować oddziaływanie powieści.

Wayland's Smithy, neolityczny kopiec grobowy, znajdował się przy historycznym trakcie Ridgeway. Otaczały go skalne bloki pochodzące sprzed pięciu tysięcy lat. Do naszych czasów przetrwały tylko część komory grobowej i prowadzący do niej korytarz. Wychowankowie Challow pojechali tam na wycieczkę niecały rok temu i z niechęcią słuchali przewodnika, który mówił o prehistorycznych szczątkach ludzkich, a potem opowiedział jakąś dziwną i nudną legendę o zagubionej końskiej podkowie.

- Będzie super - zgodzono się jednogłośnie.

Już sam fakt, że kiedyś składano tam zwłoki, czynił z kurhanu miejsce intrygujące. Poza tym kopiec znajdował się z dala od domu dziecka, więc nikt stamtąd nie będzie im przeszkadzał.

W Challow Hall obowiązywał zakaz opuszczania budynku po zmierzchu. Ale Wayland's Smithy znajdowało się dość daleko od dworu i nie było miejscem dla ludzi o słabych nerwach.

Gdy tylko w pokojach zgaszono światło, konspiratorzy zwinęli ręczniki i włożyli je pod kołdry, aby udawały sylwetki śpiących. Podstęp mógł się udać, bo nocne kontrole były bardzo pobieżne. Po prostu opiekunowie starali się jak najszybciej wrócić przed telewizor lub do przerwanej kolacji. Teraz uczestnicy wyprawy, wyposażeni w cztery latarki, z których dwie kupili, a dwie komuś podwędzili, sunęli w ciszy pośród wapiennych wzgórz. Na miejscu zgasili latarki i zapalili zwinięte z kuchni świece.

- Ale mam stracha - oznajmiła jasnowłosa dziewczynka, gdy znaleźli się w korytarzu grobowym, gdzie panowały egipskie ciemności.

- Nic się nie bój. - Piegus starał się podtrzymać na duchu koleżankę.

- Niezła jazda! - zawyrokowała druga z dziewcząt.

- Zajebista sprawa! - krzyknął rudzielec i nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Wtedy usłyszeli echo, które odbiło się od prehistorycznego sklepienia i pomknęło ku strzegącym wejścia monolitom, a potem, przedzierając się przez pobliskie buki, wystrzeliło prosto w nocne niebo.

-No to zaczynamy - zakomenderowała wyższa z dziewczynek.

Nocne wyprawy stały się ich rytuałem. O ile turyści mogli zwiedzać to miejsce, a nawet latem biwakować opodal kopca w ciągu dnia, o tyle sama komora grobowa należała wyłącznie do nich. Tam obcykiwali książkę, jak nazywali między sobą poznawanie całkiem nowego świata opisanego na ponad dwustu stronach. A czytali teraz wszyscy po kolei, ze wszystkich sił starając się jak najlepiej wcielić w rolę. Wreszcie, podekscytowani jak nigdy dotąd, doszli do końca i odłożyli książkę na bok.

I wtedy zaczęło się coś ważnego.

Rozpoczęła się gra.

TLR

KATE

Nawet teraz, niemal rok po bolesnym rozstaniu z Robem, Kate tak naprawdę nie wiedziała, co spowodowało kres ich związku.

W styczniu wieść o jej ciąży przyniosła obojgu radość, ale już w kwietniu Kate przeżyła załamanie, gdy odebrała wyniki analizy krwi. Okazało się, że poziom alfafetoproteiny jest zbyt wysoki.

W przychodni nalegano, aby na kolejną wizytę lekarską przyszła z mężem, ale z uwagi na zbliżającą się Wielkanoc Rob musiał tego dnia wziąć udział w jakimś zebraniu w szkole, więc nawet mu o tym nie mówiła. Nie chciała bez potrzeby go niepokoić, lecz później uznała, że było to zwykle chowanie głowy w piasek. Po prostu sądziła, że wysłuchawszy złych wiadomości bez męża, może udawać, że ich w ogóle nie było.

Po powrocie z pracy Rob jak zwykle ucałował żonę na powitanie, po czym rzucił przyniesione ze sobą papierzyska na jasny, dębowy stół w jadalni, gdzie zazwyczaj pracował (właściwie ten pokój już dawno zamienił się w jego gabinet). Wtedy Kate opowiedziała mu wszystko.

- Co to właściwie znaczy? O co chodzi z tym białkiem? - zapytał.

- To oznacza, że coś jest nie tak, jak trzeba. - Ze wszystkich sił starała się zachować spokój.

- Z tobą? - spytał zaniepokojony.

- Nie - odrzekła, a Rob usiadł przy stole, tępo wpatrując się w przyniesione papiery. - Ale to oznacza - mówiła z wyraźnym wysiłkiem - że nasze dziecko może mieć...

- Jeśli to nic pewnego, to może nie warto się nad tym zastanawiać - przerwał jej.

Zdziwiona reakcją męża Kate uznała, że w taki właśnie sposób Rob chce uciec od problemu i zebrawszy całą odwagę, oznajmiła:

- Choć to jeszcze nic pewnego, nasze dziecko może przyjść na świat z rozszczeniem kręgosłupa lub...

- Dosyć! - Rob nie wytrzymał.

Kate sięgnęła po krzesło i usiadła obok męża.

- Chciałabym, abyśmy na następną wizytę poszli razem. Co dwie głowy, to nie jedna - nie dawała za wygraną, kładąc dłoń na blacie stołu. Oczekiwała, że Rob weźmie ją za rękę, ale tak się nie stało. - Po następnym USG będziemy wiedzieć więcej.

- Przecież widzisz, ile mam roboty - bronił się z zaciętym wyrazem twarzy. Sprawiał przy tym wrażenie, jakby nie rozumiał powagi sytuacji.

Zaskoczona jego podejściem Kate pragnęła usłyszeć jasną deklarację. Musiała być pewna, że mąż jednak zrozumiał, o czym rozmawiają, i pragnęła widzieć przed sobą ukochanego mężczyznę, a nie zamykającego się w sobie obcego.

- Musisz tam być - rzuciła.

- Nie! - Robert podniósł głos. Kate nie wierzyła własnym uszom. - Wybacz mi - zreflektował się zaraz - ale nie chcę już o tym rozmawiać.

- Za to ja chcę. Słucham. Co masz do powiedzenia?

- Odmawiam wszelkiej dyskusji na ten temat!

- Jeżeli nie teraz, to może... - Kate nie wytrzymała i załkała. - Gdyby jednak...

- Daj już spokój, proszę cię - przerwał jej Robert. Kate wmawiała sobie, że przejdzie mu, gdy tylko pogodzi

się z tym, co usłyszał. A skoro po burzy zawsze świeci słońce, to może ostatnia konfrontacja nawet zbliży ich do siebie. Pamiętała przecież, jak ciężko Rob przeżywał rozstanie z Emmie i przez kilka dni nie wracała do tematu.

Jednak oczekiwane zmiany nie zaszły. Tamten wspaniały, inteligentny mężczyzna, za którego wychodziła przed dwoma laty za męża, nagle zniknął. Teraz widziała jedynie zaciśnięte usta i upór. Nawet gdy wyblagała rozmowę o przyszłości, był to jedynie jej monolog. Rob ani nie słuchał, ani nie wykladał swoich racji. Po prostu siedział bez słowa i tyle.

- Dlaczego właśnie ja? Przecież to takie niesprawiedliwe - narzekała Kate.

- Nie rozmawiajmy o czymś, co się nie wydarzy - odpowiedział wtedy.

- A jeśli badanie wykaże u naszego dziecka jakieś wady?

- Miałem na myśli coś innego - poprawił żonę.

- Przecież powiedziałeś, że...

- Mówiłem o usunięciu ciąży. A o tym nie będziemy dyskutować.

- Mam nadzieję, że nie będzie takiej konieczności. To jest ostateczność, ale gdyby u dziecka wykryto chorobę, w wyniku której miałoby cierpieć albo... - Kate pochwyciła spojrzenie męża i urwała. Jego niebieskie oczy nie miały w sobie ani trochę zwykłej czułości. Teraz przeszywał ją paraliżująco zimny wzrok Roberta.

- Chyba niczego nie rozumiesz - zaczął. - Cokolwiek powiedzieliby lekarze, nigdy nie zgodzę się na zabieg.

Kate nieomal wpadła w histerię.

- Nie poznaję cię, Robercie. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, a ty wygadujesz jakieś wiktoriańskie bzdury.

- Jestem ojcem.

- No i co z tego! - natarła. - A nie pomyślałeś o mnie? Przecież to ja jestem w ciąży i to ja mam zostać jego matką!

- Czyżbyś nie rozumiała, że dywagujesz o zabiciu naszego dziecka? - nie ustępował. - Coś mi się wydaje, że w ogóle cię nie znałem.

Kate znalazła się w potrzasku. Po prostu nie wyobrażała sobie codziennej opieki nad upośledzonym chorym dzieckiem.

Z ulgą przyjęła więc decyzję Roba, który spakował się i wyjechał do Manchesteru.

- Chcę być blisko Emmie - powiedział na pożegnanie.

- A ja cię już nie obchodzę? - rzuciła hardo.

- Przestań! Spróbuj mnie zrozumieć.

Kate z trudem powstrzymała się przed uderzeniem męża.

- A kiedy wrócisz?

- Jeszcze nie wiem.

- W środę idę na USG i mam nadzieję, że pójdziemy tam razem.

- Nie licz na to - odpowiedział, na co Kate zatrzęsnęła za nim drzwiami.

PAMIĘTNIK RALPH

Dla dzieciaków, którym w zupełnie przypadkowy sposób trafiła w ręce powieść Williama Goldinga, fakt, że czytali klasykę współczesnej literatury, nie miał żadnego znaczenia. Wszystkich czworo całkowicie wciągnęła historia o tym, jak zwyczajne dzieci przeistaczają się w potwory - i tej niecodziennej przemianie poddają się wszyscy chłopcy na wyspie - i dobrzy, i ci źli, a do tego muszą wytropić i zniszczyć jakąś bliżej nieokreśloną Bestię.

Dzięki „Władcy much” gorliwi czytelnicy na krótko oderwali się od swojej marnej, nudnej egzystencji w domu dziecka. Jednak zrozumieli przesłanie Goldinga na swój sposób. Wymyślili sobie niby-grę. Ograniczając się do czwórki bohaterów: Jacka, Rogera, Simona i Prosiaczka, przybrali ich imiona. Dziewczyny musiały się zgodzić, bo w książkowych przygodach brali udział wyłącznie chłopcy. Grupa zachowała też straszącą mieszkańców wyspy tajemniczą Bestię. Jak się miało okazać, był to punkt zwrotny w ich losach. Tak się bowiem zapamiętali w grze, że nie mieli siły przerwać zabawy w dorosłym życiu.

A brały w niej udział cztery osoby plus jedna, która zjawiała się po drodze i miała ten fart, że nie tylko pozwolono jej się przyłączyć, ale nawet wybrano ją na szefa.

LAURIE

Ciotka Angela towarzyszyła Laurie podczas badań w klinice Saint Joseph-Martin, znajdującej się na obrzeżach Awinionu. Gdy je poinformowano, że to chłopiec, opiekunka Laurie z przyjemnością patrzyła na uśmiechniętą twarz siostrzenicy. Rodzice dziewczyny nie przyjechali do Francji. Wieczorem Angela zatelefonowała do Shelly, wyrażając swoje ubolewanie z powodu ich nieobecności i rozczulając się nad przyszłą matką. Zapewniła też, że mała poradzi sobie z wychowaniem dziecka.

- Laurie wprost nie może doczekać się rozwiązania - mówiła Angie do siostry.
- Jak każda przyszła matka - odparła Shelly.
- Wygląda wspaniale. I nawet gdyby tak wyglądały wszystkie ciężarne dziewczyny, to nie można ich wyprawiać z domu, a rodzice nie powinni boczyć się na swoje córki.

W dwunastym tygodniu ciąży przeprowadzono badanie USG i niezbędne analizy. Dodatkowy potrójny test, stosowany w celu wykrycia wczesnych wad rozwojowych płodu, w tym rozszczepienia kręgosłupa i zespołu Downa, oraz drugi, na trisomie 18. chromosomu, wykazały, że dziecko jest w grupie niewielkiego ryzyka. Nie widziano jednak powodów do obaw, gdyż Laurie była młoda i zdrowa, a wcześniejsze badania wypadły dobrze.

- To wspaniale! - cieszyła się Angela w rozmowie z siostrą, która przyjechała do niej do Francji.
- Rzeczywiście, to dobra wiadomość - przyznała Shelly. Jednak Angela spojrzała na nią podejrzliwie i postanowiła się upewnić:

- Nie wygłupiasz się czasem?

- Ależ skądże! - zaprzeczyła ruchem głowy Shelly.

Odbierający poród zespół lekarzy od razu zorientował się w stanie chłopca. Laurie wystarczyło tylko na nich spojrzeć i zrozumiała, że coś jest nie tak. Wyraz twarzy rodziców i ciotki potwierdził jej złe przeczucia.

- Co się stało? - zapytała, choć jeszcze przed chwilą, walcząc ze strachem, bała się otworzyć usta. Gdy już miała dziecko przy sobie, natychmiast obejrzała je dokładnie i uznała, że jej synek jest okazem zdrowia. Nagle pomyślała, że to jakaś kolejna zagrywka rodziców, mająca na celu rozdzielenie jej z dzieckiem. Może chcieli...

- Pojawiły się pewne obawy - ojciec, płacząc się, przerwał jej rozmyślania.

- Jakie znowu obawy? Gdzie mały? - spytała niespokojnie. - Chcę go natychmiast zobaczyć. - Niepokoiła się coraz bardziej, wiedząc, że w tej chwili noworodek przechodzi rutynowe badania.

- Nic się nie martw - uspokajała ją matka. - Wszystko będzie dobrze.

- Nie z nim, tylko z Samem. Tak go nazwałam.

- To bardzo ładne imię - zapewniła ciotka Angeła z uśmiechem na twarzy.

- Pewnie, że ładne - odparła krótko Laurie.

Rodzina młodej matki szybko podjęła decyzję dotyczącą dalszych losów dziecka. Oczywiście nie było mowy o oddaniu Sama do adopcji. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że dziewczyna nigdy się nie zgodzi na coś podobnego. W trzeciej dobie pobytu Laurie w szpitalu zjawili się tam jej rodzice. Aby przekonać córkę do oddania Sama do domu dla upośledzonych dzieci, przywieźli ze sobą stos ulotek informacyjnych, pozytywnych opinii o placówce, podziękowań rodziców, lekarzy, a nawet parlamentarzystów.

- To dom opieki, który jest najbliżej nas - tłumaczył Pete.

- I jest najlepszy - wtórowała mu matka.

- Wybijcie sobie z głowy takie pomysły! - oznajmiła twardo Laurie. - Sama zajmę się swoim dzieckiem.

- Byłoby naprawdę wspaniale, gdyby to tylko było możliwe - rozczuliła się Shelly.

- Niestety, moja droga, w ogóle nie zdajesz sobie sprawy z tego, co cię czeka - stwierdził Pete.

Rodzice cierpliwie i spokojnie przekonywali Laurie do swoich racji, wskazując, że to najlepsza decyzja. Najgorsze było to, że ich wywody miały sens. Co prawda u Sama nie stwierdzono zwykłych w takich przypadkach komplikacji kardiologicznych, ale i tak wymagał specjalistycznej opieki lekarskiej. To była jego jedyna szansa na przeżycie, czego pragnęła cała rodzina, jak utrzymywali rodzice.

- Czyżby? - odparła Laurie. - Przecież najpierw chcieliście, żebym usunęła ciążę.

- Owszem, ale to się zmieniło - zapewnił ją Pete. Laurie zauważyła jego wzruszenie. Mając żywo w pamięci

rodzinny spór sprzed kilku miesięcy, wmawiała sobie, że może ojciec nie kłamie. Spodziewała się jednak, że spróbuje jej mówić o błędzie, jakim było porzucenie myśli o usunięciu ciąży. Gdyby usłyszała takie wyrzuty, byłaby gotowa rozszarpać go na strzępy, ale tak się nie stało. Ojciec i matka spokojnie przekonywali ją do swojego pomysłu. Wcale nie naciskali na szybką decyzję. Jednak czas płynął nieubłaganie.

- A może pomyślisz o Samie? - ciągnął ojciec. - Przecież w takiej placówce zapewnią mu najlepszą opiekę.

- Niemowlętami najlepiej opiekują się ich matki - Laurie nie dawała za wygraną.

Choć walczyła w słusznej sprawie, do jej serca zakradł się niepokój. Nagle uświadomiła sobie, że nie da rady im obojgu. Poczula, że kończą jej się argumenty, a rodzice bezlitośnie wykorzystują przeciwko niej całe swoje doświadczenie życiowe.

Z pewnością mieli rację. Jakże by inaczej! Przecież sama też chciała jak najlepiej dla syna. Przypomniała sobie tych wszystkich, którzy przysyłali podziękowania i pochwały pod adresem Domu Dziecka Rudolf Mann House - wdzięcznych za opiekę rodziców, dziadków i rodzeństwo, a także lekarzy, psychologów i całą resztę. Skoro taka rzesza ludzi uważała, że ta placówka jest idealna dla takich dzieci jak Sam, to czy można mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia?

Stało się. A więc i ona powiedziała o synu: „takie dziecko”.

A przecież dla niej nie ma na całej ziemi drugiego takiego dziecka jak Sam. Jest tak samo unikatowy jak jego DNA i odciski palców.

Zapamiętaj to sobie na całe życie, mówiła w duchu, bo jeżeli nie, to równie dobrze możesz o nim zapomnieć już teraz.

KATE

Po wyjeździe męża Kate miała dużo czasu dla siebie. Rodzicom i przyjaciółce Abby powiedziała, że oboje z Robem mają grype, co powstrzymało wszystkich od wizyt i pozwoliło jej na przestudiowanie ewentualnych zagrożeń dla dziecka, gdyby powtórne badania potwierdziły pierwsze hipotezy.

Kate rozmawiała też ze specjalistami i Mary Kenneth, lekarką pierwszego kontaktu. Przy zdrowych zmysłach trzymała przyszłą matkę jedynie złudna myśl, że zdarzyła się pomyłka i te wyniki nie dotyczyły jej ani jej dziecka.

Nawet gdyby opuścił ją mąż, to i tak nie będzie sama, bo przecież wkrótce urodzi. Kate była niemal pewna, że bez względu na postawę Roberta, który na dobrą sprawę najpierw odmówił jej prawa do decyzji, a potem całkowicie uchylił się od wszelkiej dyskusji, doszłaby do tego samego wniosku.

Jej dziecko miało prawo do życia, bez względu na to, czy będzie chore czy nie.

Wreszcie Kate zdobyła się na zaproszenie do domu swoich rozwiedzionych rodziców. Chciała za jednym zamachem przedstawić obojgu aktualne informacje na temat swojego stanu. Poprosiła jedynie ojca, aby nie powtarzał swojej obecnej ukochanej niczego, co tu usłyszy. Urodzona w Melbourne Delia Price zajmowała się projektowaniem stron internetowych. Ta uzdolniona, atrakcyjna brunetka była przystojniejsza, młodsza i bardziej zdeterminowana niż Bel. Zakochany po uszy Michael miał ją na dodatek za bardzo odważną kobietę, która

pomimo blizn na plecach po dawnym upadku z konia nadal jeździła konno, kiedy tylko nadarzała się ku temu okazja.

- Taka właśnie jest moja pani - powiedział kiedyś Mi-chael.

Kate nie zapalała sympatią do wybranki ojca. Delia, owszem, starała się być miła w jego obecności, lecz gdy tylko zostawały same, przestawała interesować się Kate. Kiedyś także, czego nie mogła jej zapomnieć Kate, zaprosiła Roberta na poranną przejażdżkę konną, chociaż wiedziała, że Kate na pewno się z nimi nie wybierze, gdyż po upadku z konia w dzieciństwie pozostała jej psychiczna trauma.

- Gdyby Delia miała choć odrobinę taktu, nie wspominałaby o koniach - rzuciła wtedy do męża.

- Przecież nie ciebie zapraszała na przejażdżkę - zirytował się Robert.

- No właśnie - odparła, choć być może głupio to zabrzmiało. Jednak Delia od początku działała jej na nerwy.

Tak więc teraz Kate nie chciała wprowadzać jej w swoje osobiste sprawy.

- Mogę mieć kłopot z tym sekretem - uprzedził ją ojciec.

- Widzę, tato, że jesteś szczerzy aż do bólu. Jednak w tej sytuacji nie będę cię mogła dalej informować o sprawie. Szkoda, bo twoje wsparcie bardzo by mi się przydało.

- Szantażystka - zazartował. - Przecież nie zrobiłabyś tego.

- Jeżeli będzie trzeba, to i owszem.

- Rob musi być zadowolony z twojej decyzji - zagadnął Michael, odwiedzając córkę tego kwietniowego dnia. Siedzieli we trójkę w ogródku na tyłach domu. Tekowy stół i krzesła stały pod jabłonią, na trawie, koszonej co dwa tygodnie przez Roberta.

- On jeszcze o tym nie wie - oznajmiła Kate.

- A kiedy zamierzasz mu o wszystkim powiedzieć? - zapytała matka.

- Nie sędzę, że w ogóle.

- Nie żartuj, moja droga - zaprotestował ojciec.

- Może i dobrze robisz, przecież on zrejterował - Bel stanęła murem za córką.

- Istotnie, ale to do niego niepodobne - skonstatował Michael.

- Czy chcesz powiedzieć, że to wina Kate? - pytała Bel.

- Ależ skąd! - zaprzeczył ojciec. - Jednak Rob może się zamartwiać, sądząc, że już usunęłaś ciążę. A przecież musisz pamiętać, że to dziecko was obojga - wyjaśnił, patrząc poważnie na zmęczoną i bladą córkę. - Nie wyobrażam sobie, że mogłabyś odgrywać się na Robie poprzez zatajanie prawdy.

Gdy tylko rodzice wyszli, Kate od razu zatelefonowała do męża. Postanowiła to zrobić, zanim ogarną ją wątpliwości. A gdy w głosie Roba usłyszała ulgę, wiedziała, że podjęła właściwą decyzję.

- A co u Emmie? - zapytała jeszcze.

- Wszystko dobrze - zawiesił głos i dodał: - ale chcę już wracać do domu. - Kate nie odpowiedziała, więc kontynuował. - O ile nie masz nic przeciwko. - Kate wyczuła, że Rob nie ma pewności, czy żona przyjmie jego wyciągniętą dłoń.

Właściwie to zostawił ją sam na sam z problemem akurat wtedy, gdy go najbardziej potrzebowała. Był zupełnie nieczuły na jej argumenty, a potem po prostu spakował się i wyjechał.

- Jeszcze nie wiem, czy chcę cię widzieć - wypaliła, zaskakując samą siebie.

- Rozumiem - powiedział wyraźnie zawiedziony.

- Niczego nie rozumiesz - zakończyła Kate i odłożyła słuchawkę.

Dwa tygodnie później Kate przeżyła bolesne poronienie. Była w szpitalu sama, ale nie chciała, aby kogokolwiek zawiadomiono o tym, co się stało. Rodzice

przyszli ją odwiedzić dopiero po tym, jak sama wszystko im powiedziała. Od razu zastrzegła jednak, żeby nie informowali Roberta.

- Musisz z nim porozmawiać - zaproponował ojciec.

- Nie chcę, żeby wracał do domu z litości - odparła.

Leżąc w szpitalu, Kate czuła się całkowicie bezbronna i wyjąłowiona z wszelkich uczuć. Nie potrafiła jasno myśleć, a raz przewyciężone zmartwienia nieubłagane wracały z nową siłą. Do tego dochodziło spowodowane szpitalem rozdrażnienie. Łatwo wpadająca w gniew Kate szybko znalazła kogoś, na kim mogła się wyładować. Był to oczywiście Robert, który chciał tego dziecka bardziej niż ona.

- Gdy tylko Rob dowie się o wszystkim, na pewno będzie chciał wrócić - ciągnął Michael.

- Pewnie tak, ale chyba jest jeszcze za wcześnie - broniła się Kate.

- Lepiej przechodzić przez to razem - ostrożnie dodała Bel.

- Wszystko we właściwym czasie - zakończyła Kate.

Dwa dni później do drzwi domu Kate zapukała przyjaciółka jej matki, Sandi West. Była jedną z tych osób, z którymi Kate nie chciałaby w ogóle rozmawiać. Sandi, w znoszonym płaszczu, wsparta na lasce, od razu wręczyła gospodyni papierową torbę z niespodzianką.

- Przyniosłam ci winogrona. To nic, że ludzie krzywo na ciebie patrzą, najważniejsze jest zdrowie - zachwalała owoce, a Kate od razu trafił szlag. Zupełnie nie rozumiała, jak matka mogła rozmawiać z kimś takim o jej sprawach. - Nie wyglądasz najlepiej - ciągnęła Sandi - ale i tak nieźle, zważywszy na okoliczności.

- Czyżby mama wszystko pani wypaplała?

- Oczywiście. Wiem prawie o wszystkim, co ją spotyka - Sandi mocniej oparła się na lasce. - Chętnie zrobię ci herbatę, jeśli sobie życzysz.

- Nie, dziękuję. Jestem bardzo zmęczona i właśnie miałam się położyć.

- Pozwól, że trochę się tobą zajmę, Kate.

- Jakoś sobie nie przypominam, żebym prosiła o pomoc.

Sandi jedynie ciężko westchnęła i skierowała się do drzwi.

- Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że kiedyś inaczej spojrzysz na to, co się stało - powiedziała przed wyjściem.

- Czas leczy rany.

- Trzeba też spojrzeć prawdzie w oczy - ciągnęła Sandi. - Wszak niezbadane są wyroki opatrności.

- Nie rozumiem, o czym pani mówi - Kate zamarła.

- Co prawda jeszcze nie czas o tym mówić, ale być może dobrze się stało - wyjaśniła pani West. - Dobrze dla ciebie i dziecka.

Nie wierząc własnym uszom, Kate krzyknęła:

- Proszę się wynosić!

- Wybacz. Nie chciałam zrobić ci przykrości. Kate rzuciła się do drzwi, otworzyła je i krzyknęła:

- Niech pani już idzie! Zanim stracę panowanie nad sobą!

Zaraz po zamknięciu drzwi na wewnętrzny zamek zadzwoniła do matki.

- Jak mogłaś mi to zrobić? - zapytała z pretensją w głosie.

- A cóż ja takiego zrobiłam?

- Właśnie była u mnie Sandi.

- Niemożliwe - westchnęła Bel. - Wybacz mi, ale musiałam z kimś porozmawiać.

Kate z trudem powstrzymała się przed komentarzem.

- To może jeszcze zatelefonowałaś do Roba? - pytała zirytowana.

- W żadnym wypadku. Przecież obiecałam.

- Sandi twierdzi, że dobrze się stało, że poroniłam. Podobno zawsze wszystko jej mówisz.

- To nieprawda - broniła się matka.

- Kto cię tam wie, mamó - podsumowała Kate i odłożyła słuchawkę. Potem złapała torbę z winogronami i wyrzuciła ją do kosza.

Dwa dni później niespodziewanie zjawił się Rob z bukietem kwiatów. Kate natychmiast wściekła się na rodziców, posądzając ich o złamanie słowa, lecz w porę dostrzegła pluszowego misia, którego mąż trzymał pod pachą. Wtedy rozplakała się na dobre, bo przecież jeszcze nie wiedział, co się stało.

- Już dobrze, już dobrze - zaczął ją uspokajać. - Bardzo cię przepraszam za moje zachowanie.

Rob miał lekki zarost, którego ze względu na Kate wcześniej nie nosił. Ona nie tolerowała kłującego zarostu, sądząc, że jest oznaką słabości.

- Wejdz, proszę - wykrztusiła z siebie i wzięła bukiet, nie zwracając już uwagi na pluszaka. Jeszcze w przedpokoju powiedziała mężowi o wszystkim i z przerażeniem stwierdziła, że Rob jej nie uwierzył.

- Co ty pleciesz? - mamrotał blady jak ściana. - Jak można tak kłamać w żywe oczy?

Kate wbiegła na piętro do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Nagle trzasnęły drzwi na dole. Kate zrozumiała, że to już koniec.

Rob pojawił się w domu dwa dni później. Wcześniej rozmawiał z ojcem Kate i natychmiast przeprosił żonę „za wszystko”, jak się wyraził. Choć Kate czuła, że

mąż szczerze żałuje swojego zachowania i widziała, jaki jest nieszczęśliwy, dla niej był to koniec ich związku. Gdy usiedli, poinformowała go o swojej decyzji.

- Myślę, że wina leży po obu stronach - zaczęła.
- Przyznaję, że wyjechałem, nawet cię nie wysłuchawszy.
- Nie chciałeś ze mną porozmawiać.
- Masz rację i dlatego jest mi tak bardzo przykro.
- To bez znaczenia. Nie widzę już dla nas przyszłości.
- Przecież nie musimy się rozstawać - zaprotestował oszołomiony.
- Tak będzie najlepiej - odparła.

I tak właśnie napędzany rozżaleniem łańcuch popełnianych przez oboje błędów i idiotycznych postępów spowodował kres ich małżeństwa.

Gdy jakiś czas potem Kate rozmawiała z ojcem, usłyszała, że jest uparta jak osioł.

- Oboje są siebie warci - podsumowała Bel, na którą córka już się nie gniewała.

Rodzice zauważyli też, jak bardzo opustoszał dom, w którym teraz Kate mieszkała sama. Rob przeniósł się bowiem do wynajętego mieszkania w Coley Hill. Wiedzieli, że córka zapomniała już o całym żalu, jaki miała do Roberta, i że tęskni za mężem. Mówili o nim jak o własnym synu.

- Przecież widzimy, że wciąż jesteście w sobie zakochani. - Bel nie dawała za wygraną. - Czy nie warto zapomnieć o tym, co złe?

Dobre pytanie, pomyślała Kate.

RALPH

Nocne wycieczki kilkorga wychowanków do pradawnego kurhanu zbliżyły Ralph do dzieci.

Wtedy nie miała jeszcze pseudonimu, który w znalezionej przez dzieciaki książce nosił przywódca rozbitków. Tamci czworo nie wiedzieli też, że spotkanie z Ralph wciągnie ich w prawdziwe bagno. Niczego nie podejrzewali, bo przecież Ralph była jedną z nich. Choć już dorosła, była jak swoja.

Przecież pracowała w ich domu dziecka.

* * *

Nawet po latach Ralph pamiętała fascynację, z jaką schowana za głazem obserwowała i słuchała dzieci w kurhanie. Serce waliło jej mocno, a ręce miała spocone z podniecenia. Wtedy drgnęły w niej emocje, unicestwione jeszcze w okresie dojrzewania przez ojca, który groził, że ją zabije, jeśli córka mu się sprzeciwi. Po gwałcie była ciąża i zabieg.

Wtedy nie mogła urodzić.

Do dziś była samotna i pozbawiona wszelkich uczuć. A teraz miała ich czworo.

Pracując w Challow Hall, Ralph pomagała etatowym pedagogom w opiece nad dziećmi. Choć zdawała sobie sprawę, że odziedziczyła po rodzicach zdolności i inteligencję - matka była nauczycielką, a „on” bibliotekarzem - i mogła myśleć o studiach, nawet nie próbowała uczyć się dalej. Zadowalała się tym, co już miała i

właściwie nic jej nie interesowało. Otoczyła się skorupą, która skutecznie chroniła ją przed jakimikolwiek emocjami. Chciała pozostać zimną, wyrachowaną kobietą. Nauczyła się żyć bez uczuć.

Pewnego zimowego wieczoru wyjechała z Challow Hall; nieco wcześniej zatrzymała na chwilę samochód, aby sprawdzić papiery, które wzięła ze sobą. Wtedy właśnie spostrzegła jakieś dziwne błyski rozjaśniające ciemności. Zaciekawiona uchyliła okno, a wtedy doleciały do niej te osobliwe głosy.

Z całą pewnością słyszała czyjś dźwięczny śmiech - raz dziewczęcy, to znów chłopięcy. Na moment gdzieś ginał, lecz zaraz odzywał się znowu i ulatywał w noc.

Po chwili Ralph zorientowała się, że ma przed sobą światła latarek, oddalających się od budynków domu dziecka i kluczących polnymi ścieżkami w kierunku czarnego jak smoła traktu Ridgeway Path.

Od razu postanowiła zbadać sprawę. Zaparkowała auto, wyjęła ze schowka latarkę i ruszyła za tajemniczymi nocnymi światełkami.

Nie bardzo nawet wiedziała, dlaczego to robi. Sądziła, że nocna eskapada może być rodzajem buntu przeciwko doznany przez wychowanków krzywdom. Cokolwiek jednak kierowało dziećmi, z całą pewnością mogło spotkać je coś złego. Jednak nie poszła za nimi w roli surowej wychowawczynie, pragnącej złapać kogoś na gorącym uczynku. Prawdę mówiąc, w ogóle się o nie nie martwiła.

W tamtym czasie wszyscy byli jej obojętni. Nie dbała też o siebie samą. Poszła za światłami latarek z czystej ciekawości, która wzmogła się, gdy uciekinierzy przecięli stary trakt i skierowali się ku neolitycznemu grobowcowi Wayland's Smithy.

Ukryta między drzewami patrzyła na idącą gęsiego grupę. Oceniając ich sylwetki i tembr głosu, uznała, że to same dzieciaki. Zwróciła też uwagę na to, iż pomimo znacznej drogi, jaką przebyły z Challow Hall, nadal rozmawiały szepcąc.

Ralph dygotała z zimna; nie była przygotowana na nocny rajd po okolicy. Zorientowała się, że są już przy kurhanie. Była tu wiosną i zachwycała się panującym wokół spokojem. Przypomniła sobie teraz, jak wspaniale wyglądały korony wysokich buków oświetlone promieniami słońca, jak pięknie śpiewały ptaki. Wszystko to razem tak wspaniale wpływało na nastrój człowieka.

Przez moment Ralph przypuszczała, że dzieciaki chcą zniszczyć kopiec, ale szybko odrzuciła tę myśl. Oczywiście ani trochę dbała o neolityczne głazy. Uznała jednak, że ma przed sobą lubiące przygodę dzieciaki, a nie bezmyślnych wandalów. Odczekała jeszcze chwilę i gdy tylko amatorzy nocnych wrażeń zniknęli za drzewami, ruszyła za nimi. Osłaniając dłonią światło latarki do niezbędnego minimum, ostrożnie podążała naprzód. Szła trawiastym poboczem ścieżki, wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego, starając się zachować absolutną ciszę.

Za zakrętem na polanie stała tablica z informacją o znajdującym się tu obiekcie zabytkowym, a dalej wznosił się sam kopiec. Gdy Ralph tam dotarła, wokoło nie było żywego ducha. Stojąc samotnie pośród nocy, wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Nie czuła wprawdzie strachu, lecz nie ma co mówić, to upiorne miejsce nocą mogło niejednego przyprawić o atak serca. Za to księżycowa poświata kładąca się na ziemi cieniami drgających liści przydawała otoczeniu spokoju.

Ralph była zbyt podekscytowana, żeby się bać.

Wtedy usłyszała dźwięk, jaki wydaje pocierana o draskę zapalka, i na lewo, gdzieś w głębi kurhanu, dojrzała słabą poświatę. Znajac plan grobowca, domyśliła się, że dzieciaki minęły olbrzymie głazy strzegące wejścia i weszły do środka.

Ralph ostrożnie podkradała się coraz bliżej, a jej kroki zagłuszał szum drzew i pohukiwania nawołujących się nocnych ptaków. Nagle usłyszała ich głosy. Ciekawość nakazała jej podejść jeszcze bliżej. Gdy znalazła się przy samym wejściu do grobowca, uświadomiła sobie, że to nie była rozmowa, lecz głos czytającego dziecka.

Rozpoznała też tytuł powieści, którą znała z dzieciństwa. Pamiętała, że książka miała bardzo wciągającą akcję. W tym momencie Ralph doznała gwałtownej przemiany. Obudziły się w niej nieznane dotąd emocje.

Ostrożnie zrobiła jeszcze dwa kroczki i zajrzała do środka. Zobaczyła siedzące półkolem postacie otoczone obłoczkami wydychanego ciepłego powietrza. Dwie dziewczynki i dwóch chłopców około dziesięciu lat. Wychowankowie Challow Hall w skupieniu słuchali czytanej przez jedną z dziewczynek książki.

A więc nie przyszli tu w złych zamiarach, pomyślała Ralph.

Ralph stała jak urzeczona. I nie chodziło o to, że zna tę powieść. Dla niej mogło to być cokolwiek innego, coś Marka Twaina, Szekspira czy nawet Enid Blyton. W rzeczywistości poraziło ją, że te dzieciaki w ogóle wzięły do ręki książkę i wybrały do tego jakże niecodzienną scenerię.

Sytuacja zaczęła ją coraz bardziej intrygować.

Poczuła nagle rodzącą się więź z nocnymi uciekinierami.

Przeniknęło ją jakieś nieznane, niesamowite uczucie.

I już wiedziała. To czwórka wychowanków, za którą ruszyła w noc, jest taka niezwykła.

Niespodziewanie Ralph odkryła w sobie emocje, których nigdy wcześniej nie doświadczyła. Nie pamiętała ich nawet z czasów, gdy za życia mamy mieszkała razem z nią w domu. Ralph poczuła wspólnotę z tymi dziećmi. Teraz musiała podjąć trudną decyzję: ujawnić się czy wycofać, i oczywiście zrobiła krok naprzód.

- Witajcie! - odezwała się i od razu dodała: - Nie bójcie się, nic się nie stało.

Nocni uciekinierzy aż podskoczyli z wrażenia jak oparzeni. Zaraz też wszystkie oczy wpatrzyły się w ciemność, próbując dojrzeć intruza. Na ich twarzach strach mieszał się z nienawiścią, lecz Ralph bała się jeszcze bardziej.

- Jestem waszą przyjaciółką - starała się uspokoić zaskoczone dzieci.

Tamci stanęli jak wryci. Nie padło żadne słowo. Jedyne najwyższa z dziewcząt i chłopiec, którego włosy lśniły złotem w świetle świec, a który okazał się rudzielcem, ruszyli naprzód. Badawczo lustrując nieoczekiwanego gościa wzrokiem, spoglądali na wyjście z grobowca. Ralph pomyślała, że oceniają szanse

ucieczki i stanęła tak, aby zablokować korytarz. Na dobrą sprawę dzieciaki mogły ją przewrócić i zniknąć w ciemności, ale nie doszło do żadnej przepychanki.

- Mówię serio. Nie musicie się mnie obawiać - zapewniła ich ponownie Ralph, jednak nikt jej nie odpowiedział. - Słuchałam trochę i jestem bardzo zaskoczona książką, którą sobie wybraliście.

- I co z tego? - odezwał się wojowniczo złotawy rudzielec, wciąż spodziewający się kłopotów.

Wiedziała, że musi być bardzo ostrożna i niczym nie może ich spłoszyć.

- A znacie „Umarłych poetów”? - rzuciła, choć było pewne, że dziesięciolatki z domu dziecka nie mają pojęcia, o czym mówi.

- Że co? - burknął drugi z chłopców.

- Pewnie chodzi o tego facia, który napisał naszą książkę. I ten gość już nie żyje.

- Żyje, ale nie o to chodzi - odparła Ralph. - Mam na myśli film pod tytułem „Stowarzyszenie Umarłych Poetów”, który opowiada o grupie uczniów, którzy zakładają sekretny związek i w proteście przeciwko wszelkim regulaminom potajemnie czytają wiersze. - I tu nastąpiła niezwykła zmiana: nagle młode twarze złagodniały. Wykorzystując tę chwilę, Ralph kontynuowała: - Tamci uczniowie naprawdę nie znosili zasad. Zupełnie jak wy, czyż nie? - zawiesiła głos. - Czy urywaliście się już wcześniej?

- A nikomu pani nie powie? - usłyszała pytanie młodzieńca.

- Nikomu, jeśli i wy dochowacie tajemnicy. - Jej zgoda tylko z pozoru była zaskakująca. Ralph czuła, że chcąc zatrzymać dopiero co odkryte w sobie emocje, tak właśnie musi postąpić. - I pod warunkiem, że będę mogła tu przychodzić - dorzuciła, potępiając się w duchu za ten drobny szantażyk.

W grobowcu zapanowała cisza i niepewność. Młodzi spiskowcy popatrywali na siebie. Wreszcie jeden z nich oznajmił:

- No dobra.

- Ostatnio czytałaś kwestie Simona - zagadała Ralph ładną, jasnowłosą dziewczynkę, gdy ponownie spotkali się w kurhanie.

- Coś tak jakby - nieśmiało odpowiedziała tamta.

- Doskonale ci idzie - pochwaliła ją Ralph, ale nie usłyszała podziękowania za pochwałę. - A mogłabym się do was przyłączyć? - spytała.

- Niby do czego? - zaciekawił się mniej bojowy z chłopców.

- Do czytania. - Nie czekając na odpowiedź, oznajmiła najwyższa dziewczynka. A mieli już za sobą połowę tekstu.

- Byłoby fajnie, gdybyście się zgodzili.

- To może te kawałki, które nie są dialogami? - zaproponował na odczepnego ten sam chłopak.

- Mów, że chodzi o narrację - poprawiła kolegę najwyższa z nich.

- Chcę czytać kwestie Ralpa - oznajmiła głosem bardziej stanowczym niż dotychczas Ralph. Od początku planowała stać się przywódcą klanu.

- Ja chcę być Ralphem - zaproponował rudy młodzian.

- Przedtem chciałeś zostać Jackiem - zarzucił mu chudziutki piegus.

- Nie zapominajcie, że pani jest jedną z nich.

- Ale chciałabym poczytać z wami - broniła się Ralph, po czym zamilkła, czekając na decyzję. Nie nalegała, aby nie zdradzić, jak bardzo zależało jej właśnie na roli Ralpa, książkowego przywódcy.

Cała czwórka spoglądała na siebie, nie wiedząc, co dalej począć. Wreszcie rudowłosa zgodził się na propozycję. Ralph wciąż jednak czuła, że tamci nie mają do niej zaufania i spodziewają się kłopotów z jej strony, które jeszcze nie nadeszły.

W każdym razie nie takie, o jakich mogły myśleć dzieci w ich wieku.

KATE

Prowadząc swojego czerwonego minicoopera opustoszałymi uliczkami Maidenhead, Kate doszła do wniosku, że cokolwiek myślałaby o Delii, to musi stwierdzić, że rozwód miał pozytywny wpływ na rodziców. Co prawda matka była wstrząśnięta związkiem ojca z Delią, lecz zaczęła żyć inaczej niż dotychczas. Nie rzuciła całkiem picia, ale zaczęła coś robić. Uczęszczała na zajęcia terapeutyczne, postarała się o pracę w fajnym butik z ciuchami i uważała, żeby jej nie stracić.

Ojciec doskonale odnalazł się w nowej sytuacji. Podciągnął się trochę w dziedzinie Internetu i pomagał Delii projektować strony webowe.

Nieco wcześniej Kate zapowiedziała się u nich telefonicznie i pod wpływem chwili kupiła trzy tajskie dania na wynos.

- Może wpadniesz później? - zapytał Michael.

- Nic z tego. Musisz przecież coś zjeść, bez względu na to, jak bardzo jesteś zapracowany - wyjaśniła krótko i na wszelki wypadek szybko odłożyła słuchawkę.

Ta wizyta miała być gestem dobrej woli po całym tygodniu, który spokojnie mogła zaliczyć do najgorszych w swoim życiu. Poza tym po prostu zatęskniła za swoim wyrozumiąłym tatą.

Nowe mieszkanie ojca znajdowało się tuż nad Tamizą. Podłogę wyłożono ładną, bukową klepką, białe ściany ożywiały australijskie motywy. W domu było bardzo dużo roślin doniczkowych. Rozglądając się dookoła, Kate uznała, że nie tylko

Delia wniosła powiew świeżości w życie Michaela. Być może gdyby mama też się przeprowadziła, byłaby weselsza, a już z pewnością pozbyłaby się wspomnień. Zarówno dobrych, jak i złych. Choć od razu pomyślała, że powinna zrobić to samo, ani na chwilę nie przestała się martwić separacją z mężem.

Wciąż mieszkała w domu, w którym wcześniej żyli razem. A tam z każdego kąta wyglądały wspomnienia dawnych czasów. Dokuczała zwłaszcza przeraźliwie pusta sypialnia. Gdy Kate już nie dawała sobie rady, spędzała noc na partezie, na beżowej kanapie. Na tej samej, którą Robert zaplamił kiedyś kawą. Doskonale pamiętała, z jaką pasją przywarli wtedy do siebie, a potem nagle musieli ratować kanapę i usuwać plamy. A do tego dochodziły jeszcze wspomnienia wywołane rzeczami Roba, które zostały w domu. Z tym akurat można by najłatwiej dać sobie radę, lecz Kate wciąż wierzyła, że Robert kiedyś jeszcze wróci.

A może powinna go poprosić, żeby wrócił, myślała.

Po czterech miesiącach Kate zaczęła spotykać się z Robertem. Początkowo umawiali się na drinka i kawę. Gdy już przestali się na siebie dąsać, odkryli, że oboje czują się podle w nowej sytuacji. Zarzucali sobie wzajemnie to samo: zrobienie zawodu, tragiczny brak porozumienia i całkowitą bezradność w rozwiązywaniu problemów. Jednak Kate wciąż pozostawała nieufna i uważała, że to mąż ją zawiódł.

- Nie spieszmy się - mówiła w sierpniu.

- Nie mogę bez ciebie żyć - odpowiadał Rob. - Nie warto tego ciągnąć w nieskończoność, bo możemy zgubić wątek.

- Obawiam się, że to już się stało - odparowała. - A w każdym razie jesteśmy na najlepszej drodze ku temu.

Zaplanowała sobie poważną rozmowę z Robem na wtorek. Traf chciał, że ten cholerny zespół napięcia splótł się z jej obawami i przyprawiony wciąż tłącą się złością spowodował eksplozję właśnie w tym dniu.

No i w piątek wylądowała u ojca i jego ukochanej. Szczerze chciała ułożyć sobie stosunki z Delią, by w ten sposób uradować Michaela. Miała też nadzieję na miłe zakończenie paskudnego tygodnia. Pomyślała nawet, że jeśli uda jej się przeżyć choćby jedną godzinę ze słodziutką Delią bez żadnych zgrzytów, to reszta pójdzie jak z płatka.

Był grudzień i Kate zwróciła uwagę na świąteczne ozdoby.

-Ależ tu ładnie! - zachwyciła się, patrząc na salon i jadalnię. Naprawdę podobało jej się tutaj, choć sama nigdy by nie udekorowała mieszkania jak straganu, bowiem zgromadzone ozdóbki nie nadawały wnętrzu ani krzty domowego ciepła.

- To wszystko zasługa Delii - pośpieszył z wyjaśnieniem ojciec.

- Tak właśnie sobie pomyślałam - stwierdziła Kate, dostrzegając porozumiewawcze spojrzenia, jakie wymienili między sobą gospodarze.

- Przyniosłam ze sobą trochę tajskiego jedzenia. - Kate pokazała torbę.

- Córciu, gdybyś się nie rozłączyła, wiedziałabyś, że nie mamy na to czasu - zaczął ojciec.

- Skoro nie jesteście głodni, to może zjecie później.

- To niemożliwe. Dziś lecimy do Amsterdamu - wyjaśniła Delia.

- Właśnie się pakujemy - dodał Michael.

Kate znów zauważyła porozumiewawcze spojrzenia ojca i Delii. No cóż, wiadać, że gołąbki rzeczywiście odlatują w siną dal.

- Bardzo nam przykro, że tak wyszło - zapewniła pani domu.

Gadaj zdrowa, pomyślała Kate i postanowiła się pożegnać.

- A może jednak przełożysz jedzenie na talerze. Zjesz sobie w spokoju, a my z doskoku, po kawaleczku. - Ojciec próbował ratować sytuację.

- To nie jest dobry pomysł - zaproponowała Delia. - Jeszcze tego brakowało, żebyś poplamiał koszulę.

Licząc spokojnie do dziesięciu, Kate powtarzała sobie w duchu, że to właśnie stojąca przed nią kobieta przewróciła życie jej ojca do góry nogami. Czyż inna umiałaby w tak doskonały sposób unicestwić wszelką nadzieję na odnowienie związku rodziców?

- Dobra, możemy nie jeść, ale chcę chwilę porozmawiać - zwróciła się do ojca.

- Mike, zajmij się gościem, a ja zajmę się bagażami - zakomenderowała Delia, używając zdrobnienia, którego Kate szczerze nienawidziła.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście, pod warunkiem że nie będziesz mi potem wymawiał, że coś źle spakowałam.

- O której macie samolot? - spytała Kate

- Koło osiemnastej - odrzekł Michael.

- No to jest jeszcze dużo czasu.

- Nie za bardzo, jeżeli mamy zdążyć na umówione spotkanie - ucięła pani domu.

- O, cholera! Na śmierć zapomniałem! - ocknął się Michael.

- Mamy spotkanie z nowym klientem - wyjaśniła Delia.

- Jasna sprawa! Nie macie więc czasu dla Kate - odparła, czując, że zaraz wybuchnie.

- Moja droga, tylko... - zaczął ojciec.

- Tylko nie „moja droga”! - zaprotestowała Kate. Nigdy wcześniej, to znaczy przed poznaniem tej jędzy, ojciec nie zwracał się do niej w tak sztuczny sposób.

- Widzę, że oprócz wyjazdu to też jest nam już zabronione - dorzuciła swoje trzy grosze Delia.

- Widzę, że masz ochotę sobie pogadać - chlapnęła Kate, ale już nie chciała być miła.

- Kate? Wszystko w porządku? - zaniepokoił się ojciec.

- A czy ciebie to naprawdę interesuje?

- No ładnie - włączyła się Delia.

- Nie wtrącaj się! - rzuciła Kate.

- Przestań! - Ojciec próbował ją uspokoić.

- Nic się nie stało - odpowiedziała Delia.

- A właśnie, że się stało - Michael nie ustępował.

- Teraz rozumiem, dlaczego mama się rozpiła - Kate szła za ciosem, choć nie powiedziała tego po raz pierwszy. Ojciec nie dał się sprowokować, ale nie krył swojego rozczarowania postawą córki. - Zawsze powtarzała, że gdyby nie to małżeństwo, nigdy by nie zajrzała do kieliszka. I ja jej wierzę - Kate rozkręcała się równie szybko jak Bel.

- O co ci właściwie chodzi? - zirytował się Michael.

- Mógłbyś się odczepić, tato, i już lecieć do tego swojego Amsterdamu - nie ustępowała, choć zdawała sobie sprawę ze swojego szczeniackiego zachowania.

- Mamy nadzieję dobrze się bawić, nieprawdaż, kochanie? - zareplikowała Delia, obejmując męża.

Kate poderwała się i ruszyła do drzwi.

- I zabierz to swoje egzotyczne papu - z wdziękiem zakończyła Delia.

W odpowiedzi Kate trzasnęła drzwiami, aż wisząca na nich kołatka głucho uderzyła kilka razy od zewnątrz.

Kate była na siebie wściekła, bo właśnie zaprezentowała zachowanie, którego nienawidziła u innych.

Niech to wszystko trafi szlag!

Nie został jej już nikt, na kogo mogłaby nawrzeszczyć, ponieważ do dziś nie oddzwoniła do matki po tym, jak podczas wczorajszej rozmowy rozłączyła się

bez pożegnania. Prawdę mówiąc, nie chciała rozmawiać z Bel, bo wolała przemilczeć wyjazd ojca z Delią do miasta, do którego jej matka zawsze chciała z nim pojechać.

I tak kończy się mój wspaniały tydzień, nie tylko się powiesić, zadumała się Kate i postanowiła uciec za miasto, jak najdalej od bliźnich. Co prawda nie spodziewała się, że ktokolwiek będzie jej szukał, ale też wcale na to nie liczyła.

Wsiadła do auta i po chwili znalazła się na otwartej przestrzeni. Myślamy była już u celu podróży, czyli w Caisleán, w stodole, którą wraz z Robem przerobili na letni domek.

Posiedzi tam sobie przy butelce wina i jakimś niezdrowym jedzeniu. Może uda się poleniuchować ze dwa dni w spokojnej okolicy południowego Oxfordshire, zwanej Berkshire Downs.

Choć Kate bardzo tęskniła za mężem, teraz chciała być sama.

TLR

LAURIE

Osiem lat temu, tuż przed urodzeniem syna, Laurie skończyła naukę w artystycznym college'u. Mając w rękach całkowicie bezużyteczny dyplom, wiedziała, że Sam właśnie zaczyna pierwszy etap swojego życia.

Tym razem rodzice wysłali córkę na studia do Reading, tłumacząc, że tam nikt jej nie zna, więc nikt nie będzie zadawać niewygodnych pytań. Pozbawiony opieki matki Sam radził sobie całkiem dobrze, chociaż zawsze serdecznie ją witał, gdy przyjeżdżała w odwiedziny. Zresztą, wszystkich tak witał.

Wszyscy opiekunowie kochali to pogodne dziecko. Sam miał co prawda spore kłopoty z nauką, ale nie wpadał łatwo w gniew i podobnie jak Laurie był posłuszny. Jego młoda mama pracowała okazjonalnie w stajniach rodziców - Sam oczywiście nie miał o tym wszystkim pojęcia - a czasami malowała coś na zamówienie i bardzo rzadko dla przyjemności. No chyba że chodziło o prezent dla syna.

Laurie pogodziła się też z oszustwem rodziców, którzy obiecywali, że Sam będzie mógł z nią zamieszkać. Przecież tysiące upośledzonych dzieci mieszkało ze swoimi rodzicami. Owszem, wymagały stałej opieki i większej uwagi nawet przy wykonywaniu najprostszycy czynności, ale żyły w rodzinie. Choć Laurie właśnie tego pragnęła, już dawno przestała walczyć o swoje racje. A przecież wiedziała, że opiekunki Sama mają o niej złe zdanie. Przynajmniej jedna z nich właśnie tak myślała. Ta, z którą rozmawiała w sobotę, gdy odwiozła syna do placówki.

-Niech się pani nie martwi, Sam wcale się nie przejął tym, że go tu pani zostawiła - usłyszała wtedy.

Suka, pomyślała Laurie o tamtej kobiecie. Zaraz jednak się zreflektowała, bo to oznaczało, że Sam nie rozpacza, a jego dobro było dla Laurie najważniejsze. Mało tego, jej rozmówczyni stała się w oczach Laurie kimś jeszcze bardziej war-

tościowym, gdyż nie tylko pokonała własne niedoskonałości, lecz znalazła w sobie siły na opiekowanie się cudzymi dziećmi, podczas gdy sama Laurie poświęcała synowi tylko jeden dzień co dwa tygodnie. Ale chociaż w duchu przyznała opiekunce prawo do złej opinii na swój temat, nie omieszkała powtórzyć w skrytości ducha wypowiedzianej przed chwilą obelgi.

Laurie była gotowa w każdej chwili stanąć w obronie syna, gdyby tylko wyчуła jakiegokolwiek zagrożenie. Na szczęście póki mieszkał w domu opieki, nic mu nie groziło.

Na tym odludziu, w rolniczej okolicy na południe od Ban-bury, był naprawdę bezpieczny. To miejsce było wystarczająco oddalone od domu jego matki, aby nikt z „ich” sfery nie mógł nawet przypadkowo spotkać Laurie na drodze do Rudolf Mann House. Tym samym nikt nie mógłby skojarzyć Sama z nazwiskiem Moon.

Mimo wszystko Laurie miała pretensje wyłącznie do siebie.

Pokazując kiedyś Shelly zdjęcia pięcioletniego syna, Laurie usłyszała:

-Przynajmniej masz pewność, że postąpiłaś słusznie. Kiedyś dawała rodzicom zdjęcia wnuka, nigdy jednak nie

oprawiano ich w ramki, jak to się działo w przypadku dzieci Andrew i Sary. Podobizny Sama w tajemniczy sposób znikwały. Laurie przypuszczała, że albo cięto je skrupulatnie na kawałeczki, albo palono, aby przypadkiem nie wpadły w niepowołane ręce. Toteż już dawno przestała robić rodzicom podobne niespodzianki.

W ten sposób rodzice przestali się dla Laurie liczyć. Przydawali się jedynie do płacenia za Sama, ponieważ ona sama nie miała żadnych dochodów. Oczywiście dlatego, że zawczasu nie posłuchała dobrych rad i nie studiowała ani prawa, ani medycyny. A to, niestety, oznaczało dożgonną zależność od rodziców i całkowity brak możliwości podejmowania samodzielnych decyzji. Na szczęście Sam miał się dobrze, a Laurie mogła go odwiedzać co dwa tygodnie.

Wszystko zostało ustalone, gdy wróciła z Francji. Przede wszystkim obowiązywała całkowita tajemnica. Rodzice nalegali też, aby ograniczyła się do jednych

odwiedzin w miesiącu, ale widząc upór młodej matki, ostatecznie zgodzili się na wizyty co dwa tygodnie. Właściwie to postawiono jej ultimatum: albo zgodzi się na zaproponowane warunki, albo ma się wyprowadzić. Więc Laurie na te warunki przystała.

Teraz z zadowoleniem oglądała obraz, który namalowała dla synka. Już nie mogła się doczekać spotkania i wyrazu twarzy Sama, gdy chłopiec rozpozna na płótnie ich wspólną wyprawę do wesołego miasteczka w Banbury.

Większość ludzi z życzliwością wyrażała się o dzieciach z syndromem Downa, jednak rzadko kto orientował się w ich codziennych problemach.

Niestety, Laurie też nic o nich nie wiedziała.

TLR

GRA

Tak więc rozpoczęli swoją zabawę; czwórka dzieci uruchomiła własną wyobraźnię, której źródłem stała się książkowa dżungla i zagubiona wyspa. Przez jakiś czas dobierano sobie role, aż w końcu każde z nich ostatecznie wcieliło się w jednego z bohaterów powieści. O reszcie po prostu zapomniano. Każdy uczestnik stał się niemal odbiciem swojego idola. Ich postępowanie można porównać do zachowania małych dzieci, które czasami muszą koniecznie zniszczyć zabawkę lub upierają się, by spać przy włączonym świetle.

To niesamowite, pisała Ralph w pamiętniku, jak wytrwale wszyscy czworo starali się upodobnić do swoich bohaterów. A gdy trzeba było dopasować jakiś szczegół, podziwiała sposób, w jaki to robili. Wcale jej nie dziwił taki upór. Dla doświadczonych życiem dzieci wszystko, co odbiegało od codziennej rutyny, wydawało się lepsze. Choć oficjalnie Ralph nie miała dostępu do akt osobowych wychowanków, poradziła sobie na tyle dobrze, że wkrótce dokładnie znała życiorysy całej czwórki. Ze smutkiem stwierdziła, że te dzieci naprawdę miały paskudne życie, dużo gorsze niż jednostajna codzienność w placówce.

Złapała się też na rozmyślaniach o swoich nigdy nierozpoczętych studiach. Żałowała teraz, że nie jest psychologiem, bo wtedy mogłaby pomóc tym wspaniałym stworzeniom. Z drugiej jednak strony, w innej sytuacji nigdy nie trafiłaby we właściwym czasie do Challow Hall. A wtedy nie mogłaby ruszyć za nocnymi światełkami i pewnie by nie poznała małych miłośników Goldinga.

Ralph uważała, że prowadzi zapiski w profesjonalny sposób. Mówiła sobie, że to praktyczne przygotowanie do przyszłych studiów socjologicznych. Nie widziała niczego niewłaściwego w chęci zaprzyjaźnienia się z dziećmi. Po prostu czuła się dobrze wśród nich i lubiła wymyśloną przez nie zabawę. Sądziła, że poznanie tych czworga to najfantastyczniejsza przygoda w jej życiu, pragnęła stać

się dla nich opoką i chciała, aby spośród świata dorosłych zaakceptowały właśnie ją.

W swoim pamiętniku Ralph ze względów bezpieczeństwa posługiwała się przyjętymi przez całą czwórkę imionami książkowych bohaterów. Wkrótce nawet złapała się na tym, że rozmyślając o swoich podopiecznych, nie używa już ich prawdziwych imion. Odkryła też, jak mało ważny jest rodzaj imienia, skoro dziewczęta nazywały się teraz Roger i Simon.

Wreszcie i o sobie zaczęła mówić: Ralph.

Jack: rudzielec o bystrych zielonych oczach i zaciętych ustach, od samego początku nie miał szczęścia. Matka porzuciła go zaraz po urodzeniu, w samochodzie zaparkowanym w centrum handlowym w Bristolu, zostawiając jedynie krótki liścik. Ponieważ chłopiec nie został adoptowany, znał jedynie tymczasowe rodziny zastępcze. Dodatkowo, z uwagi na stwarzane problemy wychowawcze, ciągle był przenoszony do nowych miejsc. Tymczasowi rodzice i pracownicy opieki widzieli w tym dziecku samo zło i brak uczuć. Ich zdaniem nie można było pokochać Jacka, a i on nie chciał nikomu okazać uczucia. Ale ja nie jestem do końca przekonana, czy mieli rację.

Simon: to wrażliwa i uczciwa wobec innych dziewczyna, lecz zdaje się, że łątwo popada w depresję. Życie tego dziecka zaczęło się w straszny sposób, i to dosłownie. Jej nastoletnia matka w obawie przed gniewem rodziców nie myślała o aborcji w szpitalu. Postanowiła sama poradzić sobie z problemem i wielokrotnie podczas ciąży przekłuwała sobie brzuch, w nadziei na poronienie. Pomimo to urodziła zdrową dziewczynkę, która jednak miała na ciele blizny. Lekarze natychmiast przeprowadzili operację, ale matka małej popełniła samobójstwo, zostawiając list z wyjaśnieniami. Co prawda pooperacyjne rany Simon dawno się już wygoiły, ale zdaniem dr Lindo dziewczynka uważa, że tkwi w niej jakieś zło.

Prosiaczek: znalazł się w placówce, ponieważ jego rodzice odsiadali wyrok za znęcanie się nad nim i jego malutką siostrą, którą na szczęście adoptowano. Prosiaczek ma opinię spokojnego chłopca, który miewał czasami wybuchy gniewu. Jednak gdy tylko się uspokajał, zawsze się mocno przejmował i wstydził takiego zachowania. We wszystkim bierze winę na siebie. Chudy jak patyk pieguś wcale nie jest brzydalem i ma bardzo szlachetne usposobienie.

Roger: trafiła do placówki w wieku siedmiu lat. Jej matka stale przebywała na chemioterapii i nie mogła opiekować się dwójką dzieci, które wychowywała sama. Przyrodniego braciszka wziął do siebie jego ojciec. Chora matka nie chciała oddać córki do rodziny zastępczej. Obawiała się, że nowi rodzice mogliby zaferować Roger więcej niż ona sama, gdy już wyjdzie ze szpitala, bo sądziła, że przecież musi wyzdrowieć. I w ten sposób dziewczynka trafiła do Challow Hall. W aktach napisano, że wcale nie przeżywała śmierci matki. Odnotowano jednak, że na pogrzebie była bardzo smutna, choć w tych słowach wyczuwało się sceptycyzm autora. Dodam od siebie, że dziewczynka rzeczywiście jest doskonałą aktorką.

Spędzając dużo czasu z całą czwórką, Ralph zrozumiała więź, która łączyła te dzieci jeszcze przed przybraniem książkowych pseudonimów. Wszystkie dzieci z takich placówek łączyła niechęć do opiekunów, wszelkich dobroczyńców i własnych rodziców, przez których znalazły się poza kręgiem rodzinnym.

Za to moja czwórka, zauważyła Ralph, żywi również silne uczucia wobec matek. Jedno z nich je uwielbia, a inne ich nienawidzi. I dotyczy to wszystkich kobiet, które przewinęły się przez ich krótkie życie: naturalnych i przybranych matek. Generalnie, złych kobiet lub ukochanych mam, których już nigdy nie zobaczą. Zauważyłam też, że ojcowie nie są obecni we wspomnieniach dzieci, i to z różnych powodów. Jednych po prostu już nie było w domu, gdy przyszły na świat, drudzy nie zajmowali się dziećmi lub siedzieli

w kiciu. Prawdę mówiąc, nikt nie spodziewa się wiele po facetach. A matka jest bliższa, miłsza.

Po dwóch latach Ralph uznała, że grupa jest mocno zintegrowana i zapisała w pamiętniku:

Dzieciaki skupiły się na dwóch postawach życiowych. Część gloryfikuje macierzyństwo, a część wręcz przeciwnie, stała się fanami poety Larkina i jego często używanych w wierszach przekleństw: „To przez nie masz takie zasrane życie...”.

O swoich rodzicach Ralph nie pisała wcale. Zwłaszcza nie chciała pisać o ojcu. Na tym okresie jej życia wciąż spoczywał całun zapomnienia. I dobrze, bo miała teraz o wiele ciekawsze zajęcia.

Dzieciaki zawsze wprowadzały do swoich zabaw postać Bestii, którą trzeba było pokonać, aby wygrać. Ot, niby nic nadzwyczajnego, przecież tak bawią się dzieci na całym świecie. Jednak ci czworo wprowadzili drobną, lecz specyficzną modyfikację. Bestią zawsze stawała się osoba, której nie lubiły. Już wtedy objawiały się ich charaktery.

Wciąż jednak pozostawały tylko dziećmi, zanotowała Ralph.

- Dzisiaj Bestią zostanie Matt Shirley - zakomenderował Jack.

Chodziło o chłopca, który wczoraj upokorzył Jacka podczas gry w piłkę na boisku. Grupa nie dokuczała samemu Mattowi, bo Ralph nie pozwalała na żadną agresję. Po prostu Jack wyznaczył Prosiaczkowi rolę Bestii. Tak to właśnie wyglądało. Każdorazowo kto inny był tym złym, inne role rozdzielano między pozostałych.

Bezpieczna, ale jakże złożona i niecodzienna zabawa. Ralph widziała w niej wentyl bezpieczeństwa i sposób na właściwy rozwój psychofizyczny całej

czwórki. Sama zachęcała wychowanków do zabawy, ponieważ już wtedy widziała w nich narzędzie mogące posłużyć do realizacji jej własnych celów.

W tamtym czasie Ralph obawiała się, czy przypadkiem dzieciaki nie dopuściły jej do swojej tajemnicy z przymusu, sądząc, że nie mają wyboru. Pomimo swoich obaw była jednak dumna z tego, że mogła zostać z nimi. I wcale jej nie przeszkadzało, że jej rola ograniczała się do biernej obserwacji. Wręcz przeciwnie, samo obcowanie z tą czwórką okazało się o wiele ciekawsze niż ich zabawy.

Trzydziestoletnia Ralph była sama, nie miała rodzeństwa ani rodziców. Matka zmarła dawno temu w wyniku zatoru tętnicy, a ojciec po drugim ożenku zniknął z jej życia i stał się dla niej całkowicie obcym człowiekiem. Ralph zepchnęła swoje tragiczne przeżycia z przeszłości w najdalsze zakamarki świadomości i uznała, że jest niczym czysta kartka papieru, którą jej dzieci, jak nazywała całą czwórkę, mogły zapisać i w ten sposób na nowo powołać do życia. Tym razem pod postacią Ralpa.

Jednak musiało to być sekretne istnienie, bo gdyby tajemnica wyszła na jaw, od razu straciłaby pracę, a może nawet spotkałoby ją coś jeszcze gorszego.

Ralph była przejęta jak nigdy dotąd. W jej ponurym życiu tyle zaczęło się nagle dziać i za nic nie chciałaby tego przerywać.

Wtedy nie wiedziała jeszcze, że wkrótce skończą się te niewinne zabawy.

Wtedy nie wiedziała jeszcze, że całkowicie zatraci się w nowej roli.

W roli przywódcy.

Wtedy nie wiedziała jeszcze, że sprowadzi na swoich podopiecznych prawdziwy koszmar, na zawsze wypaczając ich dziecięce charaktery i obracając ich życie w gruzy.

Nie wiedziała też, że z nią stanie się to samo.

TLR

KATE

Zamek, w języku celtyckim Caisleán, do którego jechała Kate, znajdował się niecałą godzinę drogi za miastem. To Rob nazwał tak przerobioną na skromny letni domek stodołę, znajdującą się na odludziu, które zapewniało całkowity spokój.

A tego właśnie, po wizycie u ojca i Delii, potrzebowała najbardziej. Zanim wróciła do domu i spakowała rzeczy na weekend plus nieodłączny laptop, było już po piętnastej. Potem musiała wpaść do redakcji w Reading po swoje notatki. Na szczęście Fireman był na cotygodniowym piątkowym spotkaniu, więc nie doszło do spięcia. Kate zebrała się w sobie i wysłała szefowi zwięzłą wiadomość, informując o wyjeździe na wieś w celu dokonania poprawek w felietonie. Po wcześniejszej awanturze jak nigdy dotąd potrzebowała teraz sukcesu. Potem oczywiście zrobiła zakupy w „Waitrose”, gdzie zaopatrzyła się w gotowe dania, chleb, ser i wino. Do tego oczywiście czekoladki, świąteczne babeczki z bakaliami i śmietanka do kawy. I już minęła czwarta po południu. A to oznaczało, że jadąc w zimową szarówkę, nie będzie mogła podziwiać wspaniałych widoków, na co zawsze czekała z utęsknieniem. Poza tym była sama, a w takiej sytuacji wolała dojechać na miejsce za dnia. Miałyby wtedy czas na spokojne rozpakowanie się i rozpalenie w kominku przed zapadnięciem nocy.

Wyjeżdżając z Reading, Kate zdała sobie sprawę z tego, że informując szefa o wypadzie za miasto, zobowiązała się do posiedzenia nad tekstem. Nie przeszkadzało jej to wcale w zabraniu ze sobą najnowszej książki Anne Tyler i kilku ulubionych filmów na DVD, które miały zapewnić rozrywkę, gdyby w telewizji nie było nic ciekawego. Kate cieszyła się też z zapowiadanego w prognozach ochłodzenia, bo bardzo lubiła przed usadowieniem się przy kominku pospacerować po okolicy w wietrzne, zimne popołudnie.

No może jeszcze chętnie pobaraszkowałam z Robertem, pomyślała i zaraz zganiła się w myślach za głupotę.

Jednak w rzeczywistości bardzo za nim tęskniła.

Jadąc w ciemności, Kate wyteżała wzrok, marszcząc przy tym czoło. Mijając położone przy drodze A329 Streatley, uznała, że ma szczęście, bo pomimo piątkowego wieczoru nie ma wielkiego ruchu. Jej myśli od razu popłynęły w stronę Roba, który w jej marzeniach miał zastukać wieczorem do drzwi ich zamku. Natychmiast ponownie zganiła się w myślach. Gdyby nawet mąż chciał się tu zjawić, to na pewno nie w ten weekend. Rob wspomniał przecież, że Penny chciała, aby wziął do siebie Emily, co nie zdarzyło się od dawna. A on z pewnością nie zostawiłby Emmie, co Kate doskonale rozumiała. I właściwie to nie chciałyby stanowić jakiegokolwiek przeszkody...

Z rozmyślań wyrwał ją huk rozrywanej opony.

- Rany! - krzyknęła, widząc, jak jej auto zjeżdża na przeciwny pas jezdni wprost na przerażonego kierowcę niewielkiego mercedesa, a następnie tańczy na szosie przez, zdaniem Kate, kilkaset metrów, by szczęśliwie uniknąć kolizji z nadjeżdżającą z bocznej drogi po lewej stronie furgonetką. Widziała znaki dawane światłami przez innych kierowców, słyszała przeraźliwe trąbienie, ale nie mogła zapanować nad wozem. Na szczęście w chwilę potem wszystko się skończyło i jej minicooper zatrzymał się na trawiastym poboczu.

- Boże! - stęknęła, słysząc dudnienie w uszach.

Wtem rozległ się głuchy dźwięk uderzających o siebie samochodów, potem drugi i trzeci. Sparaliżowana ze strachu Kate nie śmiała spojrzeć za siebie. Wiedząc, że to wszystko jej wina, modliła się, aby nie było ofiar.

GRA

„No to zaczynamy!” - ten sygnał dotarł do wszystkich niemal w jednej chwili.

Żona Jacka była przyzwyczajona, że w takich chwilach lepiej razem z dziećmi opuścić dom.

Prosiaczek zawsze usprawiedliwiał swoją nieobecność w pracy nagłą chorobą.

Simon i Roger nie miały się przed kim tłumaczyć.

- Bądźcie ostrożni - ostrzegała ich Ralph.

Nigdy wcześniej nie czuła się tak podle jak teraz, gdy została sama.

LAURIE

W przeddzień wizyty u syna Laurie zawsze była zdenerwowana. Z jednej strony cieszyła się ze spotkania z Samem, z drugiej, wiecznie się obawiała, że coś je to uniemożliwi. A o to właśnie ze wszystkich sił starali się jej rodzice. Próbowali zatrzymać córkę w domu latem, gdy chorowała matka, a także zimą ubiegłego roku, gdy ojciec złamał sobie nadgarstek.

I nie były to wszystkie kłopoty.

Laurie zawsze zastanawiała się, czy Sam ucieszy się na jej widok, czy dobrze się rozwija, czy będzie zadowolony ze spotkania i wreszcie jak wypadnie pożegnanie.

O sobie była spokojna.

Przypomniła sobie, jak kiedyś przy śniadaniu Sam nieoczekiwanie źle się poczuł. Nigdzie wtedy nie wyszli, a ona calusieńki dzień czuwała przy synku. I prawdę mówiąc, była to jedna z najszcześniejszych wizyt, gdyż bardzo jej wtedy potrzebował i Laurie znalazła się tam akurat we właściwym czasie. Zapewne wykwalifikowany personel placówki bardziej fachowo zająłby się chorym, ale Laurie była ogromnie dumna, że sama może to robić.

Opiekunowie to przecież obcy ludzie.

Traf chciał, że znów trafiła na opiekunkę, z którą już się kiedyś starła i o mało się nie wściekła.

- To przyjemne uczucie troszczyć się tak o dziecko, nieprawdaż? - odezwała się tamta kobieta do Laurie, wychodząc z pokoju, w którym leżał Sam.

- Oczywiście, choć wołałabym spędzać z nim czas w inny sposób - odpowiedziała, starając się dobierać słowa, a Jędrza uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i wyszła.

Do wizyty u Sama pozostawało trzynaście godzin i pięćdziesiąt minut.

W domu zaraz będzie kolacja.

W piątkowy wieczór przy stole zawsze panowała napięta atmosfera. Choć Sam skończył już osiem lat, nikt nie mówił o nadchodzącym weekendzie. Nic się nie zmieniło.

Laurie zachowała swojego rodzaju przywiązanie dla rodziców, ale w poprzedzające wyjazd do syna piątki serdecznie nienawidziła obojga. Może nawet bardziej, niż potrafiła się do tego przyznać.

Jeszcze trzynaście godzin i czterdzieści pięć minut.

GRA

Odpozywająca w swoim ogródku Ralph znalazła się nagle w samym oku cyklonu. Zewsząd otaczały ją uniesione z ziemi nagłym podmuchem wiatru wirujące w powietrzu zbutwiałe liście. Jednak Ralph zupełnie na to nie zareagowała.

Teraz myślała wyłącznie o nich.

Wyłącznie o nowej grze.

I jeszcze o ich pierwszej rozgrywce, w wyniku której już nigdy nie mogła osobiście wziąć udziału w akcji.

W chwilę później Ralph miała włosy pełne liści i drobnych kawałków roślin, które ułożyły się wokół głowy na kształt poskręcanej na wszystkie strony złotej korony.

Symbolu przywództwa.

Rzecz działa się trzy lata po spotkaniu w grobowcu. Dzieci miały wówczas po trzynaście lat, a ona trzydzieści trzy.

W tym czasie wiele się zmieniło. Przede wszystkim zabawa nie była już czysto dziecięcą rozrywką i górę w niej wzięła zwykła przemoc. Trzymano się jedynie zasady wyznaczania Bestii każdorazowo przez inną osobę z grupy. Przy czym Bestią stawały się osoby spoza grupy. Gdy Roger wpadła na ten pomysł, Prosiaczek od razu się przestraszył.

- To zbyt niebezpieczne - odradzał.

- Możemy wpaść - przestrzegała Simon.

- Nie ma się czego bać - twardo broniła swojego pomysłu Roger.

-Pewnie! Tylko trzeba trochę pogłówkować! - wsparł ją Jack.

I tak dzieciaki postanowiły izolować Bestię od reszty ludzi. Zamierzały działać pod osłoną nocy, mając twarze pokryte czernidłem i jaskrawymi, kolorowymi pasami. Te malowidła miały wzbudzić zdumienie i strach u wroga, a przede wszystkim umożliwić całej czwórce zachowanie anonimowości. Musieli działać bardzo ostrożnie nie tylko dlatego, że bali się opiekunów. Przede wszystkim obawiali się rozdzielenia w razie wypadki.

- Nie zniósłbym czegoś takiego - oświadczył Prosiaczek.

- To byłoby straszne - wtórowała Roger.

- Najprawdziwsze gówno! - zgodził się Jack.

- Za wszelką cenę musimy tego uniknąć - postanowiła Simon.

- Jesteśmy na to za głupi - uznał Jack. - No, chyba że Ralph coś wymyśli.

- Tylko, czy zechce - głośno zastanawiał się Prosiaczek.

- Przecież zawsze nam pomagała - odparła Roger.

I tak było w rzeczywistości. Z biegiem lat stała się dla nich autorytetem, a nie jedynie opiekunką. A początkowa fascynacja zamieniła się w całkowite uzależnienie.

- I co ja mam z wami zrobić? - spytała, gdy dzieci opowiedziały jej o swoim pomysle.

Zdały sobie sprawę z tego, że brak nagany oznaczał jej zgodę.

- Ale będziemy karać wyłącznie złych ludzi - poważnie oznajmiła Simon.

- To jasne jak słońce - potwierdził Jack, a Prosiaczek dodał:

- Przecież nie jesteśmy potworami.

Każdy mógł zostać Bestią, dzieciaki wyczuwały jednak, jakie ryzyko wiąże się z wytypowaniem tej czy innej osoby. Rozumiały, że nie mogą wybrać żadnego,

choćby najbardziej znienawidzonego nauczyciela czy żylastej, posiwiałej megier, prowadzącej sklep w Bartlem, bacznie obserwującej każde dziecko z Challow Hall, które znalazło się na jej terytorium. Co innego sprzątaczką w domu dziecka.

Tęgawa Rose Miller o zmizerowanej, zdradzającej słabe zdrowie twarzy pracowała w domu dziecka pięć dni w tygodniu. Mieszkała w jednym z szeregowych domków na skraju wioski. Była łagodna i czuła w stosunku do cuchnącego kundla, na którego wołała Billy, i nie miała za grosz cierpliwości ani dla swojej córki, ani dla syna. Stale mówiła do obojga podniesionym głosem i je popychała. Czy to w sklepie, czy na ulicy potrafiła nieźle im przyłożyć i dzieciaki zawsze bały się dalszego bicia po powrocie do domu.

Dla naszej czwórki nie istniało większe przestępstwo, niż gdy matka znęca się nad swoimi dziećmi, nic więc dziwnego, że jednogłośnie wybrały na Bestię właśnie Rose. Na początek postanowiono trochę ją postraszyć.

-I musi poznać, co to ból - rzucił Jack podczas dyskusji w Wayland's Smithy.

- Żadnej przemocy! - Ralph natychmiast ostudziła ich zapędy. - Nie jesteśmy bandziorami.

- Przecież sobie na to zasłużyła - zaproponował Prosiaczek, a Ralph usłyszała wyraźne pragnienie zemsty w jego głosie. Winą za to obarczyła znęcających się nad nim rodziców, których okrutne postęпки zostawiły trwałe ślady w psychice tego ze wszech miar spokojnego chłopca.

- Powiedziałam, bez przemocy.

- No to kłapa, skoro nie można dokopać tej krowie - skwitował Jack.

- Wcale nie - podjęła Roger. - Nastraszymy ją i damy do zrozumienia, że musi zmienić swoje postępowanie w stosunku do dzieci, w przeciwnym wypadku zostanie ukarana.

Gdy tylko Roger skończyła, wszystkie oczy zwróciły się na przywódczynię. Ta wiedziała, że powinna się sprzeciwić temu pomysłowi. Jednak ciekawość wzięła

góre i Ralph właściwie nie zajęła żadnego stanowiska w sprawie, choć była niezmiernie zadowolona z pomysłowości swoich podopiecznych.

Przez chwilę panowała konsternacja.

- A jak coś się nie uda? - denerwowała się Simon. - Jak ta jędza nas pozna i zakabluje?

- Nie pozna - przerwała Roger. - A gdyby się ośmieliła, to...

- W najgorszym wypadku nas zamkną - podsumował Jack.

-I to każdego oddzielnie - dodał smutno Prosiaczek.

- Może się też zdarzyć, że nikt jej nie uwierzy - zaczęła Ralph i opowiedziała, że podejrzewa sprzątaczkę o machlojki przy ustalaniu wysokości należnego jej zasiłku. Przyznała się, że już wcześniej przyjrzała się bliżej Rose Miller i ustaliła, że kobieta pracuje dodatkowo w trzech innych miejscach w okolicy. Ralph wspomniała też, że stała na poczcie w Ashbury w kolejce za panią Miller i widziała, jak ta odbierała zasiłek.

- Będziemy ją szantażować - z ulgą stwierdził Jack. -Nie - sprzeciwiła się Ralph. - Gdyby coś poszło nie po naszej myśli, to musimy tak wszystko rozegrać, żeby nikt jej nie uwierzył.

- Szkoda, że do tego doszło - stwierdziła Ralph, rozmawiając z grupą w zapuszczonym ogródku warzywnym należącym do placówki, gdzie bawiło się sporo innych dzieci. Jej czwórka szła obok, na zmianę niosąc sfatygowaną aktówkę swojej opiekunki. Od czasu do czasu Ralph zatrzymywała się, by podnieść z ziemi sflaczałą piłkę, którą od niechcienia kopały dzieciaki.

- Ale nic nie powiesz? - dopytywał się Prosiaczek.

- Jasne, że nie - zapewniła. - Muszę zastanowić się jeszcze nad tym wszystkim.

- My już obgadaliśmy całą sprawę - rzuciła Roger.

- Musicie pamiętać, że bez względu na to, jak bardzo zła byłaby pani Miller, nie wszystko, co planujecie, jest właściwe.

Dobre i złe postępowanie, właściwe i niewłaściwe uczynki, wtedy jeszcze Ralph widziała między nimi różnicę.

- Musimy? - zareagowała ostro Roger. - Przecież nam pomagałaś, nie pamiętasz?

- Pamiętam - potwierdziła Ralph, na co Roger niepewnie rozejrzała się dookoła.

- Zabronisz nam tego? - dopytywał się Jack.

- Nie muszę się przed wami tłumaczyć - zachnęła się ich przywódczyni - i prawdę mówiąc, nawet nie wiem, jak miałabym to zrobić.

Podrzuciła piłkę do góry i chwyciła. Dyskretnie rozglądając się wokoło, stwierdziła, że nikt na nich nie zwraca uwagi, po czym oddała piłkę Jackowi.

- Nie wiem, czy powinniśmy to zrobić - przyznała Simon.

- A ja nie mogę się już doczekać - rzuciła Roger.

- Widzę, że już cię świerzbią ręce - podsumowała Simon.

- Nie ma obawy, nic jej się nie stanie - zapewnił Jack.

Ralph popatrzyła kolejno na każde z dzieci ubrane w przepisowy szary mundur i po raz pierwszy doznała uczucia straty.

- Pamiętajcie, że tym razem nie będzie mnie z wami - przypomniała im.

- Jasne, przecież wszystko już ustaliliśmy - odpowiedziała Roger.

- Wszystko się uda, jeśli nas nie sypniesz - stwierdził z wyraźną groźbą w głosie Jack, co natychmiast zaniepokoiło przywódczynię. Jednak nie bała się o siebie, lecz o tego łobuziaka.

- Ralph nigdy nas nie zdradzi - oświadczyła wreszcie Simon.

Choć miała ich zostawić samym sobie, nie wytrzymała i z bezpiecznej odległości obserwowała poczynania grupy. Tak na wszelki wypadek. Musi pilnować swoich podopiecznych, strzec ich. Tymczasem gra zaczęła się zgodnie z planem.

Gdy sprzątaczką wyszła do pracy, dzieci zabrały jej ulubionego psa. Ponieważ pociechy pani Miller przebywały w szkole, a kobieta mieszkała sama, nikt im w tym nie przeszkadzał. Pod wieczór Roger wybrała się do najbliższej budki telefonicznej i stamtąd powiadomiła swoją ofiarę, że widziano jej psa przywiązanego do płotu w Bartlet Down.

-Kto mówi? Kto mówi? - dopytywała się sprzątaczką, lecz Roger tylko spokojnie odłożyła słuchawkę.

Zgodnie z oczekiwaniami Rose Miller zjawiała się po ulubieńca sama. Grupa obawiała się, że sprzątaczką może zabrać ze sobą dzieci, ale było za zimno i za ciemno. Simon przewidziała, że kobieta zostawi swoje pociechy w domu bez opieki. Sprzątaczką szła wolno, zakutana w ciepłą kurtkę z kapturem nałożonym na wełnianą czapkę, oświetlając sobie drogę latarką.

Pies był cały i zdrowy, ale dzieci, chcąc go uciszyć, zawiązały zwierzakowi pysk długim, zielonym szalikiem, który Jack zwędził wracającej z zakupów pasażerke autobusu. Pospiesznie zamotany węzeł nie spełnił swojego zadania i wokoło słychać było przeraźliwe skomlenie.

-Billy! A cóż ty tu robisz, piesku? - jęknęła Rose, gdy już dotarła do swego ulubieńca.

Gdy tylko się nachyliła, by uwolnić psa, dzieci wyskoczyły z ukrycia.

Obserwującej wszystko zza drzewa Ralph zrobiło się niedobrze. W świetle latarki i poświacie półksiężyca zobaczyła wymalowane twarze czwórki napastników i nie na żarty przerażoną Rose Miller. Ralph musiała mocno przyłożyć dłoń do ust, żeby opanować nudności.

W tym samym czasie już nie wszystko szło według planu. Pod wpływem strachu napadnięta kobieta zmieniła się w wojowniczkę, której sile nie mogło się oprzeć żadne z dzieci.

-A bandziory! - wrzeszczała, strząsając z siebie wczepionego w jej ramię Jacka. Walczyła z całych sił, kopiąc i machając zaciśniętymi pięściami we wszystkie strony. Billy wtórował swojej pani przeraźliwym jazgotem.

Trzeba coś zrobić, pomyślała Ralph. Wóz albo przewóz.

Nawet gdy już ruszyła do przodu, wciąż nie miała sprecyzowanego planu działania. Pomyślała, że musi wkroczyć natychmiast, a może wtedy Rose Miller pomyśli, że to odsiecz, a dzieciaki zyskają czas na zniknięcie... Niestety, w ferworze walki napadnięta kobieta uznała wyłaniającą się z ciemności postać za kolejnego napastnika i głośno ryknęła.

-Proszę pani... - zaczęła Ralph, ale w tej samej chwili otrzymała potężny cios w pierś. Na chwilę znieruchomiała, po czym zachwiała się na śliskim pagórku i upadła. Być może jednak wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie silne uderzenie głową w pień rosnącego poniżej drzewa.

Ralph straciła przytomność.

KATE

Zaraz po wypadku zjawili się bardzo wielu ludzi. Policja, okoliczni mieszkańcy, ambulans i kilku kierowców. Tak długo, jak nie znano prawdziwego stanu Kate, wszyscy byli dla niej niezwykle wyrozumiali. Gdy jednak okazało się, że wyszła cało z opresji, natychmiast zaczęły się niemiłe uwagi:

- No tak! Baba za kierownicą!
- Żadna kiecka nie powinna dostać prawa jazdy!
- Przecież one w ogóle nie wiedzą, jak kierować samochodem!

Przestraszona wypadkiem Kate starała się nie zwracać uwagi na zaczepki. Policja zaczęła powoli odblokowywać ruch na szosie, likwidując długi korek, jaki zdażył się utworzyć. Kate cieszyła się, że właściwie nikomu nic się nie stało, bo tylko jednemu z kierowców opatrywano w karetce ranę na głowie.

- Czy mogę już jechać dalej? Zajmiecie się tym panem? -zwróciła się Kate do ratowników. - To nie moja wina, po prostu wystrzeliła mi opona, więc...

- Nigdzie pani nie pojedzie - przerwał policjant. - Musimy tu wszystko wyjaśnić.

Kate odpowiadała więc na niekończące się pytania, sprawdzono jej prawo jazdy i ubezpieczenie. Kazano też dmuchać w alkomat, który wykazał, że jest trzeźwa. Miała szczęście, że w trakcie pakowania rzeczy jedynie liznęła troszeczkę wina. Wreszcie podziękowała policjantom za założenie jej zapasowego koła, które na szczęście było w porządku, a do którego nie zaglądała od dnia kupienia wozu, i po godzinie przymusowego postoju ruszyła z powrotem do Reading. Właśnie tam odwieziono pokaleczoną mężczyznę. Nie wiedziała, jak nazywał się poszkodowany, ale musiała poznać stan jego zdrowia. Inaczej nie zaznałaby spokoju przez cały weekend.

Chociaż jedyny poszkodowany w wypadku kierowca nie doznał ani złamań, ani wstrząsu mózgu, pozwolił sobie na kilka przykrych uwag. Uważał, że Kate powinna ponownie zdać egzamin, podpowiadał, że są kursy „dla takich jak ona”, i miał nadzieję, że choć trochę czuje się winna, skoro interesuje się jego stanem zdrowia. Kate uznała, że mężczyzna może być w szoku, więc postanowiła nie reagować na zaczepki, czekając cierpliwie na koniec tyrady.

- To naprawdę nie była moja wina - powiedziała wreszcie spokojnym tonem i w tej samej chwili przeszło jej przez myśl, że nie dość łagodnie traktuje tych, których kocha.

I znów mocno zatęskniła za Robem. Nie chciała jednak do niego dzwonić, żeby nie wyjść na idiotkę i by nie uznał, że usiłuje odciągnąć go od Emmie. W szpitalnym automacie kupiła sobie colę i chipsy. Następnie skorzystała z toalety i wyszła na parking przed budynkiem. Tam sprawdziła pocztę głosową, na wypadek gdyby i Rob nagle zatęsknił. Owszem, była wiadomość, ale od Bel. Kate wsiadła do samochodu i zadzwoniła do matki.

- Słucham - usłyszała, ale to nie była Bel. Poznała głos Sandi West.

No tak, nieodłączna Sandi, pomyślała i postanowiła więcej się jej nie czepiać, skoro matka dobrze się czuła w towarzystwie tej kobiety.

- Cześć Sandi, tu Kate - odrzekła spokojnym tonem.

- Miło cię słyszeć - usłyszała sarkastyczną odpowiedź i aż musiała zacisnąć zęby. - Muszę ci też od razu powiedzieć, że bardzo zdenerwowałaś matkę, rzucając słuchawką podczas ostatniej rozmowy. Lepiej było wysłuchać roztropnej rady.

- Mniejsza o to. Poproś mamę do telefonu.

- Niestety nie ma jej, wyszła do apteki.

- Czy źle się czuje? - zapytała, oczekując dalszego ciągu połajanki.

- Nie, nie. Poszła po lekarstwa dla mnie. Będę musiała wyjechać na weekend, a właśnie nasiliły mi się bóle, więc twoja mama zaoferowała mi pomoc.

Wobec powyższego Kate postanowiła zakończyć rozmowę, zanim się zirytuje. Jednak gdy zaraz po tym zadzwonił telefon, aż podskoczyła z wrażenia. Rzuciła okiem na wyświetlacz i rozpoznała numer taty.

- Słucham.

- Już doszłaś do siebie? - usłyszała i złękła się ponownie, skąd ojciec mógłby coś wiedzieć o wypadku. - Pytam, bo chyba nie byłaś sobą podczas wizyty u nas - wyjaśnił, a Kate się uspokoiła.

- Popisałam się, nie ma co. Jest mi naprawdę przykro. Przepróż Delię w moim imieniu.

- Zrobi się, córeczko - usłyszała i odetchnęła, że ma tak wyrozumiałego tatę.

- Czy nie jesteście czasem na lotnisku?

- Ja siedzę sam w domu, a Delia właśnie walczy z kryzysem.

- O co chodzi?

- Sprawy rodzinne.

- W Australii? - zapytała ucieszona wizją Delii wsiadającej do samolotu linii Qantas. Jednak z uwagi na ojca, który mógłby przecież tęsknić za swoją panią, zaraz spoważniała.

- Nie, w hrabstwie Kumbria, daleko na północy - wyjaśnił, ale Kate nic nie wiedziała o krewnych Delii. - Właściwie to zadzwoniłem powiedzieć, że cię kocham. A jeśli masz ochotę pogadać, to moje drzwi zawsze są dla ciebie otwarte.

- To cudownie. A wiesz, właśnie jadę do Caisleán na weekend.

- To miejsce w sam raz dla ciebie.

- Mam nadzieję, że trochę tam odpocznę.

- Tylko jedź ostrożnie.

- Jasne - obiecała. - I nie martw się o mnie.

- Na to nie licz, przecież jestem twoim ojcem.

LAURIE

W przeddzień wyjazdu Laurie do Sama wydarzyły się dwa nieszczęścia. Najpierw pękła rura biegnąca w kuchennym suficie, który zawalił się z hukiem, niszcząc wspaniały, granitowy blat kuchenny i rujnując bukową podłogę. Od razu też wyskoczyły wszystkie korki i matka miała pretekst, aby zatrzymać Laurie w domu.

- Przecież już sprzątnęłam - broniła się, zmiatając z podłogi potłuczone szkło. - A jutro wieczorem, jak wrócę, to też pomogę.

- Może przeniosłabyś odwiedziny na przyszły tydzień - naciskała matka.

Pete ściągał już ludzi do pomocy. Pracujący w stajni Dave i Frank biegli w stronę domu.

- Przecież wiesz, że tego nie zrobię - zwróciła się Laurie do mamy.

- Jemu przecież jest wszystko jedno, kiedy przyjedziesz.

- Szkoda, że to powiedziałaś, bo właśnie się zastanawiałam, czy rzeczywiście nie zostać - Laurie poczuła, jak burzy się jej krew w żyłach.

- I oczywiście teraz postawisz na swoim.

- Oczywiście!

- Trudno, poradzimy sobie bez ciebie - odparła z niesmakiem matka.

- Będziecie musieli.

Laurie miała już wyjechać po pizzę i wodę dla robotników, gdy okazało się, że ma niesprawny samochód. Pierwszy raz jej polo odmówił posłuszeństwa.

- No, ruszaj! Nie utrudniaj! - zaklinała wóz.

Auto pozostało niewzruszone, więc choć Laurie mogła przewidzieć, co powiedzą rodzice, musiała poprosić ich o pomoc. Niestety, nie była członkiem Związku Motorowego, a ojciec z pewnością nie wykorzysta swojej legitymacji dla córki (co prawda matka miała beemkę, ale pożyczenie samochodu z oczywistych powodów odpadało). Podejrzewała też, że ojciec nie sprowadzi żadnego mecha- nika z miasta. Sama nie mogła tego zrobić, ponieważ dwa dni temu przekroczyła debet na karcie, a za przyjazd fachowca w piątkowy wieczór płaciło się podwój- nie. Laurie spłukała się na przepiękny, czerwony szalik dla Sama i miała nadzie- ję, że prezent przypadnie mu do gustu.

Trudno, spróbuje porozmawiać z ojcem.

Pan Moon pracował z Frankiem w kuchni. Gdy nadeszła Laurie, obaj stali na drabinie, a ojciec krzyczał coś do hydraulika, który znajdował się gdzieś na pię- trze.

- Moja droga, czy nie widzisz, co się dzieje? - zapytał zirytowany.

- Może ktoś inny mógłby zajrzeć do auta, Dave albo...

- Chyba żartujesz - przerwał ojciec.

W tym momencie Laurie pochwyciła spojrzenie Dave'a przyświecającego Frankowi latarką. Stajenny najpierw spojrzał ostrożnie na swego pracodawcę, a potem na nią i, jak sądziła, puścił do niej oko. Jednak nie miała pojęcia, co to mogło oznaczać, jeśli w ogóle się zdarzyło.

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Gdy tylko obaj pomocnicy posprzątali jako tako bałagan w kuchni, Dave poprosił o kluczyki do wozu i w niespełna pół go- dziny wszystko naprawił.

- Uratowałeś mi życie! - zawołała radośnie Laurie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - Dave uśmiechnął się szeroko, choć jed- nocześnie szybko rozejrzał się dookoła niczym spiskowiec.

Gdy wyszedł, Laurie zastanowiła się, czy stajenny nie domyśla się czasami, gdzie ona ma zamiar wyruszyć jutro rano. Jednak nie mógł przecież o niczym wiedzieć, wszak oficjalnie Sam nie istniał.

Laurie puściła wodze fantazji. Wyobraziła sobie, że ten wysoki przystojny szaryn z niewielkim tatuażem na ramieniu poznał jej tajemnicę i zaraz poprosi, aby go zabrać ze sobą. Potem okaże się, że Sam wprost uwielbia Dave'a, który od dawna jest w niej zakochany i teraz jej się oświadczy. Oczywiście Sam zamieszka razem z nimi i... ale ja jestem głupia, oprzytomniała nagle Laurie.

Do odwiedzin pozostało jeszcze osiem godzin i trzydzieści minut.

TLR

GRA

Po ciosie, jaki otrzymała, Ralph długo leżała w szpitalu i trzeba było zmienić zasady kolejnych gier. Musiała też zrezygnować z pracy w Challow Hall. Podopieczni odwiedzali ją, kiedy tylko mogli.

Wciąż była szefem, lecz po akcji w Bartlet Down stała się grupie jeszcze bliższa. Dzieciaki zawdzięczały jej wolność i dzięki niej spostrzegły sens dalszego życia.

Tamten wieczór wszystko zmienił.

Gdy Ralph ocknęła się i otworzyła oczy, Simon klęczała obok, oświetlając jej twarz latarką. Rannej natychmiast wróciła pamięć.

- Co z Rose Miller? - spytała.

- Uciekła - oznajmiła Simon i przesunęła na bok latarkę. Ralph spojrzała na wystraszone i pozbawione wojennych barw twarze dzieciaków. Obok, wciąż uwiązany, skowyczał Billy.

- Uciekła jak oparzona - wyjaśnił Prosiaczek.

--Kiedy?

- Przed chwilą - powiedziała Simon.

- Nie straciłaś przytomności na długo - zapewniała Roger.

- Jak się czujesz? - martwił się stojący nieco dalej, z psem na smyczy, Jack. Ze swojego miejsca kątem oka widział, że nie jest z nią najlepiej.

- Nic mi nie będzie - zapewniła.

Gdy później wracała do tamtych wydarzeń, była zadowolona, że zdołała opanować sytuację i poinstruować dzieci, co mają robić. Pomyślała nawet o smyczy i szaliku, którym związano zwierzakowi pysk.

- Musicie spalić to i wszystkie rzeczy, których używaliście do zmywania farby z twarzy - poleciła. - I nie zapomnijcie wyczyścić potem paznokci.

- Zrobi się - zapewniła Roger.

- Teraz wracajcie do domu i od razu kładźcie się spać.

- Nie zostawimy cię tutaj - zaprotestowała Simon.

- Bez gadania! - zakomenderowała Ralph. - Miller pewnie już zadzwoniła na policję. Jednak nie musicie się tym przejmować, nie rozpozna nikogo z was. A w razie czego będę zeznawać przeciwko niej. Róbcie, co mówię, a wszystko pójdzie dobrze.

Gdy tylko Jack uwolnił psa od szalika i smyczy, Billy warknął złowrogo, kłapnął zębiskami, zaszczekał, a wreszcie pognał przed siebie.

- A teraz już idźcie. Pospieszcie się! - ponaglała Ralph.

Po chwili wahania wszyscy zniknęli w ciemnościach. Chciała zostać tu jeszcze kilka minut, żeby dzieciaki mogły uciec, a potem zamierzała się podnieść i wrócić do domu o własnych siłach. Niestety, znowu straciła przytomność.

Obudziły ją czyjeś zatroskane głosy i silne ręce, które dźwignęły ją z ziemi. Aby ochronić dzieci, Ralph gotowa była oskarżyć Rose Miller o napaść. Dopiero później zdała sobie sprawę z tego, że pochłonięta obmyślaniami alibi dla tamtych czworga, zupełnie zapomniała o swoim stanie.

Kiedy przy jej szpitalnym łóżku w Swindori zjawił się Jack, skarciła go ścisłym głosem:

- Nie powinieneś tu przychodzić.

- Wszyscy chcą cię odwiedzić, ale zdajemy sobie sprawę z tego, że nie powinniśmy przychodzić tu razem.

- To byłoby wspaniale, ale nie możemy sobie pozwolić na coś takiego - wyjaśniła Ralph i dodała: - Wiesz, Rose Miller została oskarżona o ciężkie pobicie.

- Super! - triumfował Jack.

- Ale nie możesz się tu pokazywać. Trzeba poczekać na wyrok.

- Rozumiem - odrzekł. - A czy będziesz musiała tam... no wiesz?

- Zeznawać? - Ralph pomogła znaleźć właściwe słowo.

- Myślę, że tak.

- Ale jaja! - niemal krzyknął.

Jack został jeszcze trochę i po zjedzeniu kilku winogron przyznał się, że załupł cegłą kundla Millerowej.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała przerażona Ralph. - Przecież nie chodziło nam o psa.

- Musiałem - zaparł się Jack. - Musiałem się na niej jakoś zemścić.

- Przecież baba stanie przed sądem. Czy to nie wystarczy? - pytała szeptem.

- Nikt nie wie, że to zrobiłem. Wrzuciłem go do wody, więc pomyślą, że gdzieś przepadł. Nikt go nie znajdzie. Nie martw się o mnie.

- Nie o to chodzi.

Jack spojrzał na nią z wahaniem.

- Czy to znaczy, że już mnie nie lubisz?

- Ależ nie! - zapewniła, czując, że robi jej się słabo. - Ale wolałabym, żeby do tego nie doszło.

- Kiedy ja to zrobiłem dla ciebie.

Przed sądem Ralph potwierdziła swoje wcześniejsze zeznania zaprotokołowane na policji. Mówiła, że spacerując po Bartlet Down, usłyszała psi skowyt i poszła w kierunku uwiązanego zwierzaka. Zobaczyła przy nim oskarżoną, którą znała z Challow Hall, i to właśnie pani Miller zupełnie bez powodu napadła na nią tamtego wieczoru.

- Wydaje mi się, że oskarżona mogła czuć się zdezorientowana i pewnie się przestraszyła. Właściwie, to trudno się dziwić. Było ciemno, a przywiązany do płotu pies cały czas skowyczał. Moim zdaniem pani Miller napadła na mnie przez przypadek - wypowiadając te słowa, Ralph spojrzała na siedzącą w sali kobietę i zrobiło jej się żal tamtej. - Chociaż będę odczuwać skutki naszego nocnego spotkania do końca życia, jestem gotowa wybaczyć oskarżonej.

Rose Miller przedstawiła swoją wersję wypadków, całkowicie odbiegając od opisu wydarzeń podanego przez poszkodowaną, która, okazując wspaniałomyślność, już prawie jej wybaczyła.

Ostatecznie sprzątaczkę uznano za winną ciężkiego uszkodzenia ciała i dano jej wyrok w zawieszeniu.

Życie Ralph uległo całkowitej zmianie. Na skutek krzywoprzysięstwa już nieodwołalnie związała się z tamtą czwórką. Porzuciła też myśli o własnym dziecku, i to nie ze względu na stan zdrowia. Po prostu żaden facet nią się nie interesował, a i sama Ralph nie miała ochoty na jakikolwiek związek.

Kiedyś już przecież była w ciąży, ale ojciec zmusił ją do zabiegu.

A przecież wtedy jeszcze żyła matka. Do dziś Ralph dźwięczały w głowie słowa ojca: „Jeśli piśniesz choć słówko, zabijesz własną matkę”. I nie pisnęła.

„Jeśli urodzisz, matka tego nie zniesie”, oświadczył innym razem.

Matka umarła, gdy było już po wszystkim. Dopiero wtedy ojciec zostawił ją w spokoju, ale było już za późno.

Teraz jeszcze doszły te obrażenia, więc Ralph pozostało jedynie czworo cudzych dzieci. Bez nich życie nie miałoby sensu. Chciała być z nimi na dobre i na złe. Na zawsze.

Mijały lata, wspomnienia Challow Hall rozwiały wiatr, lecz Ralph wciąż pisała swój pamiętnik. Przedstawiała w nim zachodzące w grupie zmiany i swoje relacje z dziećmiakami.

A te dzieciaki stały się już dorosłymi ludźmi.

Roger: zamieszkała w Reading i tak jak się tego spodziewaliśmy, została aktorką. Występowała w sztukach radiowych, była lektorką i nie pojawiała się w telewizji. Woląa rozgłoszenie radiową, a dodatkowo brała udział jako wolontariuszka w programach dla więźniów. Jej zadaniem było prowadzenie rozmów z osadzonymi, którzy po prostu mogli pogadać w ten sposób z kimś z zewnątrz. Byłam z niej niezmiernie dumna, nawet po tym, gdy wyznała, że w chwili zatrzaśnięcia się za nią bramy więziennej przeżywa coś w rodzaju wewnętrznego uniesienia, utrzymującego się przez cały czas pozostawania w tym niebezpiecznym miejscu. Oczywiście, te przeżycia w żaden sposób nie mogły równać się z adrenaliną, jakiej dostarcza nam kontynuowana do dzisiaj gra.

Simon: została nauczycielką w podstawówce w Oxford, gdzie bardzo jej się przydaje łagodne usposobienie. Powiedziała, że wzorując się na mnie, chce pomagać dzieciom, co bardzo mi pochwlebia. Niestety, cały czas miewa napady depresji. Simon, podobnie jak Roger i Prosiaczek, jest samotna. Podobno kiedyś Roger poinformowała Simon, że Prosiaczek się w niej podkochuje i od tego czasu odnosi się do niego z większą rozwagą, bo nie może odpowiedzieć miłością. Sądzę, że Simon panicznie boi się ciąży i błędnie sądzi, że byłaby złą matką. Jestem przekonana, że byłoby wręcz przeciwnie.

Prosiaczek: został inżynierem i choć z powodzeniem pracuje w British Telecom, wciąż ma kompleks niższości. Sądzę, że właśnie dlatego nie chce nawiązać kontaktu z siostrą. Kiedyś nawet powiedział, że lepiej jej będzie bez

brata. Trochę mnie to martwi. Prosiaczek rzeczywiście zakochał się w Simon i, niestety, zdaje sobie sprawę, że bez wzajemności. Uważam, że Prosiaczek ma największe szanse z nas wszystkich, aby założyć rodzinę. Jednak wtedy musiałby z nami zerwać, a grupa jest mu potrzebna jak powietrze, więc z pewnością do tego nie dojdzie.

Jack za to nie ma żadnych problemów emocjonalnych. Mieszka w Newbury z żoną, którą, jak sam mówi, ponieważ - a ja dodam, nad którą się po prostu znęca - i dwójką dzieci: chłopcem i dziewczynką, które uwielbia. Jack jest włamywaczem, a większość forsy przepuszcza, obstawiając zakłady bukmacherskie. Nie ma najmniejszych wyrzutów sumienia, że okrada innych. Mało tego, uważa ludzi za frajerów. Twierdzi, że skoro są tak głupi, żeby nie umieć zabezpieczyć mieszkania przed włamaniem, to nie jego sprawa. Otwarcie mówi, że w każdej chwili może od nas odejść, w co nie bardzo chce mi się wierzyć. Uważam bowiem, że imponuje mu pozycja twardziela, jaką wśród nas zajmuje.

Jestem przywiązana do każdego z nich, choć nigdy nie potrafiłam określić, co właściwie mnie z nimi łączy. Jednak najbardziej mi zależy na Jacku, który znalazł się na złej drodze. Chciałabym to jakoś zmienić. Niemniej wszyscy go szczerze kochamy, a przynajmniej ja.

Aha, jeszcze jedno. Skoro Jack jest zły, to ja jestem jeszcze gorsza.

Z wyjątkiem sprawy Rose Miller Ralph nie miała kłopotów. Zawsze mogła zrobić na życie. Pracowała nawet w poradni telefonicznej jako konsultantka, pomagając ludziom. Jednak przede wszystkim czerpała satysfakcję z przywództwa.

Akcje grupy jednocześnie przerażały i ekscytowały Ralph, a przez to, że zdarzały się niezwykle rzadko, były ciekawsze. Dziecięce zabawy - jak je określała - już dawno przestały być niewinne.

I tylko ona ponosiła za to odpowiedzialność.

Pomyślała nawet, że gdyby udała się do jakiegoś terapeuty, ten nakłaniałby ją do zakończenia gry. Jednocześnie skróciłaby o głowę każdego, kto ośmieliłby się nawet spróbować rozdzielić ją z podopiecznymi.

TLR

KATE

Gdy Kate ponownie usiadła za kierownicą, miała znacznie lepszy humor niż przed wypadkiem. Cieszyło ją to, że przynajmniej pogodziła się z ojcem.

Rozważając wszystkie za i przeciw, uznała, że postąpiła właściwie, nie telefonując do Roba i nie przeszkadzając mu w spotkaniu z Emmie. Okazało się, że wcale nie jest taką egoistką. Kate wierzyła, że w swojej samotni przyjemnie spędzi czas przy lampce wina, trochę odpocznie, a może nawet, po raz pierwszy od dłuższego czasu, wysmaruje jakiś prowokacyjny felietonik. A od poniedziałku zaczęła poprawiać swoje stosunki z Robem, Bel i Firemanem.

Nagle coś przemknęło tuż przed samochodem. Może to lis, pomyślała Kate, hamując gwałtownie i szczęśliwie omijając przeszkodę. Z walącym sercem zerknęła we wsteczne lusterko, ale i tym razem cała wyszła z opresji. Jak się okazało, nie było jej pisane spokojnie dotrzeć do celu i swojego upragnionego kieliszka czerwonego wina.

GRA

Przez ostatnie kilka lat każdy z podopiecznych Ralph raz już wyznaczył Bestię. Obecnie przyjęli taktykę obarczania swojej ofiary winą za przestępstwa dokonywane przez grupę. Zdali sobie jednak sprawę z tego, że nie będzie łatwo postawić Bestię w stan oskarżenia, tak jak to się stało w wypadku Rose Miller.

- Na tym polega nasza zabawa, żeby próbować. I nic na to nie poradzimy - obwieściła Simon na jednym ze spotkań.

Siedzieli wtedy w zajeździe „Boathouse” w Wallingford. Niestety, spotykali się w miejscach, którym daleko było do tajemniczości neolitycznego kurhanu. Za to można było tam wynająć pokój albo pogadać w ogródku. Tego chłodnego, listopadowego popołudnia siedzieli przy stoliku nad rzeką i byli jedynymi gośćmi. W takich sytuacjach mogli położyć na blacie głośno mówiący telefon i w ten sposób porozumiewać się z Ralph.

- Nie powinnaś mieć do nich pretensji, że spartaczyli robotę - Jack klarował Simon - bo sama jesteś tchórzem.

- Simon jest po prostu delikatniejsza niż my - bronił jej Prosiaczek.

- Do dupy z taką robotą! - zadrwił życzliwie Jack.

Gdy nie prowadzili gry, każdy wiódł własne życie. Nie spotykali się, nie telefonowali do siebie. Kiedy jednak ktoś znalazł kandydata na Bestię, natychmiast dawali znać Ralph. A ona w takich chwilach odżywała, bo znów czuła się potrzebna.

Najpierw wysłuchiwała informacji, jakie zebrała grupa. Potem robiła własne rozeznanie, rozważała sprawę i prezentowała swoje stanowisko na spotkaniach takich jak dzisiejsze. Ralph bardzo rzadko zjawiała się osobiście. Jednak to ona

zawsze wyznaczała miejsce spotkania i zdalnie prowadziła dyskusję. Wciąż była ich przywódcą.

- Bez ciebie nie podejmujemy żadnego zadania - zapewniali ją zgodnie.

Oto cena podziału zadań i wspaniałej konspiracji. Samotność.

Kiedyś Ralph wygadała się, że bardzo za nimi tęskni.

- Musisz nas bardzo kochać, bo przecież jesteśmy bandą zwykłych pomyłków - zawyrokował Jack.

- Nic na to nie poradzę - odpowiedziała, śmiejąc się do słuchawki.

Zawsze kładła nacisk na prostotę działania i zachowanie właściwych środków bezpieczeństwa. Niekiedy dwa niespokojne duchy, Jack i Roger, objawiały niezadowolenie, gdy szefowa odrzucała ich bardziej ambitne plany. Niezrażona Ralph wciąż podkreślała, że „najprostsze działanie oznacza bezpieczeństwo” i wszyscy musieli się tego trzymać. Sama miała jednak świadomość, że nie zawsze tak będzie. Właściwie to nigdy nie jest ani wystarczająco łatwo, ani wystarczająco bezpiecznie.

Przed trzema laty zadzwonił do niej Prosiaczek, informując o nowej Bestii. Jak nigdy dotąd, był strapiiony i wściekły jednocześnie. W owym czasie jego rodzice od kilku lat cieszyli się już wolnością. Nie mieszkali razem i żadne z nich nie szukało kontaktu z synem. Do Prosiaczka zadzwoniła sąsiadka matki, June Norton, informując, że tamta jest poważnie chora i pragnie zobaczyć się ze swoim synem.

- Nie ma mowy - oponował. - Nic z tego.

- Ale pana matka umiera i naprawdę potrzebuje bliskiej osoby - przekonywała pani Norton.

Wreszcie, po długich namowach, Prosiaczek przełamał się i zapewnił, że odwiedzi matkę. Sam nie bardzo wiedział, dlaczego w końcu powiedział „tak”. Z oczywistych względów nie robił tego dla niej. Jedynym uczuciem, jakie żywił do swej rodzicielki, było obrzydzenie. Czuł do niej wstręt za znęcanie się nad jego

malutką siostrzyczką i nad nim samym. A teraz nie wiedział, czy zgodził się na odczepnego, czy może chciał się ucieszyć z cierpienia tej kobiety.

W sobotnie popołudnie wyruszył ze Swindon do Wokingham. Tam niepewnym krokiem wszedł do zaniedbanego mieszkania na uboczu, do którego zaprowadziła go June Norton, piersiasta blondynka w średnim wieku, spryskana mdłymi perfumami.

- To tam - powiedziała pani Norton, wskazując słabo oświetlone pomieszczenie.

Prosiaczek wszedł i zrobiło mu się niedobrze. W pokoju panował niesamowity zaduch. Pachniało tu chorobą, śmiercią i perfumami blondynki. Ohyda.

Nie poznał matki w tej zasuszonej starej kobiecie, mimo to uważał, że powinien zacząć rozmowę:

- Jak się masz? - spytał.

- Umieram - odpowiedziała.

Prosiaczek zmusił się, by spojrzeć w oczy leżącej, jednak jej twarz pozostawała dlań obca, a gasnące oczy nie przypominały tamtych sprzed lat, budzących przeraźliwy strach. Wychudłe i posiniaczone ręce kobiety, które sprawiły tyle bólu jemu i siostrzyczce, ręce, którymi matka gasiła papierosy na nóżkach małego synka, spoczywały na brudnym prześcieradle.

- Dobrze, że w końcu przyszedłeś - usłyszał jej głos.

- Doprawdy?

Na szczęście odwiedziny nie trwały długo. Matka nie przeprosiła go i nie prosiła o wybaczenie, czego oczekiwał. June Norton nie poczęstowała gościa herbatą i cały czas stała przy drzwiach. Wyglądało na to, że albo chce przypilnować syna sąsiadki, aby zbyt wcześnie nie uciekł, albo uznała, że musi mieć na niego oko.

- Nie miałam łatwego życia - zaczęła umierająca słabym głosem, który jak cała jej postać był całkowicie obcy dla Prosiaczka. - Jeszcze przed śmiercią chciałam cię zobaczyć i upewnić się, że u ciebie wszystko w porządku.

- Nie narzekam.

- Może chciałbyś o coś zapytać?

- Nie - Prosiaczek nie widział sensu w dowiadywaniu się, czym zawinił wraz z siostrą, że rodzice tak się nad nimi pastwili.

- Nie chcesz nic wiedzieć o ojcu?

- A on jeszcze żyje?

- O ile wiem, zmarł dawno temu.

Szkoda, pomyślał Prosiaczek, ale nie zniżył się do tego, aby cokolwiek powiedzieć głośno.

Gdy przyszło do pożegnania, kobieta nieoczekiwanie wyciągnęła przed siebie wychudłe ramiona, chcąc go uścisnąć, ale Prosiaczek cofnął się z obrzydzeniem.

- Odprowadzę pana - zaproponowała wyraźnie niezadowolona sąsiadka.

- Dziękuję - mruknął niewyraźnie, mając już dosyć. Zaraz za progiem, na półpiętrze, zaczęło się:

- Jak może pan być tak okrutny i nie ucałować jej na pożegnanie!

Prosiaczek aż się zatrząsł. Popatrzył za siebie i trafił prosto na oskarżające spojrzenie niebieskich oczu blondynki.

- Nic pani nie wie - odpowiedział zadziwiająco spokojnie.

- Przecież to pańska umierająca matka! - wyrzucała mu dalej, jakby to on był winien choroby matki. - Jak panu nie wstyd! - krzyknęła i splunęła mu prosto w twarz.

- Nie daruję jej tego! Nie wybaczę! - mówił Prosiaczek do Ralph.

- Nie dziwię się. - Żałowała, że nie poszli tam razem, bo wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Nie chodzi o to, że ta Norton powinna odpowiadać za znęcanie się matki nad nami obojgiem, ale o to, że nie można tak po prostu plunąć komuś w twarz - kontynuował roztrzęsiony.

Ralph zgodziła się, aby Norton została Bestią, i zwołała naradę grupy.

- Mam ochotę dać tej babie nauczkę - skomentował Jack opowieść kolegi, ale Ralph się nie zgodziła. - Dlaczego się nie zgadzasz? To najprostsze rozwiązanie.

- Nie potrzebujemy rozlewu krwi - wyjaśniła. Ponieważ wszyscy doskonale pamiętali jej wypadek w Bartlet Down, nikt się nie sprzeciwił.

Jak ustaliła Ralph, pani Norton pracowała w firmie ubezpieczeniowej w Bracknell. Była to bardzo dobra wiadomość, bo w razie powodzenia ich planu ta kobieta straci pracę.

Jack miał obserwować Bestię przez dwa tygodnie i ustalić, co kupowała. Pewnego dnia, idąc za nią, trafił do drogerii. Nie było tam kamer, za to zainstalowano system alarmowy i przyklejono tabliczkę z napisem: „Złodzieje trafią za kratki”.

Każdy miał wyznaczone zadanie. Przede wszystkim ucha-rakteryzowali się, aby zapobiec ich identyfikacji przez innych klientów lub gdyby w sklepie były jednak ukryte kamery. Simon miała zagadać sprzedawcę i farmaceutkę pytaniami o skutki uboczne zażywania środków przeciwbólowych, Roger miała zająć rozmową Bestię, by w tym czasie Jack mógł wziąć flakonik zabezpieczonej zawieszka z kodem lawendowej wody toaletowej i niepostrzeżenie włożyć butelczkę do torebki June Norton.

Gdy wszystko przebiegło zgodnie z planem, cała czwórka zajęła dogodną pozycję obserwacyjną przed drogerią i spokojnie czekała na ciąg dalszy. Gdy tylko ich ofiara przeszła przez bramki, rozległ się sygnał alarmowy. Obsługa sklepu natychmiast zatrzymała wychodzącą klientkę.

- To oburzające! Ja nie używam takiej tandety! - wykrzykiwała kobieta, gdy okazało się, co ma w torebce.

Pani Norton broniła się, jak mogła, kopiąc personel, lecz pomimo to zabrano ją z powrotem do sklepu. Czwórka obserwatorów ucieszyła się, bo taki kopniak mógł stanowić podstawę do postawienia nowych oskarżeń. Doszli też do wniosku, że nawet samo postawienie zarzutów może wystarczyć, żeby June Norton straciła pracę. Gdy zobaczyli nadjeżdżający radiowóz, Prosiaczek stwierdził, że wyrównał rachunki, na co Jack obruszył się, mówiąc:

- Ja bym tam dał jej w dziób.

Następną Bestię znalazła Roger, a był nią strażnik z więzienia dla kobiet w Gloucestershire, znany ze złego traktowania ciężarnych odbywających karę.

- To nie jest sprawa osobista, z jaką mieliśmy do czynienia ostatnio, ale wydaje mi się, że klawisz spełnia wszystkie warunki naszej gry - zapewniła.

Wszyscy, łącznie z Ralph, zgodzili się na nową akcję.

Jack mógłby sam się uporać z nową Bestią, jednak żelazną zasadą gry był udział całej czwórki. Zaczęli wieczorem, gdy klawisz siedział z żoną w pobliskim pubie w Dursley. Najpierw Prosiaczek przeciął kable telefoniczne w domu Bestii i na sąsiedniej posesji. Następnie Roger, w peruce imitującej krótką fryzurę i z niebieskimi szklami kontaktowymi, zadzwoniła do drzwi sąsiadki.

- Dzień dobry, jestem ze Stowarzyszenia Mieszkańców Dursley i zbieram podpisy w sprawie planowanego wykupu domów przy tej ulicy pod budowę centrum odwykowego dla narkomanów.

- To chyba jakieś żarty - odpowiedziała kobieta, która otworzyła drzwi.

- Niestety nie - zapewniła Roger i starała się przedłużyć rozmowę.

Podczas gdy przed domem w samochodzie czekała Simon, Jack wszedł od ogrodu do domu i zabrał stamtąd odtwarzacz wideo, konsolę PlayStation i fotografię w srebrnej ramce, po czym ulotnił się, nie zostawiając żadnych śladów. Następnie wślizgnął się do domu klawisza i podrzucił wszystkie skradzione

przedmioty, ukrywając je w nieużywanym pokoju na piętrze. Po całej operacji Prosiaczek przywrócił łączność telefoniczną w obu domach. Nazajutrz Roger, nie przedstawiając się, zatelefonowała do sąsiadki klawisza i przekazała jej kilka informacji na jego temat.

I tym razem wszystko odbyło się prosto i bezkrwawo.

TLR

LAURIE

Godzinę temu Laurie pożegnała się z rodzicami i poszła spać. Przypomniała im też, że rano wyjeżdża bardzo wcześnie, wyraziła nadzieję, że uda się jakoś doprowadzić dom do porządku i zapowiedziała swój powrót następnego dnia wieczorem. Obiecała także pomóc w sprzątaniu po wizycie u syna.

- Wtedy nie będzie już czego sprzątać - rzucił ojciec, a matka nie powiedziała ani słowa.

Choć Laurie chciałaby rano wyglądać dla Sama na świeżą i wypoczętą, jak zawsze w przeddzień wyjazdu nie mogła zasnąć. Leżąc z zamkniętymi oczami w łóżku, widziała twarz syna. Niektórzy sądzą, że wszystkie dzieci dotknięte syndromem Downa są do siebie podobne. Kiedyś i ona pewnie myślałaby tak samo, gdyby w ogóle zwracała sobie głowę takimi sprawami. Teraz wie, że jej syn był jedyny w swoim rodzaju. Wszystkie jego fotografie trzymała pod kluczem w szafie. Swoje ulubione zdjęcie oglądała wyłącznie przed snem, a rano ponownie chowała je do szafy. To było częścią umowy z rodzicami. Chodziło o to, aby sprzątaczką nie interesowała się, kto jest na fotografii.

Dopiero by wybuchł skandal!

Laurie już dawno przestała z tym walczyć. Nie miała siły ciągle przekonywać rodziców, że nikt nie musi sprzątać w jej pokoju, bo równie dobrze zrobi to sama.

- Zgadza się, ale to wcale nie znaczy, że ktoś nie mógłby wejść do twojego pokoju - argumentowała matka.

- Przecież mogę zamykać drzwi na klucz.

- Jeszcze tego brakowało.

Taka właśnie atmosfera panowała w domu.

Sam nie był zbyt fotogeniczny, lecz jak każde dziecko uśmiechał się z każdego zdjęcia. Laurie nie potrzebowała jednak żadnych fotek. Wystarczyło, że zamknęła oczy i już go widziała.

Uśmiechnęła się lekko, pamiętając o jutrzejszej wizycie, a potem jej myśli zwróciły się w stronę Dave'a. Zastanawiała się, czy warto się nim zainteresować. W chwilę potem oparła się na poduszkach i z zamkniętymi oczami powiedziała:

- Do zobaczenia, synku.

TLR

GRA

W trakcie kolejnego spotkania czworga graczy Jack skłaniał się do zastosowania siły, czego kiedyś już próbowali w przypadku Rose Miller. Jack, będąc na zakupach w Kennet Shopping Center, wybrał na Bestię kobietę, która źle traktowała swoją starą matkę, obrzucała ją wyzwiskami i wlokła ledwie trzymającą się na nogach staruszkę za sobą.

- Trzeba dać jej nauczkę - dowodził Jack w rozmowie z Ralph. - I jeżeli nie pozwolisz nam tego zrobić według moich reguł, to wierz mi, że sam się tym zajmę. A wtedy nie będzie żartów.

Po wystąpieniu Jacka wywiązała się dyskusja. Simon na przykład zastanawiała się, czy można podejmować decyzję po jednorazowej obserwacji obiektu.

- Mam nosa do sadystów - odparował Jack.

- Simon może mieć rację. Przecież June Norton miała mnie za wyrodnego syna, bo nie chciałem pocałować matki na pożegnanie - zauważył Prosiaczek.

- Pozory mogą mylić - Ralph wzięła stronę Prosiaczka.

- A ja wierzę Jackowi - włączyła się Roger.

Tym razem spotkali się w restauracji mieszczącej się naprzeciwko dworca kolejowego w Swindon, aby uczcić urodziny Ralph. Szefowa tęskniła za nimi tak bardzo, że zamiast zwykłego prezentu wybrała bezpośrednie spotkanie. W trakcie rozmowy dostrzegła zacięte spojrzenie Jacka, gdy mówił, że może sam załatwić sprawę, i błysk oczu Roger na myśl o takim rozwiązaniu. Zrozumiała w lot, że tą dwójką nie będzie mogła już kierować.

Pomyślała nawet, że to dobra okazja, aby pożegnać się z grupą.

Pomyślała, ale nie zrobiła tego.

W końcu omówiono plan działania, którego szczegóły miała dopracować Ralph. Okazało się, że kobieta codziennie dojeżdża do pracy w Reading, co znacznie ułatwiło działanie.

Wszystko rozegrało się w środę, na stacji kolejowej Newbury. Grupa zajęła pozycje i obserwowała Bestię, która po wyjściu z pociągu ruszyła wraz z innymi pasażerami kładką prowadzącą nad torami na sąsiedni peron, z którego wychodziło się do miasta. Jack odczekał, aż kobieta znajdzie się przy końcu schodków, i błyskawicznie znalazł się obok młodego człowieka schodzącego w dół tuż przed Bestią. Wymierzył mężczyźnie mocny cios w brzuch, starając się, aby nikt nic nie zauważył, a potem spokojnie odszedł. Rażony z zaskoczenia młodzieniec spadał w tym czasie ze schodów wprost na peron.

Teraz do akcji wkroczył Prosiaczek, wrzeszcząc na całe gardło:

- To ona popchnęła tego faceta! Łapać babę!

- Nawet go nie dotknęłam! - zaprzeczała obwiniona.

- Niech ktoś zadzwoni na policję! - krzyknęła Roger, a Simon, zgodnie z planem znajdująca się przed stacją, wybierała już właściwy numer. Następnie Roger odprowadziła wzrokiem znikającego w tłumie Prosiaczka i łapiąc Bestię za ramię, wrzasnęła: - Trzymajcie ją!

Na wezwanie odpowiedzieli oburzony zająciem starszy pan o czerstwej cerze i młoda turystka z plecakiem. W tym samym czasie powiększała się liczba gapiów wokół leżącego na betonie chłopaka.

- To jakieś nieporozumienie - mówiła kobieta do szybko idącego po schodach mężczyzny w mundurze.

Na jego widok Roger, niezaczepiana przez nikogo, zniknęła wśród podróżnych.

- Czy temu chłopakowi nic się nie stało? - dopytywała się Ralph, ale nikt tego nie wiedział, bo każdy pilnował swojej roli.

Potem przez cały tydzień dokładnie czytała „Reading Evening Post” i „Newbury Weekly News”, przekonana, że w razie czego znajdzie jakąś notatkę na ten temat. Nie zniosłaby myśli, że ktoś postronny mógłby ucierpieć w wyniku ich akcji. Dotąd pamiętała, jak okropnie się czuła po historii z Rose Miller. Musiała przyznać, że miała wyrzuty sumienia.

Niespodziewane odkrycie u siebie czegoś takiego jak sumienie poprawiło jej nastrój, ale tylko w nieznacznym stopniu.

Niekiedy Ralph zastanawiała się, czy ktokolwiek z jej czwórki wracał jeszcze myślami do książki, od której wszystko się zaczęło, czy ci czworo zdawali sobie sprawę z podobieństw własnego postępowania, które powoli przesiąkało złem, do zabawy tamtych zagubionych na wyspie dzieci, zmieniających się w okrutników. Pomimo stawianych sobie pytań wołałaby, żeby nie wracali do przeszłości. Z jednej strony martwiło ją oczywiste podobieństwo w działaniu obu grup, a z drugiej, niezmiennie ekscytowało.

Obecnie Ralph nie obawiała się już tej sprzeczności.

* * *

Kolejna gra, w której Bestią został wskazany przez Simon Alan Mitcham, rządziła się już całkowicie nowymi regułami. Nawet sam Jack przyznał, że była najbrutalniejsza ze wszystkich.

Alan Mitcham należał do grona pedagogicznego szkoły podstawowej, gdzie uczyła Simon, która teraz ze łzami w oczach mówiła, że ten człowiek „ani nie miał prawa tam być, ani nie powinien pracować z dziećmi”. Jej zdaniem ten stary kawaler nie lubił swoich podopiecznych i lekceważył ich rodziców. A oto dlaczego podpadł Simon.

Pewnego dnia zauważyła, że Mitcham dręczył sześciolatka, któremu nieco gorzej szła nauka. Następnego dnia zjawiała się w szkole matka chłopca. Pech chciał, że zanim doszła do gabinetu dyrektora, spotkała na korytarzu Mitchama,

który tym razem poniżył nie tylko dziecko, ale i matkę. Speszona kobieta nie poszła do dyrektora, lecz czym prędzej wyszła ze szkoły.

-I to wszystko działo się przy innych uczniach - kontynuowała Simon.

- A dlaczego sama nie poszłaś do dyrektora? - pytała Ralph.

- Może bym i poszła, ale jest coś jeszcze. - Tu Simon opowiedziała, że kilka dni wcześniej spojrzała w stronę Mitchama, w chwili gdy ten zamykał swoją szafkę, i przez ułamek sekundy widziała powieszoną tam fotografię nagiego dziecka.

- Choć zdjęcie jedynie mignęło mi przed oczami, jestem pewna, że to dziecięca pornografia - z odrazą wyjaśniała zszokowana Simon.

Ten człowiek zasługiwał na miano prawdziwej Bestii.

Dwa dni później Jack włamał się do mieszkania pedagoga w Barton. W środku znalazł tak odrażające fotografie, że w pierwszym odruchu postanowił zacząć się na drania i dać mu wycisk, który Mitcham popamiętałby do końca życia.

Tym razem towarzystwo spotkało się w pokoiku nad pubem „Didcot”.

- Wydaje mi się, że nadszedł czas na zmianę zasad - zaczął Jack, który za nic nie mógł się pozbyć wspomnienia zdjęć, znalezionych w mieszkaniu Bestii. - Trzeba w jakiś sposób zmusić tego zbrojnego do popełnienia przestępstwa, napadu lub czegoś jeszcze gorszego.

- To nie będzie łatwe - usłyszeli w telefonie głos Ralph.

- Ale da się zrobić. A do tego trzeba przypilnować, żeby drań się nie wywinął - odpowiedział Jack i po chwili kontynuował: - Musimy wymyślić coś, za co trafi do pudła.

- A może go po prostu zakapować? - wtrąciła Simon. - Co prawda nie jesteśmy w żadnej straży obywatelskiej, ale zawsze.

- Zaraz mnie szlag trafi! Oczywiście, że tego nie zrobimy! - nie wytrzymał Jack.

- Jesteśmy lepsi od nich - rzuciła Roger.
- Poza tym, jeśli ma być gra, to nie może być donosicielstwa - podsumował Jack.
- Nie wiem tylko, jak można kogoś zmusić do dokonania przestępstwa - zastanawiał się Prosiaczek.
- To się robi za pomocą szantażu - chętnie wyjaśniła Roger. - Albo ktoś zrobi to, co mu się każe, albo jak nic trafi na dziesięć lat za kratki.
- Wydaje mi się, że to dobra kara - odezwała się Simon.
- Być może - popłynęło z podłączonego do telefonu głośniczka.
- A jeżeli adwokat faceta wybroni? - spytała Roger.
- Wtedy i tak wywalą go ze szkoły - cieszyła się Simon.
- Może tak, może nie. - Roger nie dawała za wygraną. - W każdym razie dostanie nauczki.
- Simon, ty decydujesz, ale ten Mitcham to największy drań, z jakim mieliśmy do czynienia - powiedział Jack.
- Jack ma rację - Prosiaczek poparł kolegę.
- Największy drań zasługuje na najostrzejszą grę - oznajmiła Roger.
- Proponuję jakiś napad z bronią w rękę - ożywił się Jack.
- Ja skombinuję gnata.
- Tylko bez broni - powstrzymywała towarzystwo Ralph.
- Inaczej nici z zabawy - oponowała Roger. - Bez napadu z bronią w rękę facet pozostanie na wolności.
- A czy nie wystarczy straszak? - pytała Simon, a Ralph wyrzucała sobie, że wcześniej nie wpadła na ten pomysł.
- No dobra - zgodził się Jack. - Skoro tak bardzo chcecie.

- Tak będzie lepiej - zapewniła Ralph.

Prawdę mówiąc jednak, zastanawiała się, czy może wierzyć Jackowi. Zaraz też postanowiła, że najlepiej by było osobiście sprawdzić tę broń. Niestety wiedziała, że nie będzie mogła uczestniczyć w finale akcji. Poza tym taka inspekcja została by przez Jacka odebrana jako policzek i mogłaby podważyć jedność grupy.

W miarę upływającego czasu działalność grupy całkowicie wypełniła życie Ralph. Z utęsknieniem czekała na każdy telefon, na każdą następną propozycję.

W swoim pamiętniku zapisała:

Gdybyśmy spotykali się bez omawiania naszej kolejnej akcji, ot tak, jak to czynią inni, na pewno nie przeżywałabym takiego podniecenia.

A nieco później dodała:

Za każdym razem wmawiam sobie, że robię to dla ich dobra, bo inaczej gra mogłaby się potoczyć dużo bardziej drastycznie. Muszę jednak przyznać, że jestem podekscytowana perspektywą kolejnej akcji niczym dziecko, któremu obiecano czerwony balonik.

I niech nie dożyję jutra, jeśli kłamię.

Jack rozejrzał się nieco po Summertown i wytypował jeden z ulicznych kiosków. Reszta zgodziła się, z uwagi na spodziewany spory łup oraz sprzedawane w kiosku pornosy.

Cała czwórka zjawiała się na miejscu akcji w noc z soboty na niedzielę. W tym czasie ich ofiara była sama w mieszkaniu, pod którym znajdowała się nieczynna w weekendy kawiarnia. Grupa ustaliła też, że sąsiad nauczyciela wyjeżdża za miasto w każdy piątek i wraca późno w poniedziałek.

- Przypominam, że przede wszystkim musicie dobrze obstawić kiosk - mówiła Ralph. - Pamiętajcie też, że sprzedawca podlicza utarg dopiero po uporaniu się z całą papierkową robotą - zawiesiła głos i spojrzała na Jacka.

- Przecież nic nie powiedziałem - zachnął się.

- To dobrze, że jesteś cierpliwy. Sądzę, że omówiliśmy już wszystko.

- Jasne - odrzekła Roger, a Ralph, choć wyczuła w głosie tamtej szczyptę ironii, usłyszała też szczere przywiązanie, co było niezmiernie miłe.

Podczas ostatniego spotkania przed rozpoczęciem gry Ralph wciąż im przypominała, aby przerwali akcję, gdyby cokolwiek poszło niezgodnie z planem.

Jack zapewnił ją, że właśnie tak zrobią.

Simon wyznała, że od tygodnia nie zmrużyła oka.

Prosiaczek powiedział, że od dwóch tygodni czuje ucisk w brzuchu.

Roger stwierdziła, że jeszcze nigdy nie była w takim stanie jak teraz, gdy jednocześnie bała się i nie mogła sobie znaleźć miejsca ze zdenerwowania. Dodała też, że to najlepsza przygoda w jej życiu, na co Ralph przypomniała:

- Tym razem wszystko wydarzy się naprawdę. Realne mogą być też konsekwencje.

- Co tam! - Roger machnęła ręką. - Dla mnie to bez różnicy.

Postanowili ukryć twarze pod czarnymi pończochami. Nie dotyczyło to Simon, której ze względu na możliwość rozpoznania jej głosu przez Mitchama przypadła rola czekającego w pogotowiu szofera. Simon miała tylko założyć perukę i okulary.

Zatem bezpośrednio przed ofiarą stanie trójka z nich.

- Nie ma obawy, to nie żaden atleta - zapewniła Simon, która obserwowała Mitchama w szkole. - Widziałam, jak kilka razy spuchł na lekcji WF.

- Wygląda więc na to, że ćwiczy jedynie wtedy, gdy robi sobie dobrze - podsumował Jack.

Nieco później Ralph zapisała w pamiętniku:

Wszystko poszło zgodnie z planem. Cała trójka wpadła do mieszkania Mitchama i przedstawiła mu ultimatum: albo dokona napadu na kiosk, sterrozyzuje właściciela atrapą broni i zwinie utarg, albo pójdzie siedzieć za dziecięcą pornografię.

Tym razem gra była niezwykle niebezpieczna, ale skończyło się na strachu. W poniedziałek rano zawieźliśmy nauczyciela na miejsce akcji. Dostał broń i ostatnie instrukcje. Przypomnieliśmy mu, że będziemy wszystko słyszeć i widzieć. Mitcham nawet nie próbował kombinować i bez wahania wszedł do kiosku.

Nie zawiódł sprzedawca, który w porę nacisnął alarm.

Stróże prawa również nie zaspali i zaraz znaleźli się na miejscu.

* * *

Alana Mitchama postawiono przed sądem, skazano i osadzono w więzieniu Jej Królewskiej Mości w Oakwood.

Bestię, która była dla grupy uosobieniem zła, pozbawiono wolności za coś zupełnie innego.

Choć sama gra przebiegła pomyślnie, po miesiącu Roger zadzwoniła do Ralph z wiadomością, że sprawy się komplikują. Jej informator twierdził, że Mitcham

przypomniał sobie jakieś ważne szczegóły dotyczące napastników, którzy zmusili go do dokonania napadu.

- Oczywiście może blefować, ale trochę się niepokoję, bo przecież naszym głównym źródłem informacji o Bestii była Simon - tłumaczyła.

- Sądysz, że Mitcham może jakoś połączyć z nią sprawę napadu? - pytała Ralph z poczuciem autentycznego strachu o Simon.

- On ma teraz bardzo dużo czasu na rozmyślania. Kto wie, co może facetowi przyjść do głowy. Jednak to Simon czekała na zewnątrz w aucie i ktoś mógł ją zapamiętać. - Ralph przez chwilę nie odpowiadała, więc Roger dodała: - Trzeba gościa uciszyć. I to szybko.

- Czy mówiłaś coś o nas swojemu informatorowi? - zapytała już na dobre zdenerwowana Ralph.

- Ani słowa - zapewniła ją Roger. - Poza tym, wszystko, o czym mówię, to nieoficjalne wiadomości.

- W takim razie trzeba gdzieś się spotkać.

- Nie możemy tracić czasu - naciskała Roger.

- Musimy pogadać! Przynajmniej przekaz to pozostałym.

- Jasne, zrobi się! - Roger zamyśliła się na chwilę i dodała: - Wszystko załatwię. Zorganizuję spotkanie.

- Mówiłaś, że trzeba uciszyć Bestię.

- Właśnie. I to na zawsze - odparła Roger, a Ralph poczuła, jak ciarki przeszły jej po plecach. - Nie ma rady, inaczej już nigdy nie będziemy bezpieczni.

- A może wystarczy postraszyć faceta, że w razie czego jego obecni koledzy mogą dowiedzieć się o fotkach? - Ralph chciała zachować spokój duszy. - Przecież już raz się udało.

- Widzę, że nie rozumiesz. Właśnie taką informację trzeba dostarczyć tam, gdzie facet obecnie przebywa. W tym środowisku bardzo nie lubi się facetów zainteresowanych dziećmi.

- Niech mu więc dołożą i będzie spokój - Ralph czepiała się ostatniej deski ratunku.

- Ale na jak długo? Przecież nie możemy ryzykować, no nie? Ralph zamyśliła się i od razu przypomniała sobie Simon, która

podczas ustalania planu gry chciała zrezygnować i namawiała resztę, aby przestać na poinformowaniu policji o zainteresowaniach Mitchama. Tak, tylko ona zachowała jeszcze dawną niewinność. Gdy w końcu zapytała swoją rozmówczynię, ile to będzie kosztować, zdała sobie sprawę, że dawna Ralph umarła.

Podczas obecnego spotkania wszyscy członkowie klanu zrozumieli, że wyrażając zgodę na uciszenie Bestii, przekraczają Rubikon. Ich przywódczyni miała przy tym ponure, nieodparte wrażenie, że cała czwórka od początku przeczuwała nieuchronne nadejście takiej właśnie chwili.

Początkowo zaskoczony Jack szybko przystał na ideę Roger. Prosiaczek bardziej obawiał się o Simon niż o własne wyrzuty sumienia i nie oponował tak bardzo, jak można się było po nim spodziewać.

- Wolałabym uniknąć takiego rozwiązania. Nie tędy droga - stwierdziła Simon.

- Nikt z nas tego nie chce - zapewniła ją Ralph.

- Wiem, że to dla mojego bezpieczeństwa.

Słyszając prawdziwe rozdarcie w jej głosie, Ralph dodała:

- Raczej dla naszego wspólnego bezpieczeństwa. Jak zawsze.

- Myślę, że jeśli coś mu się stanie, to jedynie sprowokujemy policję, aby przeprowadziła bardziej szczegółowe dochodzenie i zaczęła grzebać w przeszłości - kontynuowała Simon.

- Zgadza się, ale już nie będzie tego, kto mógłby mówić - wyjaśniła Ralph, po czym zapadła krępująca cisza.

- Może jednak jest inne wyjście? - upierała się Simon.

- Obawiam się, że nie - odparła Ralph.

Właściwie to wszyscy chcieli odsunąć od siebie myśl, że łamią wszelkie ustalone zasady. Sytuację łagodziła nieco świadomość draństwa, jakiego dopuszczał się Mitcham, a potrzeba chronienia Simon popychała pozostałych uczestników ku przekonaniu, że naprawdę znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Zdaniem Ralph, jej podopieczni nie chcieli wyłamywać się z grupy i narażać na szwank tego, co było dla nich najcenniejsze - ich przyjaźni. I to właśnie było przyczyną wyrażenia zgody na...

Na morderstwo.

Decyzja, jaką podjęli, łączyła się nie tylko z obciążeniami emocjonalnymi. Aby zrealizować plan, potrzebne były pieniądze, tak więc wszyscy musieli się złożyć. Simon i Roger miały niewiele, Jack nieco więcej, a Prosiaczek da tyle, ile będzie mógł. Na ich przywódczynię przypadła lwia część potrzebnej sumy.

Przepadły nasze nieśmiertelne dusze, a moja w pierwszej kolejności, podsumowała w myślach Ralph.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że sprawa z Mitchamem zmieniła całą sytuację i nie ma już powrotu do tego, co było.

Później okaże się, że czekała ich jeszcze ostateczna rozgrywka i sąd.

GRA

TLR

KATE

Tyle się już wydarzyło, a tu jeszcze ta mgła.

Na ostatnich kilometrach nocnej jazdy do Caisleán Kate wpadła w gęstą mgłę i musiała bardzo uważać, aby nie zabłądzić. Odetchnęła dopiero wówczas, gdy snop światła z reflektorów jej wozu wyłuskał z białych kłębow znak, który kiedyś postawili tu z Robem. Znajdował się przy polnej drodze prowadzącej prosto na miejsce. Skręcając z szosy, Kate przypomniała sobie męża wbijającego drogowskaz, i szampana, którego wypili wspólnie z tej okazji...

Ciemne ściany i skośny dach wyłaniającego się z nocy domku nie wyglądały zachęcająco. Kate ciarki przeszły po plecach, lecz od razu skarciła się krótkim: „nie bądź głupia!”. Wyłączyła silnik, zostawiając włączone reflektory i znalazłszy w torebce klucze, wysiadła z auta. Podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Otwierające się drzwi nieprzyjemnie zazgrzytały. Kate włączyła światło i dom od razu ożył.

- Dziękuję, panie Edison - powiedziała głośno.

Wróciła do samochodu po swoje pakunki. Potem wyłączyła reflektory, zamknęła auto, włożyła kluczyki do torebki i zaniósła bagaże do domu.

Kopniakiem zamknęła drzwi wejściowe.

Wreszcie wszystko było na swoim miejscu. Super! Jest tak, jak to sobie z Robem urządziliśmy, pomyślała.

W domku stała ciemnobrązowa kanapa, na którą rzucono dwie bordowe poduszki, ponadto było tam trochę bibelotów, a na kamiennej podłodze leżały dwa dywany, które Rob kupił w tajemnicy na stambulskim bazarze. W pokoju stał

grubo ciosany, dębowy stół i krzesła. Całości dopełniał dębowy kufer kupiony na aukcji w Oksfordzie. Na prawo od wejścia znajdowała się maleńka kuchnia, na lewo łazienka. Kręcone schody prowadziły na poddasze, gdzie kiedyś przechowywano siano. Teraz znajdowała się tam sypialnia, w której dla podkreślenia dawnej architektury pozostawiono część oryginalnego belkowania i kilka żelaznych haków do wieszania lamp naftowych.

Do Kate powróciły wspomnienia, jak leżąc w łóżku z Robem, oglądali przez świetlik gwiazdy przed snem czy po szalonej nocy podziwiali wschód słońca.

Postawiła bagaże na podłodze i stojąc na środku pokoju, głośno powiedziała:

- Witaj, Caisleán! - powiedziała i od razu zatęskniła za Robertem.

Postanowiła odpędzić melancholię kieliszkiem czerwonego wina. Zrobiła krok w kierunku torby podróżnej i wtedy usłyszała i zobaczyła czworo nieznajomych, którzy jak na komendę pojawili się jednocześnie wokół niej.

- Witaj! - odpowiedziano na jej pozdrowienie.

Miała przed sobą cztery postacie ubrane w czerwone kombinezony i czarne pończochy na głowach. Gdy już zamierzała wrzasnąć, usłyszała kobiecy głos:

- Nie warto.

- Może i nie warto - odpowiedziała z walącym sercem. - A teraz bierzcie, co chcecie, i znikajcie, nie będę was powstrzymywać - dodała przerażona.

- To może być trudne, bo przyszliśmy po ciebie - wyjaśnił nieznajomy mężczyzna.

- Po mnie?

- Najlepiej będzie, jak usiądziesz - zaproponowała druga z kobiet, a oszołomiona Kate wykonała polecenie.

LAURIE

Około pierwszej w nocy Laurie, która wciąż nie mogła zasnąć i przeglądała czasopismo „Heat”, usłyszała ciche pukanie do drzwi. Prawdę mówiąc, była mocno zaskoczona, bo żadne z rodziców nie miało w zwyczaju przychodzić do niej w nocy.

- Proszę! - zawołała i zobaczyła w drzwiach ojca w szlafroku i kapciach.

- Czy coś się stało? - spytała, zamykając magazyn.

- Nic, nic - uspokoił ją ojciec, siadając na łóżku. - Chciałem tylko - zaczął niepewnym głosem, co mu się wcześniej nie zdarzało - chciałem tylko ci powiedzieć, że niekiedy mam wrażenie, że zapominasz, jak bardzo cię kochamy. - Laurie bez słowa czekała na ciąg dalszy. - Wydaje mi się, że całą swoją energię poświęcasz na pielęgnowanie nienawiści do nas.

- Nic takiego do was nie czuję, tato - zapewniła go od razu.

Nie mówiła tego całkiem szczerze, ponieważ było oczywiste, że znała owo uczucie, choć od chwili, gdy się okazało, że jest w ciąży, w jej myślach przeważało raczej wielkie rozczarowanie postawą rodziców niż nienawiść do nich.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, jak bliski jest nam Sam i że gdyby tylko się okazało, że nie czuje się tam szczęśliwy lub że nie może się rozwijać...

- A co ty możesz wiedzieć o Samie, skoro nigdy nie widziałeś go na oczy? - gwałtownie przerwała mu Laurie.

- Jak wiesz, ośrodek na bieżąco informuje nas o wszystkim. Opiekunowie twierdzą, że chłopiec ma pogodne usposobienie. A ty też to mówisz.

- A co, jeśliby Samowi nie było tam dobrze? - zapytała i w pokoju na chwile zapadła cisza.

- Wtedy trzeba by się nad tym zastanowić.

- Czyli?

- Musiałabyś zdecydować, co dalej.

- A od kiedy to ja mogę decydować o losie Sama?

- Zawsze sama dokonywałaś wyborów - usłyszała w odpowiedzi. - My jedynie wspieraliśmy cię w podejmowaniu decyzji.

- Co takiego?! - Zdumiona Laurie omal nie spadła z łóżka

- Tak jest! Chociaż my zapewne postąpilibyśmy inaczej niż ty.

Na dobre straciła mowę i natychmiast zaczęła się zastanawiać nad przyczyną takiego zachowania ojca. Może to jakiś podstęp mający na celu odciążenie jej od wizyty u syna? A może zaraz się dowie, że nie są już w stanie opłacać jego pobytu w ośrodku? Ale co wtedy? Gdzie zechcą umieścić Sama?

- Zawsze kierowaliśmy się dobrem Sama i twoim - ciągnął ojciec, a Laurie, słuchając jego słów, widziała uśmiechniętą twarz synka.

- A tak w ogóle, to o co chodzi? - spytała wprost.

- O nic, no może o to, że chcielibyśmy, abyś się od nas nie oddalała, ponieważ wydaje ci się, że Sam nas nie interesuje.

- Mnie też ciąży ta sytuacja - przyznała niechętnie.

- No to wszystko się wyjaśniło - podsumował ojciec i serdecznie uściskał jej dłoń, tak jak wtedy, dawno temu, zanim urodził się Sam. Ale Laurie trudno było pamiętać tamte dawne dobre czasy, bo gdy została matką, wszystko tak bardzo się zmieniło.

- Może wszyscy spróbujemy bardziej się postarać? - zakończył ciepło ojciec.

Laurie zauważyła ze zdziwieniem, że ucieszyła ją serdeczność ojca. Miała wrażenie, że mówił szczerze i może nawet chciał jej dać do zrozumienia, że ją

podziwia. Gdy została sama, zgasiła światło i puściła wodze fantazji. Czyżby przyszłość nabierała różowych barw? Może Sam wreszcie będzie mógł tutaj zamieszkać? Ale w tej chwili przed oczyma Laurie pojawił się obraz syna bawiącego się w ośrodku. Uprzytomniła sobie, że jeżeli Sam z nią zamieszka, to będzie pewnie tęsknił za tamtym domem. Przecież innego nie zna. A jego koledzy? A opiekunki? Tak naprawdę to one najlepiej umieją zająć się Samem.

A przecież chłopiec wymaga szczególnej troski.

Ponieważ napływały coraz to nowe pytania, Laurie postanowiła przerwać swoje marzenia. Przecież ojciec nie mówił o jakichkolwiek zmianach. Właściwie to chodziło mu o poprawę ich wzajemnych relacji. Nawet słowem nie wspomniął o przeprowadzce Sama.

I pewnie nigdy się na to nie zgodzi. Zrezygnowana Laurie zdecydowała się ocenić własne możliwości, gdyby przyszło jej samodzielnie opiekować się synem, i musiała przyznać, że bardzo się obawia takiej sytuacji. Jestem prawdziwym tchórzem, pomyślała.

Spojrzała na zegar, by sprawdzić, ile czasu pozostało do spotkania z Samem. Miała jeszcze przed sobą sześć i pół godziny.

GRA

Napastnicy zdjęli jej kurtkę, lecz pozostawili rękawiczki. Potem bandażem elastycznym związali jej nogi w kostkach tuż nad mokasynami, w których prowadziła auto. Wykręcili do tyłu ręce i też skrępowali, a usta zakneblowali taśmą samoprzylepną. Tak unieruchomioną Kate posadzono na kanapie. Wszystkiemu towarzyszyły krótkie polecenia: „Siadaj!”, „Stopy razem!”, „Ręce do tyłu!”, „Zamknij się!”.

Potem w pokoju zapanowała absolutna cisza. Być może przestępcy czekali na kogoś lub na coś. A może chcieli ją w ten sposób jeszcze bardziej przestraszyć.

Zaciągnęli zasłony, aby z zewnątrz nie było nic widać, pozostawiając tylko malutką szparkę, przez którą mogli wyglądać.

Kate siedziała na kanapie, trzymając nogi na dywanie. Po lewej stronie miała jednego z mężczyzn, po prawej kobietę i tamci oboje siedzieli zdecydowanie zbyt blisko. Jeszcze nigdy w życiu Kate nie bała się tak bardzo. Była całkowicie bezradna i oszołomiona tym, co się stało.

Wtem odezwała się druga z kobiet:

- Pewnie uważasz, że jesteś bezbronna, tak? - Kate spojrzała w jej stronę. - One czują się tak samo.

Jakie „one”, gorączkowo zastanawiała się Kate.

- Pod koniec drugiego miesiąca - zaczęła mówić niskim, miłym głosem siedząca obok Kate nieznajoma - mierzą zaledwie trzy centymetry, ale mają już wykształcone kończyny.

- I serce im bije - dodała druga z kobiet.

A więc chodzi o embriony, Kate znalazła odpowiedź na dręczące ją pytanie, jednak wcale nie przestała się bać. Postanowiła przyjrzeć się zamaskowanym twarzom złoczyńców i przez chwilę patrzyła uważnie na telefony komórkowe przypięte do paska każdego z nich. Choć wiedziała, że lepiej byłoby tego nie robić, próbowała znaleźć jakiś szczegół ich wyglądu, dający nadzieję na identyfikację.

-I co się tak gapisz? - rzucił ostro prawdopodobnie z bri-stolskim akcentem stojący przy drzwiach, dobrze zbudowany mężczyzna. - Masz tylko słuchać! Jasne?

Kate kiwnęła głową i wydała bliżej nieokreślony dźwięk przez zakneblowane usta.

-Ciszej! - odezwał się siedzący przy Kate napastnik, znacznie spokojniejszy niż jego kolega. Przed kanapą na stoliku stał telewizor; w normalnych okolicznościach Kate dawno by go już włączyła. Potem zrobiłaby sobie coś do jedzenia i napiłaby się czerwonego wina. - No - dodał łagodniej sąsiad Kate, a ona zastanawiała się, czy to aby nie celowy podział ról na „złego” i „dobrego”.

-Pod koniec trzeciego miesiąca - ciągnęła dalej kobieta siedząca na kanapie - reagują już na ruch, a nerwy przewodzą bodźce.

-I nie mają żadnej ochrony przed bólem -zupełnie jak w operze wypowiedziała swoją kwestię stojąca z boku uczestniczka napadu, która trzymała w ręku plik papierów. Pomimo obezwładniającego strachu Kate zaczęła kojarzyć, o czym mowa, bo przecież sama się tym interesowała. - Jeżeli wcześniej dokonuje się aborcji, lekarze nazywają ją „odsysaniem” -kontynuowała drżącym głosem, kładąc nacisk na ostatnie słowo. - Do macicy wprowadzany jest mocny aparat ssący, który wysysa embriion wraz z łożyskiem, odprowadzając wszystko do osobnego pojemnika.

A więc to jacyś fanatycy z ruchu antyaborcyjnego; przerażona Kate poczuła gwałtowny ucisk w żołądku.

Teraz włączyła się druga z kobiet, przejęła pałeczkę, kontynuując temat:

- W późniejszym okresie lub jeśli odessanie okazało się niedokładne, stosuje się zabieg łyżeczkowania. - Na te słowa Kate odwróciła się w stronę mówiącej, lecz stojący przy drzwiach mężczyzna natychmiast nakazał jej opuścić głowę.

To dranie, przemknęło jej przez myśl. Ogarniał ją coraz większy strach.

Siedzący obok niej mężczyzna poruszył się i wyjął jakąś kartkę. Kate bez powodzenia próbowała zerknąć na tekst.

„Pierwsze, co czujesz, gdy cię to spotka, to wrażenie, że wszystko, co do tej pory wiedziałaś na ten temat, jest niczym, nawet gdy decydowałaś się na zabieg w dobrej wierze i z pełną świadomością podejmowanej decyzji”.

No nie! Przecież to mój artykuł, zorientowała się Kate, a mężczyzna czytał dalej z coraz większym patosem, zupełnie jak uczeń na jakiejś szkolnej akademii.

„Gdy przychodzi podjąć decyzję o życiu lub śmierci, nic nie jest oczywiste... - Poczula nieprzyjemny zapach z ust mężczyzny i pomyślała, że to znak najwyższego zdenerwowania. - Obrazowo mówiąc, trzeba wybrać pomiędzy białym lub czarnym, pomiędzy czerwienią pożogi a pastelą nadziei”.

Czyżby to mój artykuł na temat przerywania ciąży sprowadził tu tych oszołomów? - zastanawiała się Kate, choć i teraz nie poczuła się lepiej.

RALPH

Tym razem od samego początku gra potoczyła się inaczej. Zamiast jednej wybrano dwie Bestie, przy czym obie wskazała Ralph.

Był to pierwszy i, jak sądziła, ostatni taki wypadek.

Najpierw zwróciła uwagę na Kate Turner, a dopiero potem na Laurie Moon.

Żadna rozgłosu dziennikarka z „Reading Sunday News” regularnie zamieszczała swoje felietony w gazecie. Przedstawiała swoje poglądy i opinie na całej kolumnie. I w ten sposób sama rozwiała wszelkie wątpliwości, jakie jeszcze mogłaby mieć Ralph.

Ta kobieta zasłużyła sobie na miano Bestii.

A Laurie Moon podpadła Ralph podczas jej krótkiej pracy w Rudolf Mann School. Zdaniem przywódczyni Laurie była słabą, dbającą wyłącznie o siebie egoistką, której w żaden sposób nie można było nazwać matką.

Tym razem obserwacja i przygotowania zajęły więcej czasu niż zwykle. Ralph sama zajęła się wszystkim, zanim wyznaczyła spotkanie klanu w pubie „Czarny Kogut”.

Minęło wiele dni, zanim uznała, że postępuje właściwie, że postawienie grupy przed wyzwaniem, jakim było unicestwienie kolejnej Bestii, jest całkowicie uzasadnione. Że wolno jej narazić swoje dzieci na tak wielkie niebezpieczeństwo i tak głębokie rozterki.

Akceptując pozbycie się Mitchama, musiała zdusić w sobie wszelkie obiekcje i pogodzić się z myślą o możliwych nowych ofiarach.

Choć cudzymi rękoma, lecz obciążając swoje sumienia, grupa czworga przekroczyła już Rubikon. Popelnili grzech śmiertelny i będą musieli za to odpowiedzieć.

Łatwość, z jaką zgodzili się na jej propozycję, nieco zdziwiła Ralph. Stało się to dużo szybciej niż w przypadku Mitchama. Jack i Roger w ogóle nie zadawali pytań. Częściowo kierował nimi gniew na nowe Bestie, lecz także skłonność tych dwojga do przemocy. Simon także zaakceptowała plan gry, pomimo swojej wrażliwości. Z tego powodu zresztą zawsze wysłuchiowano jej opinii na początku. W tym wypadku oba cele miały te cechy charakteru, których Simon szczerze nienawidziła. Skoro ona się zgodziła, Prosiaczek też powiedział „tak”. Częściowo dlatego, że nie akceptował postępowania obu Bestii, lecz również ze względu na swoje uczucie do Simon.

Widząc reakcje swoich podopiecznych, Ralph nie mogła się już doczekać rozpoczęcia nowej gry. Uznała, że skoro tak łatwo zgodzili się na to, co im zaproponowała, byli już gotowi do coraz brutalniej szych działań. I znów ogarnęło ją wcześniejsze uczucie jednoczesnego smutku i podniecenia.

Długo nie mogli znaleźć właściwego miejsca, w którym zrealizują plan. Dom Kate Turner odpadał, gdyż nie stał na uboczu. Nieznajomych mogli łatwo zauważyć sąsiedzi, w każdej chwili ktoś mógł zatelefonować. To stanowiło zbyt duże ryzyko. Bardziej odpowiadałoby im jakaś opuszczona wiejska chata czy nawet niewielka szopa, więc Caisleán okazało się idealne.

- To jest to! - powtarzała z triumfem Roger, jednak ogrom niezbędnych przygotowań czasami ich przytłaczał.

- Jakie to szczęście, że mamy Jacka - mówił Prosiaczek na pierwszym spotkaniu. - To przecież zawodowiec.

- Nie zapominaj, że jestem włamywaczem, a nie mordercą - odciął się Jack.

- Przecież niczego takiego nie planujemy - bronił się Prosiaczek.

- Nie szukaj dziury w całym - dodała Roger.

- Musimy być ostrożni - przypomniała Ralph.

- Ostrożni to mało powiedziane - podchwycił Jack. Ustalono, że wszyscy będą nosili lateksowe rękawiczki,

których pod żadnym pozorem nie można zdjąć, i najzwyklejsze trampki, jakich jest w sklepach bez liku. Na późniejszym etapie Ralph dodała:

- Za wszelką cenę trzeba uniemożliwić Bestiom jakąkolwiek szarpaninę, a szczególnie ugryzienie kogokolwiek z nas.

- Nie będzie więc ani srania, ani szczania, ani chlania - we właściwy dla siebie sposób podsumował Jack.

- Nawet gdyby się miały udusić - wtrąciła Roger. Słuchając tego wszystkiego, Simon zbladła, a Prosiaczek,

choć wcale nie wyglądał lepiej, zapytał:

- A jeżeli nieoczekiwanie pojawi się jej mąż?

- Ustaliłam, że od czasu rozstania nie był tam ani razu - wyjaśniła szefowa.

- Jednak nie mamy gwarancji - niepokoila się Simon.

- Niech no tylko spróbuje się tam pojawić - groźnie warknął Jack.

Zastanawiali się też nad Robem Turnerem, bo przecież jego pierwsza żona, wyprowadzając się, zabrała ich córkę bardzo daleko od ojca, ale ostatecznie uznano, że odchodząc od Bestii, zachował się jak porządny człowiek. Kate znajdowała się pod stałą obserwacją, a Prosiaczek podsłuchiwał jej rozmowy telefoniczne, chcąc w ten sposób ustalić termin wyjazdu kobiety na wieś.

- Z naszych planów będą nici, jeżeli w tym samym czasie nie przywieziemy obu Bestii w jedno miejsce - przypominała Roger.

- Cierpliwości. Laurie Moon jeździ do ośrodka co dwa tygodnie - uspokajała ich Ralph.

Musieli tylko poczekać.

- Już czas się przedstawić - Kate usłyszała siedzącą obok i poruszyła się mimowolnie. - Jestem Roger.

- Simon - powiedziała druga z kobiet.

- Jack - odezwał się mężczyzna pilnujący drzwi.

- A ja jestem Prosiaczek - przedstawił się facet siedzący obok.

Choć Kate trudno było myśleć, osobliwość ostatniego pseudonimu nie pozostawiała żadnych wątpliwości. To postacie znane jej ze szkolnej lektury. Gorączkowo szukała w powieści czegoś, co wyjaśniłoby postępowanie tych fanatyków, ale niczego nie znalazła. Za to przypomniała sobie jakiś film, w którym porywacze, określający się nazwami różnych kolorów, uprowadzili metro. Postanowiła też, że już nigdy nie obejrzy żadnego dreszczowca.

- A teraz uważaj, Turner! - usłyszała Jacka, najbardziej opryskliwego z całej czwórki.

- Może chcesz się napić wody? - zapytał siedzący obok niej mężczyzna z cuchnącym oddechem.

Kate nie odpowiedziała.

- Nie ufa nam - stwierdziła Roger.

- Damy ci zwykłej wody - ponownie zaproponował Prosiaczek.

- Prosto z twojego kranu - dodała Simon.

Kate kiwnęła głową i kobieta bezszelestnie przeszła do kuchni. Przez chwilę słychać było lecącą z kranu wodę i Simon wróciła z czerwonym kamionkowym kubkiem w dłoni. Tym samym, który kiedyś wraz z Robem specjalnie wybrali, bo pasował do starej kuchni w Caisleán. Jednak kobieta nie podała naczynia Kate, lecz przekazała je Jackowi, a ten zakomenderował:

- Roger, zdejmij jej taśmę.

Wyjmowanie knebla poszło łatwo i bezboleśnie. Jack podszedł do niej, pochylił się i ostrzegł:

- Piśnij tylko słówko, a urządzę cię na cacy.

Kate za wszelką cenę chciała być posłuszna, ale w pewnej chwili pomyślała, że Simon mogła dodać coś do wody i instynktownie odwróciła głowę. Jack bez słowa uderzył ją w twarz.

- Tylko spokojnie - rzuciła Simon.

Lewa powieka Kate zaczęła drgać, a pokój niebezpiecznie zafalował. ,

- Wiesz, co cię czeka za nieposłuszeństwo. - Jack przysunął kubek pod sam nos Kate. - Choć już nie ma to znaczenia, pytam, będziesz pić czy nie?

- Poproszę - wykrztusiła.

Jack wcale się nie cackał i tak mocno przysunął brzeg kubka do ust Kate, że naczynie aż zadzwoniło o jej zęby. Z mocno przechylnego kubka wylewała się woda i ściekała w dół prosto na golf niebieskiego swetra. Mimo to Kate udało się przełknąć nieco płynu i uznała, że to chyba zwykła woda. Poza tym nie wiedziała, czy jeszcze dostanie coś do picia.

-I starczy! - Jack się wyprostował.

Kate powiedziała, że musi iść do toalety.

- Ciężka sprawa - stwierdziła Roger, bawiąc się taśmą klejącą.

- Ale ja muszę! - naciskała Kate.

- Jak musisz, to rób pod siebie - rzucił Jack, stawiając kubek na dębowej skrzyni.

Zaczerwieniła się, ale nie dała za wygraną.

- A czego właściwie ode mnie chcecie?

- To proste - odpowiedziała Roger, a Prosiaczek wyjaśnił dokładniej:

- Chcemy cię ukarać.

- Ukarać? Za co?

- Jeszcze się nie domyśliłaś? - spytała Simon. Zaprzeczyła ruchem głowy, gorączkowo przypominając sobie tekst artykułu, który napisała zaraz po rozmowie z mężem o swojej ciąży.

- Za pochwalanie zabijania - wyjaśniła Roger, po czym wstała, przeciągnęła się i schowała do kieszeni zużyte kawałki taśmy.

- Chcecie mnie sądzić za kilka słów o aborcji? - zapytała

Kate wolno, starając się ogarnąć całą sytuację i zrozumieć, co w artykule było nie tak, bo w tym właśnie widziała ratunek dla siebie.

- Przecież nie ograniczyłaś się jedynie do pisaniny, nieprawdaż? - pytała Simon.

Teraz Kate zrozumiała, o co im chodzi, i nawet nie była zaskoczona. Przecież nawet Rob oskarżył ją o to samo.

- Nie usunęłam ciąży, jeśli to masz na myśli.

- Właśnie, że tak - Simon była pewna swego, bo taką informację otrzymali od Ralph, która nigdy nie kłamała.

Wcześniej Kate miała Simon za nieco łagodniejszą niż reszta. Lecz teraz widziała jej zaciśnięte pięści i niezłomne przekonanie co do tego, o czym mówi.

- Ja poroniłam - wyjaśniła w nadziei na zakończenie tego koszmaru.

- Milcz, suko! - wrzasnął Jack.

- Zamknij dziób, Bestio! - dołączył Prosiaczek.

Kate przypomniała sobie tamtą Bestię z powieści, ale co to wszystko miało z nią wspólnego? I wtedy właśnie zdała sobie sprawę z tego, że im nie warto niczego wyjaśniać. Nie zechcą jej wysłuchać. Pomyślała, że gdyby udało jej się zajrzeć w oczy napastnikom, zobaczyłaby jedynie żarliwe przekonanie do własnych racji.

A to wykluczało wszelką dyskusję.

RALPH

Z pamiętnika Ralph:

Choć gra się już rozpoczęła, jeszcze nie umiem powiedzieć, którą z Bestii bardziej pogardzam. Czy tą, która mając inne rzeczy na sumieniu, akceptuje usuwanie ciąży, czy tą, która pławiąc się w luksusie, pozwala, aby jej syn mieszkał w placówce opiekuńczej.

Pozostali nie mieli jednak żadnych obiekcji. Już sama nazwa „placówka opiekuńcza” stawiała Laurie Moon na straconej pozycji.

Tym razem gra miała zupełnie inny charakter. Ralph nie tylko wytypowała Bestie, ale obmyśliła i nadzorowała cały plan. Tamci czworo musieli trzymać się założeń, improwizując nieco w zależności od rozwoju sytuacji, co jeszcze im się przyda. Zdolność reagowania przy nagłych zwrotach akcji uczyni z członków grupy mistrzów, pozwoli w przyszłości zmierzyć się z poważniejszymi zadaniami i przygotuje na większe ryzyko. Choć była to jej rozgrywka, Jack, Prosiaczek, Roger i Simon wykonywali niebezpieczną robotę i nadstawiali karku.

- Niech ta gra będzie naszym hołdem dla ciebie - oświadczyła patetycznie Roger przed tygodniem.

A więc stało się, pomyślała Ralph. Jej podopieczni uznali podwójne porwanie i zabójstwo za doskonały prezent dla niej.

Gra wciąż trwa, a ja muszę tu siedzieć beczynnie i czekać. Ponieważ mamy się kontaktować jedynie w nadzwyczajnych sytuacjach, mogę polegać wyłącznie na własnej wyobraźni. I jak ten malowany wódz, wysyłający wojska na pole bitwy, tak ja namówiłam swoje dzieci do najniebezpieczniejszej w ich życiu akcji.

Muszę się zastanowić, czy ja sama nie stałam się przypadkiem Bestią.

TLR

GRA

- Pewnie dostałaś znieczulenie, jak lekarze to robili? -zapytała Roger.

- Nikt niczego nie robił - zaprzeczyła Kate.

- Tobie nie - odezwała się przejęta Simon. Prosiaczek wstał z kanapy i wyteżył wzrok, usiłując coś

przeczytać, a nie było to łatwe, jako że miał na oczach czarną pończochę.

-Po dwudziestym tygodniu nóżki płodu...

- Dziecka! - przerwał mu Jack.

-... usuwane są za pomocą kleszczy. Główkę zaś nacina się nożyczkami...

- Miękką podstawę czaszki - wtrąciła Simon.

- Daj spokój - oponował Prosiaczek. - To jest i tak wystarczająco okropne.

- Wybacz - odpowiedziała.

Kate była bliska torsji, gdy Prosiaczek podjął temat:

-...aby można było pod ciśnieniem wypompować szarą masę. To z kolei powoduje kurczenie się czaszki, dzięki czemu można ją łatwiej usunąć.

- Czy tak właśnie było? - Roger nie dawała za wygraną.

- Ależ nie - wyszeptała bliska omdlenia i biała jak ściana Kate tak cicho, że nikt tego nie usłyszał.

- Odpowiadaj, potworze! - krzyknął Jack.

- Już mówiłam. Niczego takiego nie było.

- Stawiam dziesięć do jednego, że kłamie! Kłamie jak z nut!

- Do zabiegu można użyć soli - kontynuowała Roger. - Za pomocą długiej igły wprowadza się koncentrat do płynu owodniowego, w wyniku czego płód obumiera.

- Dłużej tego nie wytrzymam - ostrzegła Simon.

- Zgoda, ale musimy wiedzieć, której metody użyto w jej przypadku - oznajmiła Roger.

- Nie było żadnego zabiegu! - rzuciła hardo Kate.

- A więc twoje dziecko nie miało żadnej szansy - stwierdził Jack.

- Istotnie, ale...

- Mnie to wystarczy - zawyrokował Prosiaczek i wrócił do czytania artykułu Kate. *-Przez ten krótki czas... - zająknął się na nieznanym mu zwrotach - ...Niektóre państwa dopuszczają, a inne zakazują aborcji. Muszę się przyznać, że zbierając materiały do artykułu, nie tego się spodziewałam. A stosowane metody i ich skutki na zawsze zapadły mi w pamięć.*

- Biedaczka! - szydziła Roger.

- Muszę przyznać, że to nie jest mój najlepszy tekst - oświadczyła bez strachu Kate.

Na te słowa Simon wymierzyła jej potężny policzek, który zostawił na twarzy wyraźny ślad. Wszyscy zdębieli.

- Lepiej nie drażnij naszej Si - powiedział Jack, udając zatroskanego.

- Wybaczcie mi - zwróciła się Simon do swoich.

- Powtarzam! Nie usuwałam ciąży! Nie miałam żadnego zasranego zabiegu! - powtarzała Kate z błyskiem w oczach. A gdyby nawet, byłaby to wyłącznie jej sprawa. Lecz z oczywistych względów nie miała zamiaru informować o tym złooczyńców.

- Czy powiedziano ci, że dziecko może urodzić się z rozszczepieniem kręgosłupa? - dociekała Roger.

Przecież w moim artykule nie było o tym ani słowa, gorączkowo zastanowiła się Kate.

- A więc? - ponaglał Jack.

- Owszem, ale...

- I chciałaś usunąć ciążę, na co nie zgadzał się twój mąż. Czy tak? - cisnęła Roger.

- A skąd o tym wiecie? - Kate przestraszyła się nie na żarty.

- Zebraliśmy trochę informacji - wyjaśniła Simon.

- Widzicie? Pani się to nie podoba! - szydził Jack.

- Twojemu dziecku też nie - Roger nie odpuszczała.

- Czego wy właściwie chcecie? Przecież to ja straciłam dziecko!

- Pytamy, czy chciałaś usunąć? - naciskał Jack. - I mów prawdę, Bestio!

- Nie ma po co, przecież i tak mnie nie słuchacie! - Kate zapłonęła gniewem.

Jack nie wytrzymał i gwałtownie ruszył w jej kierunku. Wzdrygnęła się, oczekując uderzenia, ale napastnik sięgnął do kieszeni po taśmę, odciął kawałek i zakleił jej usta.

- Rzeczywiście, nie ma o czym gadać - podsumował, a Roger kontynuowała czytanie artykułu: *Jakbym nie miała innych kłopotów, w tygodniu mama zapowiedziała się z wizytą.*

- Nie tylko jesteś wyrodną matką, ale i córką - zawyrokował Jack.

- Oskarżamy cię także o okrucieństwo wobec własnej matki - dodała Simon.

- Niezła lista zarzutów. - Kate usłyszała słowa Roger.

- Nawet gorzej - wtórował jej Jack.

- I co ty na to, suko? - zaatakowała Roger.

- Ciekawe, co byś nam powiedziała, gdybyś mogła - uśmiechnął się z wyższością Jack.

- Gdybym tylko ja miał taką wspaniałą mamę jak ty, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi - włączył się do dyskusji Prosiaczek.

Kate znów musiała zebrać myśli, oszołomiona nowymi zarzutami. Czyżby znali Bel albo...

- Gdybym ja miał mamę, zawsze bym ją szanował - oznajmił Jack.

Kate ogarnęła nowa fala paniki. Usłyszała same fałszywe oskarżenia, bo przecież była wdzięczna Bel za wsparcie okazane po poronieniu. Przypomniała sobie też cytowany artykuł i spowodowane nim wyrzuty sumienia. Pamiętała także kolejny artykuł rozprawkę na temat odpowiedzialności i winy. Zaciśnięta taśma mocno ją uwierała, ale Kate pomyślała, że nie jest pierwszym ani ostatnim zakneblowanym przedstawicielem prasy...

Nagle ni z tego, ni z owego przyszło jej do głowy pytanie, czy w ogóle będzie jej dane napisać jeszcze w życiu cokolwiek.

LAURIE

Laurie wstała wcześniej i właśnie piła poranna kawę w zdemolowanej kuchni. Pete i Shelly spali jeszcze zmęczeni sprzątaniami. Wspominając nadzwyczaj ciepłe zachowanie ojca podczas wczorajszej nocnej rozmowy, Laurie wyrzucała sobie wszystkie złe myśli o rodzicach. Przecież to dzięki nim Sam miał tak wspierającą opiekę, uznała, nie zapominając jednak, że to oni również zabronili wnukowi mieszkać w rodzinnym domu. Zdołała jednak stłumić swoje pretensje, postanawiając żyć od wizyty do wizyty u syna. Nawet jeśli te odwiedziny bardziej niż chłopcu służyły uspokojeniu jej własnego sumienia.

Niestety, rozmowa z ojcem ponownie uświadomiła Laurie, jak bardzo potrzebuje wsparcia rodziców. Wciąż powracała myślami do starych dobrych czasów, kiedy kwitła między nimi miłość, która wtedy wydawała jej się wieczna. Nadal tęskniła za rodzinnym ciepłem oraz bliskością i dawną wiarą, że rodzice są najlepsi na świecie. Żałowała, że Sam nie będzie mógł powiedzieć o niej tego samego.

I nie było ważne, kto tu zawinił.

Wypiła kawę i poszła się przebrać, ucieszona, że już wkrótce zobaczy się z synem.

Kate miała nowy powód do paniki.

Jack zaczął nerwowo chodzić po salonie z coraz bardziej chmurną miną. Wtem zatrzymał się tuż przed nią i wyciągnął z kieszeni jakiś przedmiot. Kate spojrzała i rozpoznała paczkę prezerwatyw.

- Pamiętasz może, czego uczy się w szkole takie jak ty, takie zachodzące w ciążę zdziry, które nie zasługują na dziecko? W naszych kochanych szkółkach ciągle trajkocze się o bezpiecznym seksie. Czyż nie tak? - powiedział, a Kate zrobiło się niedobrze. - A ja miałem ochotę na małe zajęcia praktyczne. Chciałem, abys wzięła udział w lekcji i skorzystała z pomocy naukowych... - Pochylił się i podsunął jej opakowanie pod sam nos, tak że poczuła zapach lateksu. Ponieważ mdliło ją coraz bardziej, odwróciła głowę, jednak mężczyzna chwycił Kate za włosy i gwałtownie odwrócił do siebie i dodał: -... ale moi towarzysze zabronili mi, więc powinnaś się cieszyć, no nie?

Kate nie mogła już opanować drżenia.

- Pytałem o coś!

Mocniej szarpnął ją za włosy. Z jej oczu popłynęły łzy, lecz pokonując wstręt do napastnika, zdołała kiwnąć głową. Może w ten sposób zdoła uratować życie.

- No i o to chodziło, kurwa mać!

RALPH

Nadszedł czas na drugą odsłonę.

Zgodnie z planem Jack, Simon i Prosiaczek mieli teraz opuścić Caisleán.

Długo zastanawiano się, kto zostanie z Kate Turner, i w końcu wybrano Roger. Mężczyźni musieli jechać po drugą Bestię, a bystra redaktorka mogłaby jakoś podejść łatwowierną Simon. Poza tym Roger miała więcej siły, niż wskazywała na to jej postura, a ponadto jako zawodowa aktorka z łatwością dałaby sobie radę z ewentualnymi niespodziewanymi gośćmi.

Ralph nie mogła sobie znaleźć miejsca i walczyła z pokusą zatelefonowania. Jednak umowa przewidywała, że to tamci się z nią skontaktują, i to wyłącznie w razie kłopotów.

Choć była ich przywódczynią, nie mogła znieść myśli, że któreś może wpaść. Kiedyś przecież obiecała chronić każdego z nich.

Z biegiem lat, gdy rozgrywki stały się rzadsze, acz bardziej ryzykowne, zmieniła przysięgę, która teraz brzmiała: „Dołożę wszelkich starań, aby was chronić”. Ze wszystkich sił odpychała od siebie myśl o więzieniu i odseparowaniu od podopiecznych.

Ralph starała się wyobrazić sobie, jak związana Kate Turner wysłuchuje zarzutów. A właściwie oskarżenia o zbrodnie przeciwko dzieciom i matkom. Przyknęła oczy, by zobaczyć w wyobraźni twarze członków grupy, ukryte pod czarnymi pończochami.

Jej napięcie sięgnęło zenitu, a serce, jak nigdy przedtem, rozpierała duma.

Choć Kate zauważyła, że coś się święci, starała się zachować spokój. Od dłuższego czasu żaden z napastników nie powiedział ani słowa. Z kuchni dolatywał zapach parzonej kawy i trwały tam jakieś przygotowania.

- Chodźmy już - usłyszała głos Jacka.
- Bez pośpiechu - odpowiedział Prosiaczek.
- Lepiej się nie spóźnić - dodała Simon.
- Zdamy - uspokajała ich Roger.

LAURIE

Laurie wreszcie ruszyła w drogę, a uruchomiła samochód tylko dzięki Dave'owi. Tym razem obyło się bez uwag i protestów rodziców. Matka wciąż spała, a ojciec jak zwykle od bladego świtu przebywał w stajni, co zresztą uwielbiał.

Niebo szarzało, nocne mgły całkowicie ustąpiły, będzie więc mogła podziwiać wschód słońca, rozświetlone różem miedze, pola, drzewa i pagórki. A po powrocie spróbuje oddać to całe piękno na obrazie, który podaruje Samowi.

-Dzień dobry, syneczku! - powiedziała głośno, choć jeszcze nie była na miejscu. - Czas wstawać i zjeść śniadanko.

Nie miała konkretnego planu wizyty. To Sam zawsze mówił, co chciałby robić. Opiekunowie wręcz zachęcali do tego dzieci. Gdyby jednak syn nie miał żadnego pomysłu, Laurie trzymała w odwodzie wypad do Legolandu lub do rezerwatu Cotswold. Co prawda wcześniej byli już w obu miejscach, ale Samowi tak się tam podobało, że z pewnością ucieszy się z ponownej wizyty. I to właśnie Laurie kochała w swoim synku, jego wręcz zaraźliwą radość i entuzjizm oraz ujmującą otwartość.

„Niech się pani nie martwi. Sam wcale się nie przejął tym, że go tu pani zostawiła” - Laurie nie mogła zapomnieć tamtych słów opiekunki.

-Już do ciebie jadę, słoneczko - znów powiedziała na głos.

I wyjechała wprost w budzący się dzień.

Zanim napastnicy opuścili Caisleán, Kate położono na kanapie, twarzą do dołu. Już żegnała się ze światem, oczekując strzału, ciosu nożem lub uduszenia. Leżąc twarzą w poduszkach, próbowała nosem łapać powietrze.

-Nie rzucaj się! - zakomenderowała kuczająca czy klęcząca przy kanapie Roger i przytrzymała Kate, kładąc jej jedną rękę na plecy, a drugą na głowę. Okazało się, że jest silniejsza, niż na to wyglądała.

Boże, zmiłuj się nade mną, wołała w myślach Kate.

Między jej nosem a poduszkami pozostało nieco powietrza, wciąż jednak była skrupowana i czekała na najgorsze. Jej myśli biegły od Roba do Bel, Michaela i wracały do męża. Zrobiło jej się bardzo przykro, gdy wspomniała o swoim nienarodzonym dziecku. Może gdyby...

Ktoś otworzył drzwi wejściowe i do domu wdarło się chłodne powietrze. Roger przytrzymała ją już tylko jedną ręką, z czego Kate wywnioskowała, że nie będzie egzekucji. Po prostu chciano, aby się nie poruszała. Być może dlatego, że napastnicy pozdejmowali z twarzy pończochy.

To dobra wiadomość, bo skoro mam nie widzieć ich twarzy, to znaczy, że będę żyć, wydedukowała Kate.

Gdy już sobie pójdą, zostanie sama. Skrupowana, zakneblowana, ale cała, zdrowa i z perspektywą na...

-Uważajcie tam! - Najpierw usłyszała przytłumione szepty, a teraz wyraźny głos swojej strażniczki. A to oznaczało, że nie zostanie sama.

Ciekawe, co to wszystko znaczy, zastanawiała się gorączkowo. Wyraźnie słyszała poruszenie, kroki, szelest ubrań, a w końcu trzask zamykanych drzwi. Ro-

ger wciąż jednak przyciskała ją twarzą do kanapy, co wprawiło Kate w lekki płoch.

Wreszcie tamta się odezwała:

- Już możesz usiąść.

Kate natychmiast odwróciła głowę na bok i łapczywie chwyciła powietrze. Spróbowała też usiąść, co się jednak nie udało.

- Chwileczkę - Roger podeszła i pomogła jej się podnieść.

Dopiero teraz Kate mogła dostrzec wysoką i szczupłą sylwetkę kobiety, która nawet w zwykłych ogrodniczkach wyglądała elegancko. Reszta napastników zniknęła.

Kate z jednej strony była wdzięczna Roger za okazaną pomoc, z drugiej zaś rozumiała, że obecność tamtej oznacza kontynuację uwięzienia. Napastniczka pochyliła się i zerwała jej taśmę z ust. Kate natychmiast odetchnęła pełną piersią.

- Teraz możesz mówić.

- Chciałam ci podziękować... - zaczęła od razu Kate, co sprowokowało strażniczkę do ponownego zakneblowania jej ust.

- Na twoim miejscu byłabym poważniejsza.

Kate wydała serię dźwięków mających wyrażać błaganie, frustrację i złość. - Tak już lepiej.

RALPH

Ralph nieustannie wpatrywała się w wiszący na ścianie zegar.

Pewnie jadą już po drugą Bestię i strasznie się denerwują, myślała. Nie bała się o Jacka, który cieszył się z nowej zabawy, ale nie była zbyt pewna, jak sobie radzą jego towarzysze, a nawet niepokoiła się o pozostałą dwójkę. I to pomimo akceptacji przez Simon całego planu oraz oczywistej zgody Prosiaczka.

Myśli Ralph biegly także ku Roger, pozostawionej sam na sam z Bestią.

Zgodnie z umową można było kontaktować się telefonicznie wyłącznie w nagłych wypadkach. Jednak ona nie potrafiła już nad sobą zapanować. Sięgnęła po telefon i wybrała numer Roger.

GRA

Wciąż skrepowana Kate usłyszała dzwonek telefonu. Roger wyjęła aparat z etui przy pasku, popatrzyła na wyświetlacz, nacisnęła klawisz i szorstko zapytała:

- Co tam?

Kate wyęczała słuch, by usłyszeć głos telefonującej osoby, sądząc, że może dotrze do niej coś, co się przyda podczas późniejszego śledztwa. Jednak mimo że zamaskowana kobieta stała ledwie dwa metry od kanapy, niczego nie było słychać.

- Wszystko idzie zgodnie z planem. - Roger słuchała przez chwilę. - Bez problemu, szefie.

Tym razem jej głos zabrzmiał łagodniej, ciepło, a nawet, jak zauważyła Kate, pojawiła się w nim nuta szacunku. Mieli więc jakiegoś przywódcę. To spostrzeżenie znów przywołało jej w pamięci powieść Goldinga. Nawet jeśli swoje pseudonimy przyjęli wyłącznie dla zmylenia ofiar, jednak zapożyczyli je z tej książki. Zapewne im się spodobała. Może nawet wybrał ją sam szef. A może zafrapowała ich fabuła i okrucieństwo.

- Skontaktujemy się później. Znacznie później - zakończyła rozmowę Roger.

Kate jęknęła, starając się zwrócić na siebie uwagę. Chciała jakoś wykorzystać moment, że została sam na sam z porywaczką, choć wiedziała, że to silna kobieta.

- Chcesz coś powiedzieć? - spytała Roger. Kate przytaknęła.

- Nic z tego.

Kate znów jęknęła, tym razem błagalnie.

- Ciągłe chcesz się wysikać? - Roger wzruszyła ramionami. - Nie zamierzam wahać twoich szczyń.

Umysł Kate podsuwał jej mnóstwo pomysłów: jeśli będzie miała wolne nogi, może uda jej się coś zdziałać. Musi kopnąć tę kobietę gdziekolwiek, gdzie tylko jej się uda. Może w nogi? Przecież nie zdjęli jej butów, więc kopnięcie może okazać się bardzo bolesne.

- Będziesz musiała jakoś się tam doczłapać sama. - Roger nieświadomie zniweczyła jedyną szansę Kate.

Powrót do pionu okazał się strasznie bolesny. W skrępowanych, ściśniętych więzami nogach krew niemal przestała płynąć. Jedyna pociecha w tym, że Kate wciąż mogła jasno myśleć. Chociaż Roger nie uwolniła jej rąk, to przecież będzie musiała rozpiąć jej spodnie, ściągnąć je w dół, co oznacza, że pochyli się przed nią, a wtedy...

Kate zrozumiała, że to nic nie da. Dłonie nadal miała skrępowane za plecami. Może się tylko załatwić i być wdzięczną za okazanie jej tej łaski. Jeszcze czego... Jedyna rzecz, za którą mogłaby być wdzięczna tej suce, to wolność i szansa na dalsze życie. A prawdziwy spokój odzyska dopiero wtedy, gdy czworo złoczyńców znajdzie się za kratkami.

RALPH

„Znacznie później”.

Ralph wiedziała, że nie powinna telefonować. Zachowała się niczym niespokojny rodzic, który całe życie martwi się o dzieci.

Nie tak jak ich prawdziwi rodzice.

I nie tak, jak przystało na szefa. Już nie. Opracowując akcję i nie biorąc w niej udziału, stała się balastem dla grupy.

Wciąż się niepokoila, jak sobie radzą jej podopieczni z obciążającym ich napięciem. I nie tyle bała się o Jacka, ile o pozostałych. Ale o niego również, bo jak sam to przyznał, jest tylko włamywaczem, a to właśnie on na samym końcu zostanie poddany najtrudniejszej próbie.

Jack, dziecko porzucone na parkingu.

Ten chłopak, sądząc zapewne, że reszta chce w nim widzieć twardziela, przez lata zamykał się w ochronnej skorupie. Jednak były to tylko pozory.

Ralph martwiła się i o niego. Martwiła się o wszystkie dzieci.

Jej dzieci.

LAURIE

Od szosy w kierunku Rudolf Mann House prowadziła bita wiejska droga, której piękno zawsze podnosiło Laurie na duchu. W dodatku na końcu tej wijącej się wśród pól wstążki czekał na nią ukochany synek. W pewnym momencie droga zniknęła przesłonięta półkolem ciemnych drzew tylko po to, aby za chwilę ponownie błysnąć w promieniach wschodzącego słońca pośród otaczającego Laurie zagajnika.

Laurie przeniosła owe wspaniałe widoki na płótno i odkryła, że budzą w niej to samo uniesienie, które ogarniało ją tuż przed spotkaniem z synem. Zastanawiała się, jak tym razem będzie wyglądał Sam. Czy na jej widok radość znów rozświecili brązowe oczy chłopca? Jakie zmiany przyniosły ostatnie dwa tygodnie? A może jej wizyta nie sprawi mu już przyjemności, przecież dorastał i Laurie zdawała sobie sprawę z tego, że któregoś dnia chłopiec znajdzie sobie ciekawsze zajęcie. To może się zdarzyć nawet dzisiaj...

Nie, lepiej jeszcze nie dzisiaj.

Nagle Laurie zauważyła samochód tarasujący drogę. Biała furgonetka stała na samym środku, uniemożliwiając przejazd. Wewnątrz nie było kierowcy. Dziewczyna zwolniła, a po chwili zatrzymała auto. Nie denerwowała się, bo przyjechała za wcześnie i miała dużo czasu. Sam mógł nie być jeszcze gotowy, nie miała więc nic przeciwko temu, by posiedzieć chwilę w miłym, zielonym cieniu drzew i cieszyć się oczekiwaniem.

Jednak furgonetka ciągle tarasowała przejazd, nikt niczego nie wyładowywał ani nie dawał znaku życia. Chociaż maska samochodu nie była podniesiona, pewnie auto się zepsuło. Laurie uznała, że powinna coś zrobić. Musi być jakaś inna droga dojazdowa do Mann, tylko niestety ona jej nie знаła. Zaczęła się de-

nerwować, sądząc, że syn już na nią czeka, a przecież nie spóźniła się ani razu przez bite osiem lat.

Zawołała grzecznie, aby dać do zrozumienia kierowcy furgonetki, że tarasuje drogę.

Nie było odzewu.

Może poszedł po pomoc, co oznacza... Otworzyła drzwi, wysiadła z samochodu i spróbowała ponownie.

- Jest tu kto?

Popatrzyła za siebie na pustą drogę. Rzadko ktoś jeździł tędy o tak wczesnej porze. Odwiedziny zaczynały się o dziewiątej, tylko ona miała wizyty ustalone na ósmą, zgodnie z warunkami umowy.

- Halo? - krzyknęła jeszcze raz.

- Jestem tutaj! - zabrzmiał kobiecy głos zza furgonetki. - Mam kłopot z samochodem.

- Potrzebuje pani pomocy? - spytała Laurie.

- Nic nie słyszę - odpowiedziała nieznajoma. - Czy może pani tu podejść?

- Dobrze. - Laurie przypomniała sobie, że zostawiła w aucie telefon i zaproponowała: - Mogę zadzwonić po pomoc.

Tym razem kobieta nie odpowiedziała. Laurie ruszyła naprzód, obeszła niesprawny wóz dookoła i spoglądając w stronę budynków Rudolf Mann House, pomyślała, że od syna dzieli ją nie więcej niż kilometr i w razie czego będzie mogła pójść do ośrodka piechotą.

- Witaj, Laurie.

Przestraszyła się, słysząc za plecami męski głos. Chciała się odwrócić, a wtedy ktoś mocno przytrzymał ją w pasie, chwycił za szyję i dłoń w rękawiczce zakryła jej usta, zanim dziewczyna zdążyła krzyknąć. Straciła równowagę i poczuła, że napastnicy wloką ją w stronę furgonetki. Jakieś dwie osoby wciągnęły ją do środka i rzuciły w ciemność, na metalową twardą podłogę. Przez moment miała

odkryte usta, zaczęła więc krzyżeć, ale zaraz coś obrzydliwie śmierdzącego i wilgotnego zasłoniło jej nos i wargi, zakręciło jej się w głowie, poczuła mdłości i...

Zanim straciła przytomność, przerażona zdążyła pomyśleć, że przecież Sam będzie na nią czekał.

TLR

Gdyby ktoś powiedział kiedyś Kate, że będzie się nudzić, leżąc związana i zakneblowana na kanapie, postukałaby się w czoło. Ale ta szczupła kobieta o zaskakująco miłym głosie i z twarzą osłoniętą pończochą nie odezwała się do niej od chwili, gdy zaciągnęła ją do łazienki i w poniżający sposób, bo nie opuszczając pomieszczenia, umożliwiła Kate załatwienie potrzeb fizjologicznych. Potem strażniczka najspokojniej w świecie zabrała ją do pokoju i usiadła obok na kanapie. Zimna krew, jaką zachowywała nieznajoma, niemal całkowicie zniszczyła wolę walki Kate, która była gotowa już niemal na wszystko.

Niemal.

Po piętnastu minutach sytuacja nagle się zmieniła.

Roger wstała, podeszła do okna i wyjrzała przez szparę w zasłonach. Przez chwilę do pokoju wpadał promień światła, ale Kate niczego nie dostrzegła na zewnątrz. Potem Roger wróciła na poprzednie miejsce. Jej opanowanie słabło. Kate pomyślała, że tamta czeka na coś lub na kogoś. Znudzenie zniknęło i ponownie zaczął ją ogarniać lęk. Spokój za nic nie chciał powrócić.

RALPH

Ralph obserwowała obie Bestie na tyle długo, by przewidzieć, jak mogą się zachować w obliczu próby. Kate Turner to zadowolona z siebie tupeciara, która potrafiła odrzucić szczęście, jakie ją spotkało, z bez troską krezusa wierzącego w swoje nieskończone zasoby. A mała Laurie Moon, tchórzliwa asekurantka, wolała bezpieczne życie pod skrzydłami rodziców niż własne, tak bardzo potrzebujące miłości dziecko.

Turner może jeszcze pokazać pazurki. Moon zaś, gdy już się ocknie z chloroformowego snu, pomyśli, że porwano ją dla okupu. Gdy się jednak dowie, że tatuś nie opuści swoich stajni, by ją ratować, wtedy zapewne całkowicie się załamie.

Ralph bardzo żałowała, że nie może tego widzieć na własne oczy.

Niech szlag trafi jej słabe ciało i Rose Miller, przez którą już nigdy nie będzie mogła osobiście uczestniczyć w grze. Pocieszała się jednak, że dzieci nie potrafią wykonać planu bez jej pomocy. Tak wiele rzeczy mogło się nie udać. Chwila nieuwagi, pech, błąd w ustaleniach. Na jej czwórkę czyhało tyle niebezpieczeństw. Mówiła im o tym i przestrzegała.

- Ta gra może się okazać dla was zbyt niebezpieczna - tłumaczyła.

Odpowiadali, że akceptują ryzyko, ale Ralph sądziła, że nie do końca rozumie li, co im grozi. Wierzyli w grę i w nią, ich opiekunkę i talizman - zawsze chroniącą całą czwórkę przed niebezpieczeństwem. Oczywiście, nie mieli innego wyjścia, wiedziała, że pozostała im tylko ta wiara. A to dlatego, że bez możliwości rozpoczęcia kolejnej gry, jakakolwiek by ona była, znów staliby się tymi, którymi byli, zanim przeczytali książkę w neolitycznym kurhanie, przed spotkaniem z nią i przed tym, jak stała się Ralphem. Znów nic by nie znaczyli.

GRA

Trójka napastników przywiozła już przytomną, lecz oszołomioną Laurie do Caisleán. Tam posadzili ją w jadalni na krześle tyłem do stołu, a twarzą do kanapy, na której siedziała Kate.

- Wszystko w porządku? - zapytała Roger.

- Idealnie - odpowiedział Jack.

Porywacze zdjęli swojej ofierze skórzaną kurtkę, pozostawiając dziewczynie rękawiczki, po czym związali jej ręce za plecami. Kate zauważyła, że nieznajoma się wzdrygnęła, jednak jej reakcje były mocno spowolnione. Zrozumiała, że tamta została czymś oszołomiona, bo siedziała nieruchomo ze związanymi nogami.

Kate czuła, jak mocno wali jej serce. Oddychała coraz szybciej. Przeczuwała, że stanie się coś strasznego. Popatrzyła na towarzyszkę niedoli. Ta młoda dziewczyna nie miała więcej niż dwadzieścia kilka lat. Była ładna, miała kręcone blond włosy i niebieskie oczy. Jej czerwony sweterek i niebieskie dżinsy były podobne do tych, które nosiła Kate. Laurie odwzajemniła jej spojrzenie, lecz ciągle była w szoku, miała wilgotną skórę, a jej ciałem wstrząsały dreszcze.

- Zaczynamy? - zapytała kobieta o imieniu Simon.

Mężczyzna zwany Prosiaczkiem podszedł do drzwi i sprawdził, czy są dobrze zamknięte. Przez chwilę Kate wydawało się, że i on drży.

- Ruszaj się, Prosiak! - zniecierpliwił się Jack.

O co tu chodzi? Kate wydawało się, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi.

Porywacze zajęli swoje miejsca, ruchy mieli spokojne, wyćwiczone. Roger stanęła po prawej stronie młodej dziewczyny, Prosiaczek po lewej, Simon usiadła obok Kate. Jack stanął między nimi, na środku dywanu. Skinął na Simon.

-Zaczynaj.

Porywaczka pochyliła się nad Kate i zerwała jej z ust taśmę. Młoda kobieta wciągnęła głęboko powietrze i poczuła nieprzyjemny zapach potu. Przełknęła ślinę i starała się zwilżyć wargi. W pokoju panowała całkowita cisza.

- Co się dzieje? - spytała..

- To gra - odpowiedziała Roger. Gra.

Kate nauczyła się już, że nie wolno marnować pytań.

- Kto to? - zapytała, patrząc na nieznaną dziewczynę.

- Osoba, przy pomocy której ukarzymy ciebie - odpowiedział Jack.

TLR

RALPH

Czas płynął boleśnie wolno. Brak wiadomości stawał się nie do zniesienia. Nie mogła im przeszkadzać, akcja musiała przebiegać bez opóźnień. Im dłużej trwała gra, tym łatwiej było o błąd. Poza tym, rola przywódcy już się skończyła. Przy najmniej na razie. Ralph wiedziała, że później i tak będzie im potrzebna, żeby dopracować szczegóły. Właśnie w szczegółach objawiał się jej geniusz. Dotyczyło to zamków u drzwi w Caisleán, markowych zamków, bo firma ubezpieczeniowa Roba Turnera zwracała uwagę na takie detale. Chodziło przecież o właściwą ochronę domu przed intruzami w słabo zaludnionej okolicy. A także tego, że Kate Turner, bez wiedzy agenta ubezpieczeniowego, a może nawet w tajemnicy przed mężem, ukryła zapasowe klucze pod grządką pierwiosnków, dziesięć metrów od drzwi frontowych. Takie szczegóły są niezwykle istotne.

I jeszcze samochód Laurie Moon. Odprowadzony bezpiecznie i ukryty w opuszczonej oborze, którą Ralph odkryła na wiele dni przed rozpoczęciem gry. Jack wiedział, jak ważne są takie rzeczy, ale pozostawiał ich dopracowanie szefowej. Sam zajął się przemalowaniem auta Laurie, zmianą tablic i przebicciem numerów. Przecież właścicielka nie będzie już z niego korzystać. A reszta grupy? Oni musieli poczekać do końca gry. Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć.

GRA

- Obie powinnyście wiedzieć - zaczęła Roger, zwracając się do Kate i Laurie - dlaczego zostałyście nominowane do tej gry.

Kate zauważyła, jak bardzo te słowa nie pasują do sytuacji. Przecież „nominować”, oznacza nagrodzić lub wyróżnić. Zwróciła też uwagę, jak beznamiętnie wypowiadała je ta kobieta. Druga ofiara powoli dochodziła do siebie, dostała nawet do wypicia trochę kawy. Zaraz jednak zniecierpliwiony Jack wylał dziewczynie na twarz szklankę zimnej wody. Przerazona, gwałtownie nabrała powietrza w płuca, a jej oczy znów napełniły się łzami. Kate chciała jakoś ją pocieszyć, cofnąć czas, opóźnić straszliwe przebudzenie. Odwlec to, co miało nastąpić.

- A ty, Turner - zaczęła Simon - zasłużyłaś sobie na podwójną karę. Nie każda kobieta potrafiłaby znęcać się nad swoim dzieckiem i własną matką.

Kate z trudem powstrzymała się przed gniewną ripostą. Zauważyła podejrzliwe spojrzenie towarzyszki niedoli. Pewnie dziewczyna ma teraz nadzieję, że Kate znalazła się w gorszej sytuacji i że jej położenie może nie jest aż tak złe.

- Z tobą było łatwiej - Prosiaczek odwrócił się do Laurie.

- Ale twoja niegodziwość - wtrąciła Roger - jest równie karygodna.

- Nawet gorsza - dorzucił Prosiaczek.

Kate widziała gasnącą iskierkę nadziei w oczach dziewczyny i serdecznie jej współczuła.

- Umieściłaś swoje dziecko w domu opieki - powiedział Jack - chociaż nie musiałaś tego robić.

-Ja...

- Zamknij się! - uciał Jack i zrobił krok w jej stronę. Laurie skuliła się ze strachu.

- Żadnego karmienia piersią - odezwała się Simon.

- Żadnych pieszczot - dodał Prosiaczek.

- Żadnej mamy, kiedy dziecko chorowało - wyliczała Roger.

- Pewnie lepiej mu było bez niej - zakończyła Simon. Kate obserwowała twarz dziewczyny, widziała cierpienie

w jej oczach i rosła w niej nienawiść do oprawców za tę nową torturę.

- Żadna strata dla Sama, jeśli już jej nigdy nie zobaczy - stwierdził Jack. - To pewne.

W tym momencie rozległ się sygnał telefonu stacjonarnego.

Serce Kate przyspieszyło. To mógł dzwonić jej ojciec albo Fireman, gdyż im obu powiedziała, że tu przyjedzie. Gdyby ktoś inny chciał z nią porozmawiać, zadzwoniłby na komórkę, która była w torebce leżącej na podłodze przy drzwiach.

Telefon ciągle dzwonił.

- Jeśli nie odbiorę... - zaczęła.

- Zamknij się! - przerwał jej Jack.

Nie miała automatycznej sekretarki ani poczty głosowej, więc po chwili telefon zamilkł. Może to Rob usiłował się dodzwonić, może jej komórka wysiadła, może...

- Uważaj, Turner! - warknęła Roger, a Kate odpowiedziała jej pełnym nienawiści spojrzeniem. - Staramy się, aby wszystko szło gładko i szybko, bo lubimy, kiedy gra ładnie się rozwija - ciągnęła.

Pośpiech, pomyślała Kate. To nie wróży nic dobrego.

- Gotowe? - zapytał Jack, patrząc na obie ofiary. - Świetnie.

Niegotowe, chciała powiedzieć Kate, widząc na twarzy dziewczyny przeraźliwy strach.

- Gra polega na tym... - zaczęła wyjaśniać Roger.
- Że wybieramy Bestię i ją karzemy - dokończył Jack.
- Ale tym razem mamy dwie Bestie - włączył się Prosiaczek.
- Pierwszy raz - dodała Simon.
- Musieliśmy się więc zastanowić, jak rozwiązać ten problem - wtrąciła Roger.
- Okazało się, że to bardzo proste - wyjaśnił Prosiaczek.
- Ukarzecie się nawzajem - ogłosił Jack.

* * *

Zaległa cisza, która zdawała się trwać w nieskończoność. Pierwsza odezwała się Kate:

- Nie! - Jej głos brzmiał mocno i pewnie. - Nie zrobimy tego.
- Zamknij dziób! - nakazał Jack.
- Co macie na myśli, mówiąc, że mamy się nawzajem ukarać? - zapytała Laurie. Nie wiedziała, czy drugi raz zdobędzie się na odwagę, by w ogóle się odezwać. Może to przez ustępujące odurzenie chloroformem, a może na myśl o tym, że jeżeli teraz nie zacznie walczyć, naprawdę walczyć, pierwszy raz w swoim marnym życiu, to nigdy więcej nie zobaczy Sama. I w ogóle nikogo. Chciało się jej płakać, ale postanowiła nie dawać za wygraną. Cokolwiek te potwory o niej mówiły, teraz ma odwagę im się przeciwstawić.
- Kim jesteście? - Zdawało jej się, że najgorsza jest niewiedza. -I skąd tyle o mnie wiecie?

Druga porwana uśmiechnęła się, dodając jej otuchy. W końcu jechały przecież na tym samym wozie.

- Mam na imię Jack - padła odpowiedź na pierwsze pytanie. -I to wszystko, co musisz o mnie wiedzieć.

- A ja Roger - odezwała się kobieta stojąca po prawej stronie Laurie.

- Ja jestem Prosiaczek - powiedział drugi z zamaskowanych mężczyzn. Przedstawiali się, jakby byli na przyjęciu.

- Simon - powiedziała druga z kobiet.

Kate zauważyła, że Laurie nie zwraca uwagi na te imiona.

- To nie są ich prawdziwe imiona, wzięli je z książki - rzuciła szybko. - Ja mam na imię Kate.

- A ja Laurie - równie szybko odpowiedziała dziewczyna. - Laurie Moon.

Jack zrobił trzy kroki w stronę Kate i mocno uderzył ją w twarz.

- Nie odzywaj się bez pytania! - Odwrócił się do Laurie. -I ty też, chyba że chcesz oberwać.

- Spokojnie - mitygowała go Roger.

Ból spowodowany uderzeniem przypomniał Kate, że Simon musiała już uspokajać Jacka, gdy spoliczkował ją po raz pierwszy. Może nie chcieli zostawiać śladów pobicia, chociaż Simon też ją uderzył, jej jednak nikt nie zwrócił uwagi. A Jack wyglądał wtedy na wyjątkowo zadowolonego.

Laurie gapiła się na czerwone ślady na twarzy Kate i zastanawiała zadziwiona, która może być godzina. Może ktoś z Rudolf Mann House zadzwonił już do jej rodziców...

- Mój samochód - odezwała się głośno.

- Ukryty w bezpiecznym miejscu - zapewnił ją Jack. - Tak samo jak i ty.

Kate zauważyła zbierające się w oczach Laurie łzy.

- W porządku - powiedziała. - Wszystko będzie dobrze.

- Zależy, co to według ciebie oznacza - ironizował Jack.

- Nie rozumiem. - Laurie była przerażona, ale musiała wiedzieć. - Mówicie, że umieściłam Sama w domu opieki, bo go nie chciałam, ale to nieprawda.

- A co? Tak się rozchorowałaś, że nie mogłaś się nim zająć? - zapytała gniewnie Simon.

- Siedziałaś może w więzieniu? - zaatakował ją Prosiaczek.

- A może związane cię i zakneblowano? - spytała Roger.

- Oczywiście, że nie - odparła. - Ale...

Jack wyciągnął z kieszeni rolkę taśmy, oderwał kawałek i zakleił dziewczynie usta tak gwałtownym ruchem, że głowa odskoczyła jej do tyłu.

- No to teraz rzeczywiście nic nie możesz zrobić - podsumował.

Laurie poddała się i zaczęła płakać.

- Drań! - wyrwało się Kate, zanim zdołała pomyśleć, co robi.

- Mało ci jeszcze? - zapytał Jack i odwrócił się do niej.

- Zaczynajmy już - szybko wtrąciła się Roger.

- Racja - poparła ją Simon. Znow zapadła pełną strachu cisza.

- Ciągłe chcesz wiedzieć, jak macie się nawzajem ukarać? - zaczął Jack, zwracając się do Laurie, lecz dziewczyna przestała już reagować. - To proste - powiedział.

- Ty ukarzesz ją - odezwała się Roger do Laurie i głową wskazała Kate. - Stań się jej ofiarą.

- A ty - wtrącił Jack, zwracając się do Kate – ukarzesz ją.

- Nie! - przerwała Kate, przygotowując się na następne uderzenie. - Nie zrobię tego!

- Wykonując na niej egzekucję - dokończył Jack. Laurie jęknęła, zbladła i zemdlała. W ostatniej chwili Roger uchronił ją przed upadkiem.

- Przytrzymaj ją! - nakazał Jack.

Prosiaczek chwycił dziewczynę z drugiej strony. Głowa opadła jej na piersi.

- Nie zamierzam nic jej zrobić - odezwała się Kate. - Bez względu na to, co mi grozi.

- A co powiesz na małe kuku zrobione Emmie? - zapytał Jack.

Kate poczuła, jak krew odpływa jej z głowy. Przed oczami miała słodką buzię ukochanej córki Roba.

- Ty... - nie dokończyła, przerażona.

- Tak. Mamy Emily - potwierdziła Roger.

- Nie wierzę wam! - wykrztusiła w końcu Kate. Laurie odzyskiwała przytomność. Jej twarz ciągle była sinobiała, ale teraz Kate mogła myśleć jedynie o Emmie i o tym, jak bardzo Rob ją kocha. Ci dranie nie mogli jej dopaść, to niemożliwe. Chociaż tak samo myślała o sobie.

- Nie wierzę wam! - powtórzyła, tym razem z mniejszą pewnością siebie.

- Jeśli nie zadzwonimy - powiedziała Roger, patrząc na zegarek - za piętnaście minut, aby powiedzieć, że już tu skończyliśmy...

- Wtedy oni skończą z Emmie - dokończył Jack. Laurie, słysząc wszystko i rozumiejąc, o co chodzi, mimowolnie starała się uciec od rzeczywistości.

Kate oblizwała wargi i zażądała:

- Udowodnijcie, że ją macie.

- Niczego nie musimy udowadniać - odpowiedziała Roger.

- Masz zrobić, co każemy.

- Chyba że Emily w ogóle cię nie obchodzi - dorzucił Jack.

- Może tak być - wtrąciła Simon. - Biorąc pod uwagę twoje postępowanie...

- Racja - przytaknął Prosiaczek.

- To niczego nie zmienia - oświadczył Jack. - Znajdziemy inny sposób, by zrobiła to, co chcemy.

Przerażona Laurie jęknęła cicho.

- Nawet jeśli ją macie - Kate mówiła z trudem, starając się dobierać właściwe słowa - to nie skrzywdzicie bezbronного dziecka.

- Przecież to nie my, a ty wszystko zrobisz, nieprawdaż? - odrzekł Prosiaczek.

- Tracimy czas - zauważyła Roger.

- Masz rację - przytaknął Jack. - Do roboty. Laurie zaczęła się dławić.

- Ona zaraz się porzyga! - przestraszył się Prosiaczek.

- Uspokój się! - ostrzegł ją Jack. - Prosiaczek tego nie lubi. A poza tym, nie psuj zabawy.

- O, Jezu! - jęknęła ze wstrętem Kate.

Jack znów ją mocno uderzył. Tym razem wierzchem dłoni.

- Spokojnie - interweniowała Roger.

Zatem nie była to tylko jej wyobraźnia. Kate miała dowód na to, że napastnicy nie chcieli pozostawiać śladów.

- Wstawaj! - rozkazał Jack.

Próbowała powstrzymać mimowolnie napływające łzy i nie podniosła się z miejsca.

- Ruszcie się, dziewczyny - zachęcał Jack. - Czas wstać i się zabawić.

Pochylił się i chwycił Kate za lewe ramię, Simon zrobiła to samo z prawej strony. Podnieśli ją z kanapy. Prosiaczek i Roger postawili jęczącą z bólu Laurie na nogi.

- Ruszaj się! - rozkazał Jack Kate. - Ruszaj się, dziwko!

- Nie mogę - odpowiedziała. - Nogi mi zdrętwiały, daj mi chwilę.

- Chyba musimy ją rozwiązać, żeby mogła wejść na górę - odezwał się Prosiaczek.

Kate popatrzyła na schody prowadzące do sypialni.

- Nikogo nie będziemy rozwiązywać - zaprotestowała Roger.

- To może powinna to zrobić tu, na dole? - zapytała Simon.

- To sprzeczne z planem - nie zgodził się Jack.

- No dobrze. Rozwiążemy ją - Roger zmieniła zdanie. Laurie patrzyła na Kate błagalnym wzrokiem.

- Nie zamierzam zrobić ci krzywdy - zapewniła ją Kate. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

- Tak sądzisz? - spytał Jack.

Znów oderwał kawałek taśmy i tym razem zakleił usta Kate.

- Czas na grę - podsumowała Roger. Teraz pracowali razem.

Jack przytrzymał Kate, a Simon poprzecinała bandaż wokół jej kostek. Oddała potem nóż, który według Kate był zwykłym kuchennym nożem, Jackowi, a ten wsunął go za pasek. Kate chciała kopnąć mężczyznę, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Prosiaczek trzymał Laurie, gdy Roger rozwiązywała jej nogi. Dziewczyna okazała się jednak zbyt słaba, by stać samodzielnie, porywacze musieli więc zaciągnąć ją na schody.

- No, ruszaj się! - pokrzykiwał Jack. Kate poczuła, jak osłonięte rękawiczką palce Simon wbijają się w jej ramię. - Ruszaj się, bo inaczej będziesz miała na sumieniu jeszcze jedno dziecko!

To wszystko wydawało się takie nierealne. Pozostała trójka weszła już do połowy schodów, gdy Kate odzyskała wreszcie czucie w nogach i rękach. Przerazona, gorączkowo zastanawiała się, czy tamci naprawdę porwali Emmie. Napastnicy pociągnęli ją w stronę schodów i pchnęli do przodu, a ona nic nie mogła zrobić, kuśtykała całkowicie bezsilna. Zauważyła, że pierwsza grupa dotarła już

na poddasze i że Roger z Prosiaczkiem wloką Laurie w stronę sypialni. Rzucili dziewczynę plecami na łóżko. Laurie zaczęła zawodzić. Ten zupełnie nowy odgłos, jęki czystego przerażenia, pomógł Kate otrząsnąć się z oszołomienia. Dotarli na szczyt schodów, lecz korytarz okazał się zbyt wąski dla całej trójki.

Teraz, błysnęło jej w głowie.

Kopnęła z całych sił Simon tak mocno, że ta krzyknęła zaskoczona i puściła jej ramię. Wtedy Kate pchnęła porywaczkę biodrem. Simon zachwiała się, zatrzepotała rękami w powietrzu i padając w przód, rozpaczliwie starała się przytrzymać czegokolwiek dłońmi. Siła uderzenia była jednak zbyt duża i kobieta wypadła przez drewnianą poręcz.

- Simon! - wrzasnął z sypialni przerażony Prosiaczek.

- Biegnij tam! - krzyknęła Roger, siadając na nogach Laurie, by unieruchomić dziewczynę. - Prosiaczku, leć!

- Nic jej nie jest! - histeryczny śmiech Jacka wstrząsnął grupą. Mężczyzna jedną dłonią chwycił Kate za włosy, drugą ścisnął jej ramię i przygniótł ją do balustrady. - Popatrz, suko! A może to też nie twoja sprawka, co?

Kate spojrzała w dół. Porywaczka zatrzymała się na jednym z żelaznych haków wystających ze ściany. Z góry wydawało się, że to uratowało jej życie.

- Simon! - krzyczał Prosiaczek, zbiegając po schodach. - Ona się nie rusza!

- Nic jej nie jest, Prosiaczku! - Jack pociągnął Kate w stronę sypialni. - Musimy już z tym skończyć!

- Simon! - krzyczał oszalały ze strachu Prosiaczek. - Jack! Ona nie odpowiada!

- Na miłość boską, Jack! - zawołała Roger. - Pozwól Prosiaczkowi sprawdzić!

Kate zauważyła, że Roger nadal przygniata Laurie. Dziewczyna leżała cicho bez ruchu, całkowicie sparaliżowana strachem.

- Jack, pozwól mu! - nalegała Roger.

- No dobrze - zgodził się w końcu Jack i wyciągnął nóż zza paska.

- Jack, proszę - powtórzyła Roger.

- Przecież już powiedziałem.

Nagle odwrócił Kate plecami do siebie, obejmując ją ramieniem na wysokości klatki piersiowej. Krzyknęła mimowolnie, spodziewając się ciosu. Choć nic się nie stało, wzdrygnęła się, czując, jak napastnik zsuwa jej prawą rękawiczkę i na krótko wciska w dłoń chłodny metal. Niespodziewanie Jack obrócił ją twarzą do łóżka. Laurie leżała tam z zamkniętymi oczyma i Kate miała nadzieję, że dziewczyna zemdlą. Jednocześnie zastanawiała się, dlaczego zaatakowała Simon, i od razu usprawiedliwiła się, wspominając, że robiła już gorsze rzeczy...

Jack trzymał nóż przed sobą z ostrzem skierowanym w dół. Kate widziała, że się zawahał. Czuła, że nad czymś się zastanawiał.

- Jack? - Roger próbowała przywrócić go do rzeczywistości.

- Ta gra nie idzie tak jak trzeba - odezwał się w końcu jej kompan dziwnym tonem.

W mgnieniu oka Kate z przerażeniem odkryła, jak to wszystko miało się odbyć.

Przecież na nożu są jej odciski palców. To miała być egzekucja.

- Wszystko jest nie tak! - mówił Jack, nie puszczając Kate.

- Szefuńcio jednak wszystkiego nie przewidział!

- Jack! Opanuj się! - uspokajała go Roger.

Kate wyczuła, że opanowana dotąd kobieta też zaczyna mieć wątpliwości.

- Teraz powinienem rozwiązać sukę i włożyć jej nóż do ręki. Wtedy ona dźgnie mnie, a nie tę drugą - gubił się Jack. - Nie mam innego wyboru, prawda? - Kate nie spuszczała wzroku z jego osłoniętej rękawiczką dłoni, w której wciąż ścisnął nóż.

- Ale do tego trzeba mieć jaja, no nie?

Roger i Jack nagle jakby się pogubili. Kate poczuła przyływ nadziei.

-Nie musisz tego robić, Jack - perswadowała kobieta. -Możemy wszystko zmienić.

-Nie możemy zmienić zasad gry.

-Dlaczego? - zaprotestowała. - Szefa tu nie ma. Jeśli czujesz, że to nie jest w porządku...

Kate wyczuła troskę w jej głosie. Cała czwórka dbała o siebie nawzajem. To nie byli zwykli bandyci, oni...

I wtedy rozległ się przeraźliwy wrzask Prosiaczka:

-Ona nie żyje!

Kate poczuła, jak Jack sztywnieje.

-Przebił ją hak! - krzyczał przerażającym głosem Prosiaczek. - Simon nie żyje!

Laurie otworzyła oczy. Myślała tylko o synku. O jego narodzinach, o dniu, w którym go zabrano i o tym, jak ślicznie się uśmiechał.

-To twoja wina! - ryknął Jack do ucha Kate. Niemal poczuła, jak uderza w nią jego furia. Zobaczyła unoszący się nóż, zamknęła oczy i pomyślała o Robercie, utraconej miłości swojego życia.

W tej samej chwili usłyszała ten cichszy od kwilenia niemowlęcia odgłos i poczuła, jak ciepłe krople trysnęły na jej powieki, nos i policzki. Za nic na świecie nie chciała spojrzeć w dół. Nie chciała zobaczyć, co Jack zrobił Laurie.

Jednak w końcu musiała otworzyć oczy.

Na gardle dziewczyny wykwitł krwawy naszyjnik.

Laurie odeszła.

Kate otworzyła usta w niemym krzyku rozpacz.

RALPH

Telefon sygnalizował, że dzwoni Jack.

- Jestem w kuchni - powiedział. - Turner mnie nie łączy.

Ralph poczuła zimny dreszcz.

- Czy już po wszystkim? - spytała, poznając po jego głosie, że klamka zapadła.

- Tak, ale gra jeszcze się nie skończyła. - Potem powiedział jej o Simon i Ralph poczuła obezwładniający żal.

Zegar życia przestał tykać.

Przypomniała sobie małą, jasnowłosą i niewinną, słodką dziewczynkę. Najwrażliwszą z nich wszystkich.

- Ralph? - Z zamyślenia wyrwało ją pytanie Jacka. - Wszystko w porządku?

- Nie. Nic nie jest w porządku - odpowiedziała.

- Ja też podle się czuję.

Starła się pozbierać myśli, by stawić czoło tragicznym wieściom.

- A co z Prosiaczkiem? - zapytała.

- A jak myślisz? - Jack odpowiedział jej pytaniem. Ralph poczuła, że budzi się w niej coś jeszcze, nowe uczucie, tak odmienne od żalu. To rodziła się wściekłość.

- To ona. To ona skrzywdziła Simon.

- Święta racja. To ona - przytaknął Jack.

Ralph wiedziała, że musi opanować emocje, przynajmniej na jakiś czas. Musi pomóc trójce swoich ocalałych dzieci przetrwać trudne chwile. I zakończyć tę źle rozegraną partię.

- No dobrze.

TLR

Dwoje napastników wpatrywało się w Simon.

Pozostający na schodach Jack tak mocno zacisnął dłoń na włosach Kate, że o mało ich nie wyrwał. Teraz trzymał ją pochyloną nad poręczą. Oboje spoglądali w dół. Niestety, Prosiaczek miał rację. Hak przeszył lewą pierś Simon i zapewne przebił serce, powodując natychmiastową śmierć.

Kate z przerażeniem zauważyła na podłodze powiększającą się ciemnoczerwoną plamę. Mimo że Roger wciąż miała na twarzy pończochę, wydawało się, że kobieta cicho szlocha. Za to Prosiaczek nie krył łez.

-Trudno - odezwał się w końcu Jack ściszym głosem. Wciągnął głęboko powietrze i z mocą powtórzył: - Mówi się trudno.

Roger spojrzała w górę i spytała:

-Co my teraz zrobimy?

-Musi o tym zdecydować Ralph - odrzekł.

Kate rozpoznała kolejne imię z powieści Goldinga. Tak mówiono do przywódcy.

-Najpierw buty - powiedziała Roger. Już nie płakała, choć nadal przeszywał ją bezgraniczny ból. - Musimy sprawdzić podeszwy i zmyć ślady krwi.

Po tym, co się stało, Kate nie mogła dojść do siebie. Spodziewała się, że ona też zaraz umrze. Wiedziała, że porywacze właśnie ją obarczają winą za śmierć Simon. Tylko że wcale nie czuła się winna. Ta kobieta przyszła tu z zamiarem pozbawienia życia innego człowieka. To ci czworo są wszystkiemu winni, chociaż, jak sądziła Kate, wydarzenia nie potoczyły się zgodnie z treścią książki. Kate nie pozwoliła sobie na dłuższe rozmyślanie o Laurie Moon. Z jednej strony dziewczyna była dla niej obcą osobą, z drugiej jednak stała się bliska niczym sio-

stra. Teraz Kate nie mogła myśleć o tym strasliwym okrucieństwie. Zajmie się tym później. Oczywiście jeśli przeżyje.

Po rozmowie telefonicznej z Ralphem, ich szefem, jak przypuszczała, Jack doprowadził ją z powrotem do salonu, skrepował i ustawił tak, aby widziała ciało Simon.

- Ostrożnie - upominała go Roger, gdy ten związywał ręce i nogi Kate.

Warknął z niezadowoleniem, ale poluzował więzy.

Dobry Boże, pomyślała Kate, ciesząc się, że odczuwa ból, który pomagał jej wymazać z pamięci śmierć Laurie Moon. Jednak gdy jej oczy spoczęły na martwej Simon, już nic nie mogło pomóc jej zapomnieć o tym, co się stało.

- Przecież nie można jej tu tak zostawić! - Prosiaczek kłócił się zażarcie z pozostałą dwójką. - Musimy ją z tego zdjąć i zabrać ze sobą.

- Nie możemy - zaprotestował Jack.

- Wiesz, że nie możemy - poparła go Roger.

- To zdejmijmy jej chociaż pończochę z twarzy - błagał Prosiaczek. - Chcę zobaczyć ją, pożegnać się z Simon.

- Nie możemy tego zrobić - upierał się Jack. - Tak musi zostać.

- Czy to rozkaz szefa? - upewniła się Roger.

- Ja tak mówię - odparł Jack.

Roger zawahała się, po czym zwróciła się do Prosiaczka:

- Musimy trzymać się planu. Przecież wiesz. - Jej głos brzmiał ciepło, ale stanowczo.

Obaj mężczyźni zdjęli jednak pończochę z twarzy Simon. Prosiaczek z góry, klęcząc przy zgruchotanej poręczy, Jack sięgając ze schodów. Kate zamknęła oczy.

- Patrz, Turner! - zakomenderował Jack. - Patrz, co zrobiłaś!

Kate otworzyła oczy i zobaczyła młodą, jasnowłosą dziewczynę. Krótkie, zmierzwione od potu pod przykryciem włosy okalały bladą, martwą twarz, z której spoglądały otwarte, szare oczy. Kate spojrzała na szlochającego Prosiaczka, który pogładził dłonią w rękawiczce włosy Simon.

A więc i mordercy mają uczucia.

- Niech to wszystko szlag! - Nagle zaczął zdzierać z twarzy pończochę.

- Nie! - Roger natychmiast osadziła go na miejscu.

Ten zakaz sprawił, że Kate z nadzieją pomyślała, że jednak chcą ją zostawić przy życiu i poczuła palący wstyd. Przecież na górze leżała z podejrzanym gardłem martwa Laurie Moon.

Napastnicy nerwowo krzatali się przez chwilę, chcąc jak najszybciej opuścić Caisleán. Opanowawszy się, ostrożnie i z uwagą zacierali wszystkie ślady swojej obecności. Kate przypuszczała, że mają za sobą doskonały trening. Z miejsca, gdzie ją posadzono, mogła dokładnie śledzić wszystkie poczynania przestępców i z rosnącym uznaniem obserwowowała, jak wyposażeni w miniodkurzacze, szczoteczki, latarki, szkła powiększające, a nawet pesety, skrupulatnie usuwali najmniejsze paproszki, strzępki i włosy, pakując wszystko, niczym technicy kryminalni, do plastikowych torebek razem z zużytymi plastikowymi kubkami i łyżkami. Potem weszli na górę, przeszukując schody, i zniknęli na chwilę w sypialni. Kate odetchnęła z ulgą, choć ciało martwej dziewczyny nadal tam pozostawało niczym przerażający wyrzut sumienia. Kate oddychała z coraz większym trudem. Zapewne pozycja, w której siedziała związana, uniemożliwiała swobodne nabieranie powietrza.

Znów się pojawili; schodzili powoli, czyszcząc za sobą schody.

I wrócili do Kate, która poczuła ogarniający ją na nowo strach.

TLR

Nic nie mówili.

Roger wyjęła scyzoryk z kieszeni i rozcięła bandaż krępujący przeguby rąk i kostki Kate. Poczła przeraźliwy ból, chciała krzyknąć, lecz przyklepiona na ustach taśma nie pozwalała jej otworzyć ust.

- Dobrze - odezwał się Jack. Co teraz, zastanawiała się Kate.

Jack i Prosiaczek podnieśli ją i znów poczuła ogromny ból. Jęknęła głucho.

- Zamknij się! - uciszył ją Jack.

Przed nimi do łazienki weszła Roger i zapaliła światło. Tamci dwaj posadzili Kate w wannie i przez chwilę myślała, że chcą ją utopić, chociaż siedziała, a nie leżała na dnie... Nikt nie dotknął taśmy na jej ustach.

- Trzymaj - Jack rzucił Prosiaczekowi rolkę bandaża. Tamten ukląkł przy Kate, uwolnił z rękawiczki jej lewą dłoń, umieścił rolkę między jej obiema dłońmi, odcisnął linie papilarne na końcu i na całej rolce. Potem podniósł się i umieścił rolkę na półce pod lustrem.

Kate znów opuściła nadzieję. Siedziała w wannie, zmuszona poddać się działaniom Prosiaczka, który powtórzył te same czynności z taśmą klejącą.

- Bóg mi świadkiem, jak bardzo żałuję, że nie mogę cię zabić tu i teraz - odezwał się Jack.

Kate siedziała bez ruchu. Unikając wzroku prześladowców, gapiła się przed siebie.

- Kończmy już - ponaglała kompanów Roger.

Tamci dwaj rozcięli bandaże na przegubach i kostkach Kate i wcisnęli je do jednej z plastikowych torebek.

- Połóż się! - rozkazał Prosiaczek. Kate nawet nie drgnęła.

- Na plecy! - nakazała Roger.

- Natychmiast! - krzyknął Prosiaczek z nienawiścią w głosie.

Kate położyła się przerażona. Choć dłonie i stopy miała już wolne, w ogóle ich nie czuła. W całym ciele czuła kłujące szpilki, ból przechodził od karku do ramię i łokieć. Nikt jednak nie odkręcił wody.

Roger uklękła przy wannie, obejrzała nadgarstki Kate i potarła palcami w gumowych rękawiczkach miejsca, gdzie więzy pozostawiły ślady na skórze. Potem powtórzyła to na kostkach, podwinęła nieco nogawki jej spodni i dokładnie zebrała resztki bawełny. Kate poddawała się tym zabiegom, leżąc bez ruchu. Sparaliżowana strachem i oszołomiona, zastanawiała się, co będzie dalej. Ale Roger oderwała tylko taśmę z jej ust i włożyła do torebki, którą podsunął Prosiaczek. Zabrali swoje rzeczy, rozejrzeli się po łazience, sprawdzili podłogę, ściany, umywalkę i sedes - zupełnie jakby Kate tam w ogóle nie było. Potem wyszli z pomieszczenia i zamknęli za sobą drzwi na klucz. Zostawili włączone światło. Dopiero po chwili do niej dotarło, że przecież wcześniej żadne drzwi w Caisleán - z wyjątkiem wejściowych - nie miały zamków. Oznaczało to, że przestępcy byli tu wcześniej, i to chyba więcej niż raz. Wtedy Kate ogarnęło gwałtowne drżenie, którego nie mogła opanować. Jej zęby bezlitośnie uderzały o siebie.

Mijały minuty.

Wreszcie dobiegł ją odgłos zamykanych drzwi wejściowych.

I nagle zapadła cisza.

KATE

Kate siedziała bez ruchu. Nasłuchiwała. Musisz wstać, ponagliła samą siebie. Była jednak zbyt słaba, by się ruszyć. Musisz to zrobić!

Zebrała wszystkie siły i w końcu udało jej się podnieść. Chwyliła się krawędzi wanny i uderzyła stopą o ścianę, która wydała głuchy dźwięk. Zamarła w obawie, że przestępcy ciągle są w domu, że może zaraz tu wrócić.

W domu panowała jednak cisza. A więc odeszli.

Kate usiadła na krawędzi toalety i spojrzała na zegarek, który wskazywał dwadzieścia trzy minuty po dwunastej. Wciąż oszołomiona i zagubiona zastanawiała się, czy to dzień czy może już noc. Po chwili przypomniała sobie, że tamci przyprowadzili ją tu rano. Zastanawiała się, czy zabrali ze sobą ciało Simon. Pomyślała o Laurie leżącej na górze w sypialni i ledwo zdążyła się pochylić, by zwymiotować do sedesu. Otarła usta, dostrzegła swe odbicie w lustrze i zobaczyła, że ma krew Laurie na twarzy. Poczowała gwałtowną chęć zmycia jej z siebie, ale była za słaba. Osunęła się na podłogę, objęła ramionami kolana i znów zaczęła się trząść.

Jesteś już sama i bezpieczna, mówiła do siebie.

Zapewne.

Wróciła myślami do zamka w drzwiach, którego przedtem tam nie było. Nie próbowała jeszcze go otworzyć, nie zastanawiała się, jak może się wydostać z łazienki. Wiedziała, że wkrótce przyjdzie jej się z tym zmierzyć, bo chociaż jest tu bezpieczna, a w domu nie ma nikogo, to musi opuścić swoją klaustrofobiczną kryjówkę bez okien, ponieważ czai się tutaj... Śmierć.

Choć wypowiedziała to słowo tylko w myślach, znów przeszedł ją dreszcz, zupełnie jakby mówiła o śmierci na głos. Instynktownie ciągle czekała na swoich

prześladowców, aż przyjdą ją ukarać i zabić. Wiedziała jednak, że tak się nie stanie. Poszli i już nie wrócą. Wskazywał na to ich spór o to, czy zabrać ciało Simon oraz żal Jacka, że nie może wykończyć Kate.

Jeżeli nie mógł zabić jej przedtem, to kiedy zamierza to uczynić?

Dla Kate liczyło się jednak tylko to, że w tej chwili śmierć nie była jej pisana.

Klucz tkwił w zamku po drugiej stronie drzwi. Na szczęście Kate przypomniała sobie stary trik, znany nawet dzieciom. Oddarła denko od pudełka z chusteczkami, wsunęła je pod drzwi i pchnęła klucz od środka. Gdy upadł na wysuniętą tekturę, wciągnęła go do środka. Poszło zbyt łatwo. Klucz został włożony w zamek tak, by można było wypchnąć go bez trudu, pod drzwiami też znalazło się wystarczająco dużo miejsca...

To znów część ich gry.

Kate ze strachem otworzyła drzwi. Wokoło nikogo nie było. Nie licząc oczywiście dwóch martwych kobiet.

Gdy podniosła słuchawkę telefonu i zorientowała się, że linia została uszkodzona, znów zaczęła się trząść, a serce mocniej zabiło ze strachu. Jej torebka nadal leżała koło drzwi, jednak Kate nie znalazła w niej ani telefonu komórkowego, ani kluczyków do auta. Odkryła też, że drzwi wejściowe są zamknięte, a klucz zniknął. Okna pozamykano tym razem na zamki, które ona sama wybrała. Sądziła z Robem, że tak będzie lepiej dla ich własnego bezpieczeństwa, ale teraz nie mogła znaleźć kluczy.

Wybij szybę, pomyślała.

Wybrała okno kuchenne, największe, najłatwiej więc będzie jej się przez nie wydostać na zewnątrz. Chwyciła ciężką, miedzianą, prawie nieużywaną patelnię i zamykając oczy, uderzyła w szybę. Ten akt zniszczenia pobudził Kate do działania. Zaraz też owinęła dwoma ręcznikami rękę i nadgarstek, wdrapała się na parapet, wybiła tyle szkła, ile tylko się dało i wygramoliła się na zewnątrz. Powi-

tało ją zimne, świeże powietrze, mżawka i rozległy widok na wzgórza. Poczula się wolna jak ptak. Po chwili jednak wrócił strach i radość zniknęła. Kate zdała sobie sprawę, że jest przeraźliwie sama na tym odludziu i że od najbliższej miejscowości dzieli ją wiele kilometrów. A porywacze mogą przecież ją obserwować, ukryci za drzewami, za którymś z tych tak pięknie wyglądających wzgórz, przecież mogą...

Ostrożnie zbliżyła się do samochodu. Nogi miała jak z waty. Doskonale zdała sobie sprawę z beznadziejności swojego działania, trudno było bowiem przypuszczać, że złoczyńcy zabrali kluczyki tylko po to, by otworzyć auto i ułatwić jej ucieczkę. I rzeczywiście minicooper był zamknięty, ale kluczyki tkwiły w stacyjce, a na desce rozdzielczej leżała komórka. Gra się jeszcze nie skończyła. Kate zawahała się tylko na chwilę. Nie mogła przecież iść tak daleko na piechotę. Znalazła duży kamień pod ogrodzeniem, wróciła z nim do samochodu, rozbiła szybę od strony pasażera i chwyciła komórkę. Miała zasięg i pełną baterię. Cóż to miało znaczyć? Chcieli, aby zadzwoniła po pomoc, wywnioskowała Kate i poczuła wstrząsający jej ciałem dreszcz.

Paranoja, ale przecież nie może teraz stracić głowy.

Strzepnęła szkło z siedzenia i niemal wczołgała się do środka, by móc otworzyć drzwi od wewnątrz. Potem obeszła samochód dookoła. Czuła, jak wali jej serce i za wszelką cenę starała się nie ulegać panice. Usiadła za kierownicą i zablokowała drzwi od strony kierowcy, lecz zaraz zrozumiała, że goni w piętę. Przecież rozbiła szybę i nie zablokowała drugich drzwi...

Przekręciła kluczyk w stacyjce ciekawa, czy silnik zaskoczy.

Zapalił za pierwszym razem.

Zaraz wystukała na telefonie właściwy numer i czekała.

- Związali mnie i przetrzymywali w domu zamaskowani bandyci! - wypaliła, gdy tylko uzyskała połączenie. Własne słowa wydały jej się niedorzeczne, gdy opowiadała policjantce, gdzie się znajduje i że tamte dwie kobiety nie żyją. - Chyba już odjechali, ale tak strasznie się boję! Pospieszcie się, proszę.

Policjantka kazała jej się nie rozłączać.

- Chciałabym zadzwonić do męża - powiedziała jednak Kate i przerwała połączenie. Przez chwilę siedziała roztrzęsiona, po czym wybrała numer Roba. Odebrał natychmiast.

- Czy z Emmie wszystko w porządku? - zapytała, zanim zdążył się odezwać. Zapomniała powiedzieć o tej groźbie policjantce.

- Kate? - odezwał się zaskoczony Rob.

- Powiedz, czy z Emmie wszystko w porządku?

- Oczywiście - odpowiedział. - Kate, czy coś się stało? Rzeczowa rozmowa z nieznaną policjantką to jedno, ale opowiedzenie tego wszystkiego Robowi okazało się ponad siły Kate. Miała całkowitą blokadę myśli i czuła w gardle wielką, uniemożliwiającą mówienie kulę. Wydusiła z siebie tylko, że jest w Caisleán.

- I stało się coś strasznego. - Nie chciała wdawać się w szczegóły. - Potrzebuję cię.

- O czym ty mówisz? - rzucił niecierpliwie.

- Proszę, nie przerywaj, bo nie dam rady - odpowiedziała i wzięła głęboki oddech. - Musisz tu przyjechać, ale nie wolno ci przywozić Emmie, zostaw ją z kimś, z kim będzie bezpieczna.

- Kate, na miłość...

- Posłuchaj mnie! - przerwała mu, a narastający od łez i emocji ból ścisnął jej gardło. - Zostaw małą z kimś, komu ufasz, i każ jej pilnować jak oka w głowie. I przyjeźdź!

- Dobrze - odpowiedział zaskoczony Rob.

- Zrób to zaraz! Zrozumiesz, jak przyjedziesz. Policja jest już w drodze. Nic mi się nie stało, więc jedź ostrożnie, ale przyjeźdź tu, proszę!

Rozłączyła się i czekała. To już prawie koniec.

PÓŹNIEJ

TLR

KATE

Kate zdawała sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec, że nadal grozi jej niebezpieczeństwo, choć innego rodzaju. Zagrożenie, które sprowadzili na nią przestępcy.

Gra wciąż trwała.

- Wiem, że z waszego punktu widzenia to wszystko wygląda dziwnie - powiedziała do starszej inspektor Helen Newton i sierżanta Bena Poultera. Siedzieli w obskurnym, niebiesko--szarym pokoju przesłuchań w siedzibie policji kryminalnej w Oksfordzie.

Trzydziestoletnia Helen Newton miała proste, brązowe włosy sięgające szyi i doskonale obciętą grzywkę. Dyskretny makijaż uwydatniał gładką cerę i piękne, jasnobrązowe oczy. Była ubrana w ciemnoszare spodnie i marynarkę, spod której wystawała biała koszula. Typowy strój surowej urzędniczki.

- Ja bym tego tak nie nazwała - odparła teraz z przekąsem.

Istotnie, policja miała dwie martwe kobiety - jedną z poderżniętym gardłem, przywiązaną do łóżka - i leżący na podłodze nóż plus opowieść Kate o krwi zabitej dziewczyny rozbryzgującej się na jej twarzy oraz odciskach palców, które znajdują się na narzędziu zbrodni. I drugą, zwisającą z żelaznego haka, na który nabiła się po tym, jak to właśnie Kate pchnęła ją na schodach.

Policjanci uważnie i z troską rozmawiali z Kate po przyjeździe do Caisleán na jej wezwanie. Wokół gromadziło się coraz więcej ludzi ubranych w białe kombinezony i w ochraniaczach na butach, którzy traktowali jej dom jak miejsce zbrodni. Kate z przerażeniem stwierdziła, że jej Caisleán stał się miejscem, gdzie popełniono morderstwo.

Przez cały czas, który spędziła w siedzibie policji, śledczy obchodzili się z nią delikatnie. Przez okna dostrzegła jemiolę i ze zdumieniem przekonała się, że choć przeżyła przerażające chwile, to życie płynie nadal, nieprzerwanym i niezakłóconym rytmem.

Policjanci przepraszali, że muszą jej zrobić zdjęcia, i polecili, by zdjęła ubranie. Zabrali do analizy poplamiony krwią niebieski sweter i dżinsy, buty, a nawet stanik i majtki, co zawstydziło Kate. Przynieśli jej biały kombinezon, w który mogła się przebrać. Uważnie zdejmowali próbki krwi z kropel zastygłych na jej twarzy i sprawdzali, czy zostało coś pod paznokciami, choć tłumaczyła, że przestępcy włożyli jej rękawiczki i że nie miała cienia szansy na zadrapanie któregokolwiek z napastników. Lekarz policyjny skrupulatnie ją obejrzał, by znaleźć ślady urazów. Wszyscy co chwilę proponowali filiżankę herbaty, mówili, aby się nie spieszyła, że mają mnóstwo czasu.

- Ale to prawda - przekonywała z uporem, wiedząc, że z każdą chwilą Jack, Prosiaczek i Roger są coraz dalej.

Tylko Simon nigdzie już nie umknie.

Policjanci wydawali się tacy delikatni i cierpliwi. Po chwili jednak Kate zdała sobie sprawę, że zaczynają ich ogarniać coraz poważniejsze wątpliwości. Ze wszystkich sił się starała, ale jej zeznania zaczynały się mieszać i powtarzać. Trudno jej było opowiadać w kółko wszystko od samego początku i przechodzić te okropności jeszcze raz aż do chwili, gdy złoczyńcy zostawili ją w łazience.

- To też część ich gry - tłumaczyła.

Wspomniała grę już kilkakrotnie i dostrzegła zdumiony wyraz twarzy śledczych. Wtedy zrozumiała, że jej nie wierzą.

- Simon miała na twarzy czarną pończochę - opowiadała. - Jak oni wszyscy.

- Ale to oni zdjęli ją po wypadku, nie pani? - dopytywał się Poulter.

Sierżant był wysokim i niezmiernie chudym mężczyzną o długich rękach i nogach, nieregularnych rysach twarzy i szarych, przylizanych włosach. Obrączka,

którą zauważyła Kate, gdy robił notatki, miała wokół karku, który wyglądał niemal jak blizna.

- Tak - potwierdziła. -I kazali mi na to patrzeć. Patrzyła na swoje dłonie, starając się nie wracać pamięcią

do tamtych chwil. Skupiła się na własnej skórze, palcach i paznokciach, na których były jeszcze resztki lakieru.

- Czy zdjęli pończochę, by pomóc tej kobiecie? - Pytanie sierżanta kazało jej wrócić do rzeczywistości.

- Nie - zaprzeczyła. - Mówiłam przecież, że ona już nie żyła.

Pokój przesiąknięty był zapachem dymu z papierosów. Chociaż wszędzie, gdzie ją zabierano, widziała znaki zakazu palenia, smród zdołał nieodwracalnie przeniknąć ściany i po-przypalane papierosami meble.

-I zabrali pończochę ze sobą? - kontynuowała inspektor Newton.

Na dłoni pani inspektor Kate nie dostrzegła obrączki, nie zauważyła też kolczyków, tylko prosty, złoty pierścionek na prawej dłoni i czarną, skórzaną opaskę na przegubie.

- Tak jak inne rzeczy.

Kate zdawało się, że to szczegóły bez znaczenia, ale policjanci wciąż do nich wracali, powtarzając te same pytania. Starła się odpowiadać cierpliwie, ale czuła narastające rozdrażnienie.

- Czy wysłaliście już kogoś na poszukiwanie tych ludzi? -Chciała mieć pewność, że bandyci zostaną schwytani.

- Może pani być tego pewna - potwierdziła Newton. -Choć nie mamy wieku wskazówek.

To, niestety, była prawda. Żadnego pojazdu, nawet śladu po samochodzie. Dwóch mężczyzn i kobieta. Zapewne już się rozdzielili. Pseudonimy zapożyczone z książki, plastikowe torby wypełnione zużytymi kubkami i łyżkami, bandażami, kawałkami taśmy i innymi resztkami. Ubrani byli w czerwone kombinezo-

ny i tenisówki, na dłoniach mieli chirurgiczne rękawiczki. Tego wszystkiego pewnie się już pozbyli. Policja zabezpieczyła jednak ubranie Simon, i to już było coś...

- Zatem - odezwał się Poulter - zabrali wszystko oprócz swojej towarzyszki.

Kate z trudem zignorowała cynizm w jego głosie i skoncentrowała się na odpowiedzi:

- Jeden z nich, mężczyzna, którego nazywali Prosiaczkiem, był wyjątkowo poruszony, wręcz załamany, jak sądzę tym, że muszą ją zostawić. Kobieta o pseudonimie Roger przekonała go, że to element gry. - Kate zastanawiała się przez chwilę. - Myślę, że powiedziała tak po tym, jak Jack zadzwonił do ich przywódcy.

- Czy słyszała pani tę rozmowę? - zapytał Poulter. -Nie.

- Skoro więc pozostawienie Simon stanowiło część gry, czy sądzi pani, że ją też planowali zabić? - zapytała Newton.

- Nie - Kate stanowczo zaprzeczyła. - Na pewno nie. To był wypadek. Nikt nie mógł tego przewidzieć. Śmierć Simon wytrąciła ich z równowagi, byli wstrząśnięci i rozgniewani.

Mówiła im już, że Jack chciał ją zabić. -I nie ma pani pojęcia, o co chodzi w tej grze? - drażył Poulter.

- Wiem tylko tyle, ile powiedzieli Laurie i mnie. - Słowa oprawców powróciły do niej z przerażającą dokładnością. - Mówili... Jack powiedział, że wybierają bestię, aby ją ukarać.

- Bestię - powtórzył niczym echo sierżant Poulter.

- To pewnie z książki, o której wam mówiłam - wyjaśniła Kate. - Tak samo jak pseudonimy.

- „Władca much” - potwierdziła Newton. - Dzieci z powieści wierzą, że muszą zabić niebezpieczną bestię.

Kate poczuła ulgę i skupiła całą uwagę na starszej stopniem kobiecie.

-I wtedy mężczyzna o pseudonimie Prosiaczek powiedział, że tym razem, po raz pierwszy, mają dwie bestie, co sugeruje, że były już inne gry.

- Czyli panią i Laurie Moon - doprecyzowała Newton. Kate przytaknęła.

-Przechwalali się, że łatwo poszło. Oświadczyli, że musimy ukarać się nawzajem. - Kate wzięła głęboki oddech. - Jack powiedział, że Laurie ukarze mnie, stając się moją ofiarą, i że ja...

-Proszę mówić dalej - łagodnie zachęcała Newton.

-Powiedział, że ukarzę ją, wykonując na niej egzekucję.

- Ramionami Kate wstrząsnął szloch.

-Czy ten Jack powiedział, za co chcą was ukarać?

Kate poczuła, jak drżą jej usta, wbiła paznokcie w spodnie, lecz po chwili się uspokoiła. Nie lubiła nosić cudzych ubrań, w dodatku kombinezon, który jej dano, za bardzo przypominał ubranie porywaczy. Nie wiedziała, jak zareaguje, jeśli zobaczy gdzieś czerwony kombinezon. Pewnie ucieknie z krzykiem.

-Pani Turner? - Newton delikatnie przywołała ją do rzeczywistości.

-Niezupełnie - Kate zebrała resztkę sił. - Odniosłam wrażenie, że sądzą, że kiedyś miałam aborcję.

-A miała pani? - zapytała Helen Newton. - Jeśli, oczywiście, zechce nam pani odpowiedzieć...

-Nie wiem, czy mogę nie odpowiedzieć - odparła Kate.

-Nie, nie miałam aborcji, ale poroniłam. - Po czym dodała:

-Napisałam kilka artykułów o przerywaniu ciąży. Powoływali się na nie. Przepraszam, nie pamiętam, czy już wam o tym mówiłam.

Sierżant Poulter zajrzał do swego notatnika, uniósł brwi i powiedział:

-„Zapiski krewkiej babki”.

-A Laurie Moon? - zapytała pani inspektor. - Za co ją postanowili ukarać?

Kate ogarnęła fala smutku i gniewu.

- Powiedzieli, że oddała syna do domu opieki, choć nie musiała tego robić.

- A zrobiła tak? - zapytał Poulter.

- Nie wiem - odrzekła. - Mówiłam wam, że jej nie znałam. Policjanci milczeli.

- To było szaleństwo - Kate czuła, jak wracają emocje, zmieniając jej głos, jak występują na twarz niczym rumieniec gorączki, jak nieustannie narastają. - Od samego początku. Nikczemność i tyle.

- I zrobiła to pani? - zapytała Helen Newton.

- Co takiego? - Kate nie zrozumiała pytania.

- Czy zrobiła pani to, co nakazał Jack? Kate popatrzyła na policjantkę.

- Pyta pani, czy jej to zrobiłam?

- O to właśnie pytam. Czy wykonała pani egzekucję na Lau-rie Moon?

- Nie! - Kate aż zatrzęsała się z oburzenia. - Oczywiście, że tego nie zrobiłam.

- Nawet gdy grozili zabiciem córeczki pani męża? - zapytał Poulter.

- Przecież do tego nie doszło, prawda? - odpowiedziała pytaniem Kate. - Mówiłam wam, że odcisnęli ślady moich palców na nożu. - Słowa płynęły szybko, jakby wiedziała, że jedynym sposobem na zakończenie tej rozmowy jest odpowiedzieć na każde pytanie, bez względu na to, jak było głupie. - Jack powiedział, że gdy dostanę nóż do ręki, stanę się niebezpieczna, mogę go dźgnąć, i dodał, że to miało być inaczej. Powiedział, że to pieprzony plan szefa. - Kate nabrała powietrza. - Pamiętajcie, że musicie odnaleźć ich szefa, prawda? Ma na imię Ralph.

Dotarło już do niej, że jakkolwiek ten pomysł wydawał się absurdalny, to może jednak będzie potrzebowała adwokata. Nie chciała tego, bo przecież to ona padła ofiarą złoczyńców, ona musiała zostać wysłuchana i policjanci mieli dać wiarę jej zeznaniom. Dzieliła się z nimi wszystkim, co pamiętała, mówiła całą prawdę.

- Sądzę, że Jack przez chwilę się wahał, ale gdy Prosiaczek krzyknął, że Simon nie żyje, po prostu to zrobił. - Głos Kate załamał się po raz pierwszy od rozpoczęcia przesłuchania. - Poderżnął gardło Laurie.

- Proszę to dokładnie opisać - zażądał Poulter.

- Nie mogę - Kate twardo na niego spojrzała. - Zamknęłam oczy, ponieważ sądziłam, że zaraz wbije mi nóż w plecy, że zamorduje mnie, a nie ją, ale wtedy usłyszałam ten okropny odgłos i otworzyłam oczy, zobaczyłam krew...

Policjanci czekali cierpliwie.

- Jak pani sądzi, skoro nie chcieli dopuścić pani do egzekucji, to dlaczego powiedzieli, że córka pani męża jest w niebezpieczeństwie? - zapytała Helen Newton.

- Nie umiem tego wyjaśnić. Może egzekucję wymyślił ich szef i okazało się, że to zły pomysł. Przynajmniej z punktu widzenia Jacka. - Kate potrząsnęła głową. - Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co bym zrobiła, gdyby Jack wcisnął mi w dłoń nóż.

- Czy sugeruje pani - ciągnął Poulter - że mogłaby zabić Laurie Moon?

Kate odwróciła wzrok z obrzydzeniem.

- Mówię, że jestem szczęśliwa, że do tego nie doszło i że nie mam zamiaru rozważać tej okropności dalej tylko po to, by zrobić panu przyjemność.

W końcu doszły do głosu gniew i frustracja. Policjanci jej nie wierzyli.

Głupotą byłoby nadal się łudzić. Przecież to widać jak na dłoni, a chociaż Kate nie była reporterką, to dziennikarstwo dało jej niezłe podstawy. Dwie martwe kobiety i ona jako jedyny świadek, ofiara, która przeżyła, ale której opowieść jest zupełnie niewiarygodna.

W oczach policjantów z ofiary przeistoczyła się w podejrzaną.

Wreszcie przyjechał Rob. Blady jak ściana i oszołomiony, nie mógł uwierzyć w to, co się stało, ale na widok całej i zdrowej Kate odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu, nic ci nie jest - powiedział. - Tak się bałem...

- Gdzie Emmie? - spytała Kate.

- Z twoim ojcem. - Rob, wciąż kręcąc głową z niedowierzaniem, zapytał, świdrując Kate wzrokiem: - Czemu kazałaś tak na nią uważać? Co się stało i co to ma wspólnego z Emmie?

Pierwszy raz od poprzedniego wieczoru, gdy dojechała do Caisleán, wybuchnęła płaczem. Rob objął ją, jak zawsze w takich sytuacjach, choć doświadczył ich niewiele, gdyż Kate nie miała skłonności do teatralnych zachowań. Kochał swoją wybuchową, lecz rzadko płaczącą żonę i tulił ją, chcąc choć na kilka chwil ukoić jej przerażenie i ból. Potem odsunął ją od siebie i trzymając za ramiona, powiedział z powagą:

- Kate, musisz mi wszystko opowiedzieć. Policja otoczyła Caisleán kordonem i...

- Bo to miejsce zbrodni - oświadczyła wprost. - Dlatego tu jestem. - Otarła łzy z oczu. - Już myślałam, że nie pozwolą mi się z tobą zobaczyć.

- Nie zdołaliby mnie powstrzymać - oświadczył butnie Rob.

- To dobrze - odparła Kate.

RALPH

Ralph czuła się samotna jak nigdy przedtem. Wydawało jej się, że żyje jedynie w świecie własnej wyobraźni.

Widziała tamtych troje, jak opuszczali dom Kate Turner w pełnej żalu ciszy, wyrzucali kombinezony i torby z dowodami, a później rozdzielali się zgodnie z planem, by jechać do różnych miejsc. O jedno takie miejsce mniej, niż zaplanowała.

A potem wrócili do domów. Roger i Prosiaczek do Reading i Swindon. Jack do cierpiącej żony i dzieci w Newbury. Mieszkanie Simon zaś pozostanie puste.

Ralph zastanawiała się, ile czasu zajmie policji zidentyfikowanie ciała. Bardzo przeżywała śmierć dziewczyny.

Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim nieobecność Simon zaniepokoi jej uczniów, zanim cicha nauczycielka z Oksfordu zostanie powiązana z brutalnym mordem popełnionym w przebudowanej stodole w Berkshire Downs?

Zastanawiała się, czy sekcja zwłok może ujawnić krzywdy wyrządzone Simon przez jej zdesperowaną młodą matkę, czy policja odnajdzie stare karty szpitalne dziewczyny, czy systemy komputerowe połączą te fakty, a jeśli tak, to jak wszystko to wpłynie na śledztwo w sprawie zabójstwa Laurie Moon.

Podczas ostatniej smutnej rozmowy telefonicznej ustalili, że w najbliższym czasie nie będą się kontaktować. Miało to zapewnić im bezpieczeństwo.

Ralph zapisała:

Ta gra już się dla nas skończyła. Teraz możemy tylko obserwować, jak inni gracze łapią nasze piłki i z nimi biegać. Nie możemy zrobić nic innego, tylko patrzeć i czekać, aż się potkną.

Żałuję bardzo, że nie mogę być teraz z moimi dziećmi, aby ukoić ich ból i razem z nimi przeżywać żalobę.

Nikt z nas tego nie powiedział, ale wszyscy to zrozumieliśmy.

To była nasza ostatnia gra.

TLR

KATE

Tego dnia Rob zabrał Kate z Oksfordu, zawiózł do domu i nie zostawił jej już samej. Jednak nadal płacił czynsz za mieszkanie w Coley Hill, bo zgodnie uznali, że przeżyty wstrząs nie może być solidną podstawą dla ich pojednania i długotrwałego szczęścia.

Policja nie dawała Kate spokoju, ciągle ją przesłuchiowano. Stres związany z nieustannym przywoływaniem strasznych wydarzeń i traktowaniem jej raz jak ofiary, innym zaś razem jak podejrzanej, wszystko to sprawiało, że była wyczerpana. Nie chciały jej opuścić wspomnienia Laurie Moon i Simon. Rozpamiętywała własny udział w gwałtownej śmierci obu dziewczyn. Martwa porywaczka zaprzętała umysł tak samo jak Laurie, choć Kate trudno się było z tym pogodzić.

- Miało się stać coś strasznego - tłumaczyli jej w kółko Rob i rodzice. - Musiałaś działać, musiałaś się bronić.

- Wiem - odpowiadała im Kate.

Ale to, co zrobiła, doprowadziło do śmierci Simon. A Jack wahał się, dopóki nie usłyszał od Prosiaczka, że ich przyjaciółka nie żyje.

- Co oznacza, że jeśli bym nie popchnęła Simon, Laurie wciąż mogłaby żyć.

- Nie możesz tak myśleć - protestował Rob.

- Nie wolno ci tak myśleć - wspierał go jej ojciec. Na szczęście matka Kate już tego nie powtórzyła.

- Jeżeli tak sądzisz - powiedziała w zeszłym tygodniu to lepiej wyrzucić to z siebie. Nie możesz trzymać wszystkiego w środku i zatruwać sobie życia.

- Kate nie może obwiniać się o to, co się stało - protestował Michael. - Przecież gdyby nie zaczęła się bronić, to zginęłyby obie: i ona, i Laurie.

- Nie - zaprzeczyła Kate. - Cel gry był inny.

Wtedy dostrzegła, że ojciec się zawahał i zauważyła na jego twarzy cień wątpliwości. Widziała już to samo w oczach Roba, gdy tylko wspominała o grze. I co ciekawe, nie dostrzegła tego w spojrzeniu Bel. Jej zazwyczaj egocentryczna matka wspierała ją bezwarunkowo i zachowywała się rozsądnie. Tak samo jak wtedy, gdy Kate poroniła.

- Mama jest wspaniała - zwierzyła się Robowi.

- Ona cię uwielbia - odpowiedział. - Nie może znieść myśli, że mogłaby cię utracić.

- Ale jest taka spokojna.

- Nie szukaj dziury w całym i postaraj się nieco rozluźnić - poradził Rob.

Ostatnie wydarzenia nie ułatwiały im powrotu do wspólnego życia. Przed porwaniem Kate byli już na dobrej drodze. Jednak ciągle się spierali, ale separacja stawała się dotkliwie nieznośna. Lecz mimo że Kate dokładała wszelkich starań, nie zapomniała jeszcze, jak ostro zareagował jej mąż w kwestii ewentualnego usunięcia ciąży. I chociaż Rob był znów sobą, to nie mogła pozbyć się wrażenia, że znów są razem tylko dlatego, że otarła się o śmierć i że, zdaniem męża, potrzebowała opieki. Z drugiej jednak strony przecież się kochali.

Nie trzeba było innego powodu.

Wszyscy wspominali Laurie, mówiąc o niej po imieniu, jakby doskonale ją znali. Powoli różne szczegóły z jej życia wychodziły na światło dzienne. Po dwudziestu czterech godzinach została zidentyfikowana przez ojca. Mann Children's Home powiadomił państwa Moon, że nie przyjechała na spotkanie z synem i jeszcze tego samego popołudnia zgłoszono jej zaginięcie.

W poniedziałkowej prasie pojawiły się sensacyjne doniesienia. Wcześniej całą sprawę rozgłosiły lokalna telewizja i radio. Otoczone taśmą policyjną Caisleán

wyglądało na zdjęciach ponuro i nędznie. Potem pokazywano fotografie Kate, w tym zdjęcie z podróży poślubnej do Wenecji. Nikt nie wiedział, jak trafiły w ręce dziennikarzy. Były też zdjęcia Laurie, Michele i Petera Moonów, a także ich wnuczka, Sama. Prezentowano rozmowy z sąsiadami, którzy nie mogli uwierzyć w to, co się stało i byli zdziwieni, słysząc, że Laurie miała dziecko.

Chłopiec skończył osiem lat, zdiagnozowano u niego zespół Downa. Kate dowiedziała się o tym od swojego adwokata, Martina Blake'a, dawnego kolegi ojca. Po długiej batalii z rodziną i tłumaczeniach, że akceptując pomoc prawnika, stawia sama siebie w kręgu podejrzanych i pozwala innym wątpić w swoją niewinność, Kate w końcu skapitulowała.

- Samo słowo „niewinność” sugeruje, że Kate musi ją udowodnić - protestowała rozdrażniona Bel.

- Nikt nic takiego nie mówi - Michael starał się ją uspokoić. - Doskonale wiemy, że Kate jest całkowicie niewinna.

- Oczywiście, że tak! - krzyczała Bel. - To przecież ona jest ofiarą!

Jak twierdził Martin Blake, fakt, że Sam Moon cierpiał na zespół Downa, potwierdzał teorię Kate, że grupa mogła stanowić odłam jakiegoś fanatycznego stowarzyszenia obrońców życia lub nawet tworzyć samodzielną organizację pro life. Powiedział też, że o ile zdołał się zorientować, to biorąc pod uwagę ogólną opinię detektywów i ewentualne wyniki dalszego śledztwa, policja ma coraz mniej wątpliwości.

- Nie do końca - Kate powtórzyła za adwokatem ponuro.

- Problem leży w zdobyciu niepodważalnych dowodów - odparł prawnik.

- Wszystko obraca się przeciwko mnie.

- To niedorzeczne przekonanie - zaprotestował Michael. - Chociaż przerażająco trafne.

- Gadacie bzdury - strofowała ich Bel.

- To część ich gry - podsumowała Kate.

* * *

Na kolejnym spotkaniu, kilka dni przed Bożym Narodzeniem, Martin Blake powiedział:

- Problem w tym, że nawet te elementy zeznań, które powinny świadczyć na twoją korzyść, można interpretować odwrotnie. - I usprawiedliwiając się, dodał: - Mogą, teoretycznie, zostać wykorzystane przeciw tobie.

-No ładnie!

Siedzieli w kancelarii Blake'a, co umożliwiała rozmowę wolną od zbędnych emocji, jakie co chwila wybuchały w domu Kate.

Doskonale wyposażony gabinet w nowoczesnym budynku przy Bandury Road w Oksfordzie sprawiał wrażenie nazbyt uporządkowanego. W przeciwieństwie do starego biura ojca w Henley nie mógł się poszczycić nobliwą elegancją ani nawet tą szczególną atmosferą, ale Kate czuła się w nim wygodnie i bezpiecznie. A tego właśnie najbardziej jej brakowało.

Sam prawnik, płowłosy mężczyzna tuż przed czterdziestką o miłym wyglądzie, zwykle osowiały, ożywał się przy omawianiu sprawy. Mocno stąpał po ziemi, lecz trzymał stronę Kate. A to liczyło się dla niej najbardziej, chociaż wciąż miała nadzieję, że nie będzie musiała korzystać z prawniczych talentów Martina.

Blake wskazywał jednak kolejne wątpliwości.

Niewielkie siniaki - jedyne obrażenia Kate spowodowane uderzeniami i zaciśniętymi bandażami - mogły powstać w czasie szarpaniny z Simon.

- Ale gdyby przyszło co do czego, to mamy eksperta, który poprze nasze wytłumaczenie, a obali teorię policji.

Ślady opon odnalezione niedaleko stodoły, prawdopodobnie pozostawione przez furgonetkę, potwierdzały słowa Kate o tym, że członkowie bandy wyjechali z Caisleán, a następnie tam wrócili. Jednak równie dobrze mogła to być każda furgonetka, a kierowca mógł po prostu zgubić się na tym odludziu i tylko szukać drogi powrotnej.

- Mogłaś też sama zostawić te ślady.

- Nie sądzę.

Kate starała się unikać powrotu do tamtych wydarzeń. Okazało się, że padła nie tylko ofiarą tak zwanej sprawiedliwości ludowej, lecz znaleźli się tacy, którzy podejrzewali, że to ona sama...

To zbyt wiele jak na nią.

Lepiej nie dopuszczać do siebie takich myśli.

Odnalezienie kluczy do drzwi frontowych, zakopanych pod kępą pierwiosnków, gdzie, jak Kate powiedziała policji, zawsze trzymała zapasowy komplet, też nie świadczyło na jej korzyść.

- To samo dotyczy kuchennego okna, które zbiłaś od wewnątrz - kontynuował Blake.

- Czy mogę o coś zapytać?

- Bardzo proszę.

- Właściwie to dlaczego mam się nad tym wszystkim zastanawiać?

- Sądzę, że każde oskarżenie będzie się opierać na teorii, że to ty jesteś porywaczką i albo nieumyślnie spowodowałaś śmierć Simon... - adwokat zawiesił głos na chwilę - ...albo, co może wydać się jeszcze bardziej nedorzeczne, że zabiłaś obie te kobiety.

-I sama spreparowałam dowody, kiedy tamci już odjechali - podchwyciła Kate.
- Bo sądziłam, że i tak nikt mi nie uwierzy.

- Chyba że ktoś związany z Laurie Moon lub tą drugą kobietą znajdzie inny motyw.

- Czego nie należy się spodziewać, bo nie ma innego motywu.

- No właśnie - podsumował Blake.

Telefon stacjonarny, który zawiódł, kiedy Kate próbowała wezwać pomoc z salonu w Caisleán, działał, gdy przyjechała policja. Drżący głos Kate, gdy dzwoniła z komórki z samochodu, o niczym nie świadczył, bo po prostu mogła być świetną aktorką.

- Powinno się sprawdzić, czy linia telefoniczna została przerwana lub czy ktoś przy niej majstrował.

- Owszem. Już to sprawdza mój kolega - odpowiedział Blake i zauważywszy irytację Kate, dodał: - Musisz pamiętać, że ty i ja mamy teraz własną rozgrywkę, a są w niej najgorsze warianty tego, co może się zdarzyć. Nie mam w zwyczaju tak prowadzić spraw, ale twoja rodzina robi za dużo wrzawy.

- Czy można ich za to winić?

- Oczywiście, że nie. Ale Michael dlatego złożył mi tę propozycję, że wiedział, iż zrozumie twoje obawy i zdołam wytropić każdą kukułkę, nim zdoła podrzucić nam swoje jajo.

Kate roześmiała się i zapytała:

- Czy jeśli zechcę wkurzyć mojego wydawcę, mogę zwrócić się do ciebie z prośbą o kilka lekcji niezwykłych przenośni?

- W każdej chwili. Radosny moment przeminął.

- Czy sądzisz, że inspektor Newton mi wierzy?

- Tak mi się wydaje - odpowiedział. - Ale dopóki nie ma jakiegoś punktu zaczepienia czy choćby śladu napastników...

- Zatem na razie są tylko moje zeznania - wpadła mu w słowo.

- Dokładniej mówiąc, jesteś jedynym świadkiem.

- Tak sędzę. Muszę to brać pod uwagę, zamiast tak się przejmować. Spróbuję wziąć się w garść, zamiast wszystko w kółko rozpamiętywać, bo muszę pomóc w schwytaniu tych łajdaków.

- Tym właśnie się zajmiemy - podchwycił Blake.

- Dziękuję. Chyba wyczerpaliśmy już listę problemów?

- Niestety nie. Sporo jeszcze przed nami - odpowiedział z kwaśną miną prawnik i zerknął do swoich notatek. – Nie znaleziono jeszcze samochodu Laurie Moon. A może on dostarczyć cennych dowodów.

- Dziwię się, że jeszcze nikt nie zasugerował, że go gdzieś ukryłam.

- Miałaś myśleć pozytywnie - upomniał ją Blake. - To ja mam \ być pesymistą.

Kate przytaknęła ruchem głowy.

Adwokat dalej przeglądał swoje zapiski: twierdzenie, że Kate została zamknięta w łazience, nie zostało udowodnione ze względu na łatwość, z jaką się z niej wydostała. Jej stanowczego, potwierdzonego przez męża twierdzenia, że w drzwiach nigdy nie było zamka, nie można uznać za dowód, gdyż Rob sam przyznał, że nie zaglądał do Caisleán od miesięcy. Co oznaczało, że Kate mogła bez przeszkód sama założyć zamek.

- Majsterkowanie to moja słaba strona - oświadczyła.

- Ty to mówisz. - Kwaśno uśmiechnął się Blake.

- Zapytaj, kogo chcesz.

- Wszyscy, którzy cię kochają, nie są wiarygodni.

- No tak, zapomniałam. - Znow straciła humor.

- Z drugiej strony...

- A czy w ogóle jest takowa? - przerwała mu Kate.

- Oczywiście. Policja skłania się ku przekonaniu, że nie znałaś Laurie Moon.
- Doprawdy? Niech skonam! Och, wybacz mi. - Wzruszyła ramionami.
- To zadziwiające, ale fakt, że w Caisleán znaleziono dwa ciała, świadczy na twoją korzyść. Przy jednym łatwiej byłoby cię zamknąć.

- Powiedz to nieboszczkom.

- Mam coś jeszcze.

- Trzecie zwłoki? - spytała ironicznie. - Lepiej.

- Wyduś to z siebie wreszcie.

- Możliwy precedens. W Oksfordzie, a dokładniej mówiąc w Summertown, mniej więcej rok temu, oskarżony o napad z bronią nauczyciel z podstawówki, Alan Mitcham, twierdził, że został zmuszony do popełnienia przestępstwa przez trójkę napastników, którzy mieli na twarzach pończochy.

- Poważnie? - wykrzyknęła Kate. - I co się z nim stało?

- Został skazany.

- Świetnie. Masz chyba coś w zanadrzu?

- Obawiam się, że pan Mitcham został zamordowany w więzieniu w Oakwood.

- A myślałam, że to coś dla nas!

- Jak najbardziej, ponieważ policja wróciła do tego przypadku. - Blake potarł kciukiem nos. - Jest coś jeszcze.

Kate cierpliwie czekała w milczeniu.

- Po aresztowaniu Mitcham twierdził, że jego prześladowcy używali pseudonimów zaczerpniętych z powieści.

Po raz pierwszy Kate ogarnął potężny przypływ nadziei.

- Golding?

- Właśnie. I chociaż Mitcham mówił o trojgu, a nie czworgu przestępcach, to biorąc pod uwagę ich pseudonimy: Jack, Roger i Prosiaczek, trudno mówić o zbiegu okoliczności.

- Zatem Newton zaczyna mi wierzyć? - spytała Kate.

- Powiedzmy, że sprawy idą we właściwym kierunku -sprecyzował Blake.

TLR

RALPH

Świadomość, że wszystko już się skończyło, okazała się bolesna i nie do zniesienia. Nie będzie już więcej żadnej gry. Nie ma już ich klanu. Żadne z jej dzieci nie pójdzie na pogrzeb Simon ani nawet nie odwiedzi później jej grobu, bo przecież policja może go obserwować.

Z dnia na dzień rósł smutek po utracie Simon i troska o pozostałych. Wydawali jej się tak bardzo przestraszeni, tak mocno poturbowani psychicznie, że Ralph obawiała się o ich przyszłość. Od tej chwili byli pozbawieni jej opieki. Czasami przychodziła jej do głowy myśl, że może bez przywódcy poradzą sobie równie dobrze. A może jeszcze lepiej niż przedtem. Tak zwyczajnie, jak to jest w normalnym życiu.

Bez jej wskazówek.

Bez niej.

Nie dbała już o siebie, nie miała na to siły. Nikt nie troszczył się, czy dobrze spała, czy ma co jeść, czy wykonuje swoje ćwiczenia. Nikt nie pytał, czemu wychodzi tylko po to, by załatwić najniezbędniejsze sprawy. Wciąż miała swoje pół etatu i jeszcze dorabiała w firmie doradczej, udzielając konsultacji przez telefon. Przecież musiała płacić rachunki. Praca ta jednak nie przynosiła Ralph żadnej satysfakcji i przypominała nieustannie o marnym życiu, jakie wiodła przed pamiętnym wieczorem w Wayland's Smithy. Zanim powstała grupa czworga.

Najbardziej się obawiała, że pozostała przy życiu trójka zechce się mścić. Na przykład Prosiaczek mógł wpaść na taki pomysł i narazić siebie oraz tamtych dwoje na niebezpieczeństwo. Uzgodnili, że drastycznie ograniczą kontakty, nie będzie żadnych kartek świątecznych, a telefonować można tylko w sprawach naprawdę ważnych i z zachowaniem należytej ostrożności. Mimo tak ograniczonych możliwości porozumiewania się z podopiecznymi Ralph postanowiła za

wszelką cenę zapobiec jakimkolwiek próbom odwetu. Po nieszczęściu, które spotkało grupę także z jej winy, mogła już tylko zadbać o bezpieczeństwo swoich dzieci.

Nigdy sobie nie wybaczy popełnionych błędów.

Jej nienawiść do Kate Turner rosła z każdym dniem.

TLR

KATE

W swoim związku z Robem Kate dostrzegała zmiany. Powrót do wspólnego życia był wynikiem przemyślanych decyzji i nie opierał się już na chwiejnych emocjach. Swoje postanowienie przypieczętowali nowymi nabytkami. Kupili nowe poduszki i obicia na zaplamione kawą kanapę i fotele, wybrali rośliny w centrum ogrodniczym, a potem wspólnie je zasadzili. Mieli teraz wspólne życie i dom; najpierw cieszyli się świętami Bożego Narodzenia, a potem Nowym Rokiem i uważali, że miało to na nich zbawienny wpływ.

Kate przeglądała się czasem w lustrze, oceniając, czy po ubiegłorocznych przeżyciach wróciła już do formy. Pragnąc odmiany, poszła do fryzjera i ścięła włosy na krótko. Jej oczy nabrały blasku, cienie pod nimi przybladły, choć nadal miała wychudzoną twarz.

Mąż zachwycał się nią, a Kate nie pozostawała mu dłużna i przyznała, że przekonała się nawet do jego brody. Któregoś ranka jednak Rob zaproponował, by ją mu zgoła.

- Jesteś pewien? - spytała zaskoczona Kate.

- Tak. Ona przypomina ci nasze złe dni - odpowiedział. - Dlatego chciałbym się jej pozbyć.

- Przecież ją lubisz.

- Ale ciebie kocham bardziej.

To było niezwykle przeżycie, które doprowadziło ich do zbliżenia tak wspaniałego, że jeszcze nigdy nie było cudowniej, choć powstała między nimi psychiczna więź zdawała się o wiele ważniejsza niż fizyczna rozkosz. Prawdę mówiąc, Kate sądziła, że tylko ona przeżywa wszystko tak głęboko. A to za sprawą osiągniętej zgody, domowego ciepła i jakże rozkosznej bliskości.

- Czuję to samo, bo już myślałem, że straciłem cię na zawsze - zapewniał ją Rob.

A jednak nie odczuwali tego samego, pomyślała Kate, gdyż jej pragnienie bezpieczeństwa było następstwem ponad dwudziestu godzin spędzonych z potworami, a jednym z nich był zamaskowany morderca, który najpierw miał ochotę ją zgwałcić, a potem podciął gardło niewinnej dziewczynie...

Nie, nie mogli odczuwać tego samego.

Poza ich związkiem nie wszystko szło jak należy. Incydent w Caisleán, jak niektórzy to nazywali, dał byłej żonie Roba argument do utrudniania mu spotkań z Emmie. Penny twierdziła, że nie może tak ryzykować.

- Nic z tego, póki ci ludzie nadal są na wolności - mówiła.

Kate miała ochotę udusić Penny za samo przywołanie tych wspomnień, a zaraz potem za niewyobrażalne dręczenie Roba. Chodziło oczywiście jedynie o przenośnię, bo wspomnienia fizycznej przemocy, której tak niedawno doświadczyła, były jeszcze zbyt świeże.

Wydarzenia w Caisleán poruszyły Kate na wiele sposobów.

- To skutki przeżytej traumy - mówili wszyscy, począwszy od sierżanta Poultera, a skończywszy na Richardzie Firemanie.

Ten ostatni wykazywał nieskończoną wprost cierpliwość, czekając, aż Kate powróci do „Zapisków”. Na razie zamieszczano tam artykuły różnych autorów, ale Kate czuła, że nie powinna tego lekceważyć. Okazało się bowiem, że nie tak trudno ją zastąpić i wyglądało na to, że jest marną dziennikarką, której poszczyło się w prowincjonalnej gazecie.

- Muszę wrócić do pisania, jeśli nie chcę stracić pracy - powiedziała Robowi.

- Wrócisz - uspokajał ją mąż. - Powinnaś tylko dać sobie więcej czasu.

Kate wiedziała, że mąż ma rację. Przecież wciąż odczuwała skutki przeżytych okropności. Miała wszystkie post-traumatyczne objawy: pobudzenie, nerwość, wracające jak bumerang wspomnienia i senne koszmary. Zdarzały jej się też niszczące nie tylko fizycznie, ale i emocjonalnie okresy przygnębienia, tak

odmienne od czasu napięcia przedmiesiączkowego, kiedy po prostu zamykała się w sobie i chciała jedynie spać i nic nie mogła robić. Nie wywoływała już awantur, przeciwnie, zachowywała się uprzejmie w stosunku do innych, okazywała swoim najbliższym cierpliwość i większe zrozumienie.

Zwracała baczna uwagę, czy ktoś nie próbuje zbliżyć się do niej zbyt blisko na ulicy i była bardzo ostrożna, gdy inkasent dzwonił do drzwi, aby sprawdzić licznik wody, lub gdy posłaniec przywoził zamówione rzeczy. Tylko w stosunku do tych, których dotychczas niezbyt lubiła, Sandi i Delii, stała się jeszcze bardziej złośliwa. Chciała się z tego wyleczyć, jak z grypy, ale gdy tylko je zobaczyła, natychmiast się irytowała. Mimo to rodzina była teraz zjednoczona bardziej niż kiedykolwiek.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabym kiedyś zaprzyjaźnić się z Delią - wyznała ojcu kilka tygodni temu. - Ale widzę, że jesteś z nią szczęśliwy, więc obiecuję, że będę się starać.

-I tylko o to proszę - odpowiedział Michael.

Kate trudno było jednak zapomnieć o sceptycyzmie Delii, która z dystansem podchodziła do opowieści o wydarzeniach w Caisleán i do tego miała czelność zaproponować spotkanie z terapeutą.

- Nie mówię, że terapia mi nie pomoże - Kate mówiła później Robowi. - Może nawet zgłoszę się sama, gdy poczuję, że jestem gotowa. Ale Delia chyba nie może znieść tego, że dla ojca ciągle jestem najważniejsza.

- Przecież Michael nie poświęca ci więcej czasu niż wcześniej - zauważył Rob.

- Może za to więcej o mnie myśli - odpowiedziała Kate. - Delia wie, że nic nie może na to poradzić, ale stara się podważyć jego zaufanie do mnie.

- To ja już ani słowem nie wspomnę o kimś, kto wpada w paranoję.

- No tak, może jednak powinnam pomyśleć o seansach terapeutycznych - podsumowała Kate.

Rob tylko się uśmiechnął, a potem ją pocałował i Kate zostawiła ten temat.

Kate spostrzegła, że osoba Sandi West staje się dla niej coraz większym problemem.

- Wyobraź sobie, że ona ciągle jeszcze nie może się otrząsnąć po tym, co się wydarzyło - zwierzała się Bel córce w połowie stycznia.

- Wolałabym, żebyś nie opowiadała o mnie Sandi - poprosiła Kate.

- A ja wolałabym, abyś zrozumiała, że choć Sandi bywa nietaktowna, to nie jest twoim wrogiem - odparowała Bel. - Wiesz, że jest dla mnie najlepszą przyjaciółką.

- I ty dla niej.

- Nie rozumiem, co w tym złego - zauważyła rozsądnie Bel.

Kate doszła do wniosku, że chcąc wrócić do równowagi, będzie musiała zmienić swoją opinię na temat relacji matki z Sandi.

- To godne pochwały - odparł Rob, gdy mu o tym powiedziała.

- Skąd ta ironia? - zdziwiła się Kate.

- Ponieważ nie wyobrażam sobie, byś zmieniła swoje zdanie o kimś, kogo tak bardzo nie lubisz. Nawet gdy chodzi o dobro twojej matki.

- Sam przecież mówiłeś, że powinnam bardziej się starać. A teraz twierdzisz, że się myliłeś?

- Mówię tylko - odrzekł z namysłem - że zacząłem ufać twojemu instynktowi.

Sprawił jej tym większą przyjemność, niż uczyniłby to niejeden komplement. Wtem zadzwonił telefon. Martin Black powiedział, że inspektor Helen Newton chce, by Kate przyjechała do Oksfordu.

Nareszcie coś mają.

Blake czekał już w komisariacie.

- Nie martw się - uspokajał Kate ściszym głosem. - Zdaje się, że posunęli się do przodu i chcą nas o tym zawiadomić.

Po chwili przeszli do jednego z pokoi. Jak tu znajomo, pomyślała Kate, rozglądając się wokół. Wkrótce nadeszli inspektor Newton i sierżant Poulter. Niedowiarki, pomyślała Kate.

- Chciałabym, aby wszystko, co tu państwo usłyszą, pozostało między nami - zaczęła Helen Newton.

- Rozumiemy - odpowiedział Blake.

- Dziesięć dni temu zidentyfikowaliśmy Simon.

Kate poczuła, że jej serce zaczyna gwałtownie uderzać.

- Naprawdę nazywała się Carol Marsh - Newton popatrzyła prosto w oczy Kate - i pracowała jako nauczycielka w szkole podstawowej.

- Miała dwadzieścia cztery lata - dodał Poulter.

- Jak zdołaliśmy ustalić, stroniła od ludzi. - Helen Newton zajrzała do notatek. - Nie miała chłopaka, nie prowadziła życia towarzyskiego, tak mówili sąsiedzi. Jej matka była nastolatką, gdy zaszła w ciążę, a kiedy dowiedziała się, że będzie miała dziecko, nakłuwała brzuch, aby spowodować poronienie. Zaraz po narodzinach córki odebrała sobie życie. Ponieważ ojciec pozostawał nieznany, Carol wychowywała się w sierocińcu. Tam odnotowano, że miała skłonności do depresji.

- Biedna, głupia idiotka - skwitował Ben Poulter.

Co, jak stwierdziła Kate, mogło odnosić się zarówno do Carol, jak i jej matki. Simon.

Na wspomnienie tego imienia przed jej oczyma natychmiast pojawiło się wiszące na żelaznym haku ciało młodej dziewczyny, lecz tym razem Kate znalazła w sobie na tyle dużo siły, aby je przewyciężyć.

- Czy pracowała może w tej samej szkole co Alan Mitcham? - zapytał Blake.

- Podstawówka w Summertown, zgadza się - potwierdziła inspektor Newton.

I to tłumaczyło, dlaczego Simon nie uczestniczyła w napaści na Mitchama. Po prostu bała się, aby kolega z pracy jej nie rozpoznał. Kate poczuła otuchę, która po chwili ustąpiła przyływowi gniewu.

- A zatem teraz już mi wierzycie.

- Nie przypominam sobie, pani Turner, abyśmy kiedykolwiek mówili, że pani nie wierzymy - ripostowała Newton.

- Ale wiedzieliście o tym od dziesięciu dni.

- Nie o wszystkim.

Sfrustrowana Kate popatrzyła kątem oka na Blake'a. Prawnik odpowiedział lekkim wzruszeniem ramion.

- Zanim powiemy państwu coś jeszcze, muszę podkreślić, że ta informacja jest niezwykle poufna - kontynuowała Newton.

- Już nam to pani mówiła - zauważyła cierpko Kate, czując, że jej gniew słabnie.

- Będziemy wdzięczni za każdą wiadomość, którą pani zechce się z nami podzielić - dorzucił Blake.

Kate popatrzyła na niego gniewnie, ale on tylko się uśmiechnął.

- I naprawdę jest za co - oświadczyła pani inspektor i kiwnęła głową na sierżanta.

- Mieszkania Marsh nie można nazwać domem - zaczął Poulter. - Mało w nim mebli i jest ponure, ale miała sporo książek, jak to nauczycielka.

Kate czekała z niecierpliwością.

- Nie mogliśmy jednak przypuszczać, że znajdziemy jedną z powieści aż w pięciu wydaniach.

- Czy mówi pan o „Władcy much”? - zapytał Blake.

- Jak najbardziej - potwierdziła Newton.

Kate przez chwilę nic nie mówiła, po czym zapytała:

- Pewnie teraz zastanawiacie się, czy przypadkiem wyobraźnia nie zaczęła pła-
tać wam figli i czy nie zwariowaliście.

- Ani przez chwilę, pani Turner - odpowiedziała z uśmiechem Helen Newton.

* * *

Dwa dni później wydarzyła się niespodzianka zupełnie innego rodzaju.

- Musiałam pożegnać się z Sandi - poinformowała Bel córkę przez telefon.

- Przykro mi - odrzekła natychmiast Kate.

- Nie wygłupiaj się! Wiem, że wcale nie jest ci przykro.

- To przecież twoja przyjaciółka. Byłyście sobie takie bliskie - broniła się Kate, czując, jak rumieni się ze wstydu. - Muszę więc zaprzeczyć, naprawdę jest mi przykro.

Matka zamruczała coś sceptycznym tonem.

- A co się stało? - zapytała Kate. - Jeśli oczywiście zechcesz mi powiedzieć.

- Sandi wygłosiła jedną złośliwą uwagę o tobie za dużo.

- Nie rozumiem.

- To wcale nie jest takie skomplikowane. Jak sądzę, tak jest nawet lepiej. I nie ma to nic wspólnego z tym, że jej nie cierpisz.

- Cieszę się i umyvam ręce - odpowiedziała Kate.

Wciąż myślała o tym, co usłyszała przez telefon, gdy Rob wrócił ze szkoły.

- Mama nie ma przecież zbyt wielu przyjaciół - zauważyła. - Czuję się winna.

- Nie widzę powodu - oświadczył. - Bel zerwała z Sandi z bardzo ważnego powodu.

- Wiem, przeze mnie - zachnęła się Kate.

- I nic ci do tego. To jej wybór.

- Skoro tak mówisz.

- Owszem, nie znosiłaś Sandi, ale jeżeli Bel w ogóle brałaby to pod uwagę, to zakończyłaby tę przyjaźń już dawno temu.

- Wcześniej powiedziałaś, że matka zerwała z Sandi, co sugerowałoby, że łączyło je coś więcej...

Ta myśl sprawiła, że Kate poczuła się jeszcze gorzej.

W następnym tygodniu ojciec zapytał ją niespodziewanie:

- Czy z twoją matką wszystko w porządku?

- Jest trochę przybita - odpowiedziała. - To przez Sandi. Już raz omawiali tę sprawę.

- Mam nadzieję, że dobrze się czuje. Wydaje mi się taka... na dystans.

- Rozwiedliście się przecież - przypomniała mu Kate. - Macie być na dystans.

- Nadal się o nią martwię.

- Ja też - przyznała się Kate.

- Chyba nie pije? Jak sądzisz? - zapytał Micheal.
- Chyba nie - uspokajała go Kate. - Ale zwrócę na to uwagę, jeśli chcesz.
- Będę wdzięczny. A co słyhać w sprawie?
- Nikt mi nic nie mówi.
- Trzeba zachować cierpliwość - pocieszył ją ojciec.

Czasami Kate pragnęła, żeby policjanci już do niej nie dzwoniли, żeby przestali mówić o pozostałych członkach bandy i nigdy ich nie znaleźli. Może wtedy wspomnienia by zblakły, przestałyby tak ją dręczyć, potrafiłaby w końcu ruszyć do przodu, wrócić do normalnego życia. Wiedziała jednak, że ani Rob, ani jej ojciec nie zaznają spokoju, dopóki wszyscy przestępcy nie znajdą się za kratkami.

- Bez względu na to, kim są te ścierwa - gniewnie powiedział któregoś dnia Michael.

Dla Kate na zawsze mieli pozostać tajemniczymi postaciami w kombinezonach: dwóch mężczyzn i kobieta bez twarzy, Jack, Roger i Prosiaczek. Tak było prościej, nie chciała poznać ich prawdziwych nazwisk.

- Nie chcę, by stali się rzeczywistymi ludźmi - wyznała mężowi.
- Tak jak Carol Marsh - odpowiedział ze zrozumieniem.
- Zanim poznałam jej imię i nazwisko, była tylko Simon, martwą porywaczką.
- Łatwiej było jej nienawidzić.
- A nawet o niej zapomnieć - dodała. - Może kiedyś.

- Czy ciągle miewasz te koszmarne sny? - spytała Bel córkę w pierwszy wtorek lutego, podczas wspólnego lunchu w Cafe Nero w Henley.

Od czasu porwania spędzały ze sobą więcej czasu, także po zakończeniu przyjaźni mamy z Sandi. Kate doszła do wniosku, że trzeba było aż dwóch tragedii, by mogła cieszyć się z poprawy swoich relacji z matką i Robem.

- Już nie co noc.

- Bo tak się zastanawiałam... - zaczęła ostrożnie Bel. - Może rozważyłabyś...

Kate popatrzyła na matkę. Od początku wiedziała, że Bel coś chodziło po głowie i już zdążyła się zorientować, że jej samej to się nie spodoba.

- Co takiego?

- Moją grupę wsparcia - wykrztusiła z siebie Bel. - Spotkanie jest w ten czwartek. Nie chodziłam tam jakiś czas i może ci to w ogóle nie odpowiadać...

- Nie, mam - przerwała jej Kate. - To nie dla mnie.

- Sądziłam, że zainteresują cię nowi ludzie.

Kate pomyślała o Sandi, potem o wcześniejszej depresji matki i skrzywiła się na samą myśl o tłumie współczujących dusz.

- To zaproszenie do piekła.

- Nie proponowałabym ci tego - ciągnęła, najwyraźniej doskonale przygotowana na odmowę córki Bel - gdybym sama nie czuła potrzeby, by tam pójść.

- Dlaczego więc nie idziesz? - zapytała Kate. - Czy to przez Sandi?

- Ona już tam nie chodzi, więc nie ma to z nią nic wspólnego. Jednak czuję się trochę niepewnie na myśl o samodzielnej wyprawie.

- Nie wierzę, że się zgodziłaś - powiedział Rob z niedowierzaniem. - Czy jesteś pewna, że to dobry pomysł?

- Nie idę tam dla siebie - zaprotestowała Kate. - Chcę tylko pomóc mamie.

Rob nadal patrzył na nią ze zdziwieniem. - I obiecałam tacie, że będę na nią uważać.

- Jesteś pewna, że nic się za tym nie kryje?

- Tak długo, jak nie ma tam Sandi - potwierdziła Kate. - Inaczej bym się nie zgodziła.

-Już cię widzę, jak siedzisz w pokoju pełnym chętnych do pomocy dobrodusznym dziwaków. - Rob pokręcił głową. - Mam nadzieję, że Bel nie sądzi, że tego potrzebujesz.

-Chyba nie. Ale może coś o tym napiszę.

-Czy to będzie wobec niej w porządku?

W głowie Kate znów odezwało się echo złośliwych uwag Simon na temat okrucieństwa wobec matki.

-Nie mam pojęcia - odpowiedziała, czując się nagle bardzo zmęczona.

-Dobrze się czujesz? - zapytał czule Rob.

-Nie za bardzo.

Nic przez chwilę nie mówił, a potem oznajmił:

-Wiesz dobrze, że nie musisz się zmieniać. Jakakolwiek byś była, zawsze jesteś wspaniała.

-Tak wspaniała, że nie mogłeś już ze mną wytrzymać -odpowiedziała miękko.

-Niech będzie, że oboje zblądziliśmy. Kate westchnęła.

-Nie sądzę, aby tak małe ustępstwo wobec matki miało świadczyć o znaczącej zmianie mojego charakteru.

-Może to spotkanie ci pomoże - zastanawiał się Rob. -Tylko nie bierz go zbyt serio.

-Chcesz się przyłączyć? - spytała Kate.

-Już lepiej poddać się torturom - odpowiedział.

RALPH

Ralph z trudem przypominała sobie czasy, gdy zwracając się do Simon, nazywała ją prawdziwym imieniem.

Jak i pozostała trójka, Carol Marsh niczym się nie wyróżniała w ciągu swego pobytu w Challow Hall. Ot, po prostu, porzucone dziecko bez widoków na przyszłość. Rzadko z nimi trojgiem rozmawiała, widując ich zawsze w większej grupie. Lepiej znała papierowe życiorysy tych dzieciaków opisane w dokumentacji sierocińca niż żywe istoty. Aż do spotkania w Smithy. Od tego wieczoru Carol Marsh przestała istnieć. Jej miejsce zajęła Simon. I tak było aż do jej śmierci.

Ralph zastanawiała się, ile czasu upłynie od ustalenia przez policję tożsamości Simon do opublikowania nazwiska dziewczyny w mediach. Jak długo śledczy grzebali się w jej życiorysie w nadziei na odkrycie śladów wiodących do pozostałych członków grupy.

Po ogłoszeniu prawdziwego nazwiska Simon pierwszy zadzwonił Jack.

Ralph wiedziała, że powinna nakrzyczeć na niego za złamanie ciszy i narażenie grupy na niebezpieczeństwo, ale tak się ucieszyła, słysząc jego głos, że ograniczyła się jedynie do łagodnej wymówki.

- Jack, nie powinniśmy rozmawiać.
- Zapewne miałabyś rację, gdyby coś zwęszyli.
- Mogą być sprytniejsi, niż myślisz.
- Moje doświadczenie mówi co innego.

- To twoje doświadczenie. Doświadczenie włamywacza -odpowiedziała Ralph.

Z rozmysłem nie użyła słowa „mordercy”, żadne z nich nie wspomniało też o grze i nie wymieniło imion pozostałych uczestników. Na wszelki wypadek, bo może ktoś ich słuchał. Talent Prosiaczka w tej dziedzinie uwrażliwił ich na wszelkie możliwości podsłuchu.

- Co u niego słyhać? - spytała Ralph. - Wiesz coś może?

- Przecież mówiłaś, że mamy się nie spotykać - zachnął się Jack.

- Tak mówiłam, ale znam cię.

- Pojechałem do niego następnego dnia, aż do Swindon, i widziałem, jak wychodzi z domu - przyznał się Jack. - Nie widział mnie, ale wyglądał kiepsko. I wcale mnie to nie dziwi.

- Czy sądzisz, że poszedł na pogrzeb?

Myśl ta prześladowała ją nieustannie niczym narastająca groźba.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedział Jack. - Chyba nie jest aż takim durniem.

Ralph zapewniła go, że też ma taką nadzieję, i dodała, jak bardzo się cieszy, że zadzwonił, ale nie powinien tego robić.

- Tylko w wyjątkowych przypadkach.

W ten sposób dała im obojgu możliwość wyboru, której tak bardzo potrzebowali.

* * *

Ralph doskonale wiedziała, że nie będą w stanie zerwać z tym całkowicie.

Nie dlatego, że uzależnili się od grupy i gry. Nawet nie dlatego, że łączyło ich szczere uczucie.

Od śmierci Simon żyli głębokim przekonaniem, że gra jeszcze się nie skończyła.

TLR

KATE

- Pójdę tam tylko ten jeden raz - przypomniała Kate matce podczas rozmowy telefonicznej w czwartkowe południe. - Aby cię podtrzymać na duchu, rozumiesz?

- Rozumiem - odpowiedziała Bel. - I jestem ci wdzięczna.

- Mają też wiedzieć, że nie zamierzam nic o sobie mówić.

- Poinformowałam już o tym prowadzącą, ale przecież nie możesz na sto procent przewidzieć swojego zachowania.

W tej samej chwili Kate zrozumiała, że powinna się wycofać.

Spotkanie odbywało się w salonie wiktoriańskiego domu w East Reading. Pokój zastawiony był krzesłami i stołkami różnych rodzajów i kształtów, wokół których kręciła się podobnie różnorodna grupa około dwudziestu kobiet i mężczyzn. Popijali herbatę z plastikowych kubków i częstowali się kremówkami z dwóch wielkich, papierowych talerzy. Potem wszyscy zajęli miejsca i rozpoczęli spowiedź.

Kate stwierdziła ze zdumieniem, że wszystko to jest do zniesienia, co więcej, skoro wiedziała, czego się spodziewać, zaczęło ją to interesować. Niektórzy z uczestników w widoczny sposób okazywali ulgę, że mogą się wygadać pierwszy raz od ostatniego spotkania. Po dwudziestu minutach otwarły się drzwi.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Sandi West. Kate spojrzała z wyrzutem na matkę i zobaczyła rumieniec wykwitający na jej policzkach.

- Nie miałam pojęcia - szepnęła Bel. - Chcesz wyjść? Kate przecząco pokręciła głową. Była wściekła, ale nie

zamierzała dać Sandi satysfakcji.

Niedawna przyjaciółka matki mocniej niż przedtem opierała się na lasce. Była wyraźnie zmęczona, miała bladą, wychudzoną twarz i zapadnięte oczy - ku przerażeniu Bel, pełne bezmiernego smutku. Kate ogarnęły jednocześnie wyrzuty sumienia i współczucie. Zniknęły jednak natychmiast, gdy tylko Sandi uniosła się z miejsca ze zdecydowaniem przesadzonym jękiem i zadała jej pytanie.

- Czy już lepiej się czujesz po tych okropnych przejściach?

Kate poczuła uderzenie gorąca, ale zdołała zachować spokój.

- Tak, dziękuję, Sandi, ale nie chcę o tym mówić. Potem wstał inny uczestnik spotkania i zaczął opowiadać o depresji, która dopadła go po stracie siostry pięć miesięcy temu.

Kate odzyskiwała spokój. Do czasu, gdy mówca usiadł z powrotem.

- Kolejne pytanie do Kate. - Tym razem Sandi pozostała na kanapie. - Zastanawiałam się, czy zamierzasz iść na pogrzeb Laurie Moon?

Kate nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Nie sądzę, aby to była twoja sprawa - wycedziła głosem drżącym od gniewu.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się winna jej śmierci? - ciągnęła tamta niezrażona.

- Czy nie słyszałaś odpowiedzi Kate? - głośno i wyraźnie zapytała Bel.

Kate zdołała uśmiechnąć się z wdzięcznością do matki.

- Czy może już wiesz, dlaczego ci ludzie wybrali właśnie ciebie? - kontynuowała Sandi niczym wścibski reporter z najgorszego szmatławca.

- Czy jesteś głucha i głupia, czy tylko tak gruboskórna? - Teraz Kate naprawdę była wściekła. Spokój zniknął.

- Zmiana tematu - zakomenderował obcy głos.

To odezwała się prowadząca zajęcia Mary, którą matka przedstawiła jej przed spotkaniem. Kate spojrzała na kobietę z wdzięcznością, gdyż starsza pani sku-

tecznie odwróciła uwagę reszty od Kate, uciszając Sandi i proponując dyskusję nad zaletami i wadami terapii poznawczej. Żywo wymieniano poglądy aż do kolejnej scysji między dwoma uczestnikami spotkania, załagodzonej przez siwo-
włosego Charlesa.

Sandi odczekała do kolejnej przerwy.

- Zbyt wielu szefów - powiedziała, uśmiechnęła się i popatrzyła prosto w oczy Kate.

Ostatnie słowo wdarło się do mózgu Kate niczym srebrny soplek lodu. Bel za-
uważyła reakcję córki i zapytała:

- Kochanie, dobrze się czujesz?

- Świetnie - odpowiedziała machinalnie Kate, choć wcale nie czuła się dobrze.

- Może chcesz wyjść?

- Przepraszam, ale chyba muszę - uznała.

Nie chciała odpowiadać za kolejne morderstwo.

- Jeśli to nic nie znaczyło - mówiła później do Roba - to czemu tak na mnie po-
patrzyła?

- Pewnie była urażona tym, że na nią naskoczyłaś.

- Sądzisz, że nie miałam racji?

- Oczywiście, że miałaś!

- Czy ty przypadkiem nie usiłujesz mnie udobruchać?

- Wcale nie. Uważam, że Sandi zachowała się co najmniej niewłaściwie.

- Jednak uważasz, że niepotrzebnie przykładam tyle wagi do jej słów.

- Właśnie - stwierdził jednoznacznie Rob.

Trochę ją to uspokoiło i usatysfakcjonowało, pozwoliło odsunąć myśli o całym zajściu i niemal wmówić sobie, że Rob ma rację. „Zbyt wielu szefów” to przecież najzwyczajniejsze stwierdzenie pod słońcem. Nie mogło mieć z nią nic wspólnego. Nic wspólnego z tym, co się jej przytrafiło.

Jednak, aby nie zwariować, postanowiła przestać obawiać się napastników za każdym rogiem, a po ostatnim spotkaniu terapeutycznym i samej Sandi West.

W poniedziałek, cztery dni po tym wydarzeniu, Kate pogadała trochę z Firemanem przy kanapkach w redakcji i wróciła do domu. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, w ułamku sekundy rozpoznała dolatujący z telewizora w salonie głos.

Jak burza wpadła do pokoju, gdzie Rob skakał po wszystkich kanałach z pracą rozłożoną na stoliku i z pilotem w dłoni.

- Czy widziałeś tę kobietę, która przed chwilą była w telewizji? - zaczęła ostro Kate.

- Kogo? - zapytał zdziwiony Rob.

- No tę, która przed chwilą o czymś mówiła - powtórzyła roztrzęsiona, wiedząc, że zachowuje się jak wariatka.

- Dobrze się czujesz? - Rob odłożył pilota i wstał. - Masz jakieś kłopoty w pracy? Coś z szefem?

- Wszystko w porządku - Kate starała się zapanować nad podnieceniem. - Rob, to bardzo ważne. Usłyszałam ten głos, kiedy wchodziłam. Muszę wiedzieć, kto to mówił.

- Przykro mi, ale nie mam pojęcia.

- Postaraj się - poprosiła. - Co oglądałeś w telewizji? Rob wzruszył ramionami.

- Same reklamy. Nie słuchałem, zrobiłem sobie przerwę i chciałem obejrzeć coś przyzwoitego.

Kate popatrzyła na prace domowe rozrzucone na stoliku i ciężko usiadła na fotelu. Czuła mdłości.

- To była Roger.

- Chyba masz na myśli, że to był ktoś o podobnym głosie? - zapytał z niedowierzaniem.

Pieprzony belfer, przemknęło jej przez myśl.

- To była ona - powtórzyła.

- W porządku - zgodził się Rob. - Co mówiła? - Usiadł na kanapie naprzeciwko Kate. - Może jednak coś zauważyłem.

Pamiętasz może, czy to była reklama, jakiś program czy zapowiedź programu? Czy pamiętasz, o czym mówiła ta kobieta? Może coś reklamowała?

Kate zacisnęła powieki i ze wszystkich sił próbowała cokolwiek sobie przypomnieć, ale bez powodzenia.

- Cholera! - zakląła, otwierając oczy. - Niech to szlag! Rob czekał spokojnie.

- Nie kojarzysz, jaki to mógł być kanał? - spytała Kate.

- Niestety - powtórzył. - Może to wcale nie była ona.

- Na sto procent!

- Najlepiej więc będzie teraz już do tego nie wracać - zaproponował rozsądnie.
- Może prędzej ci się coś przypomni.

- Jeśli to była reklama, mamy szansę na nią trafić!

- Jeśli to była reklama - powtórzył Rob.

Przez następny miesiąc Kate jak opętana przeszukiwała wszystkie kanały telewizyjne, wiedząc, że najprawdopodobniej wszystko skończy się fiaskiem. Jednak

nie potrafiła przestać. Jeśli tylko zdoła usłyszeć ten głos jeszcze raz, choć przez ułamek chwili, zdąży zanotować czas, stację albo rodzaj reklamy, to przestanie się torturować, przestanie nasłuchiwać. Przekaze sprawę Helen Newton, zostawi to policji. Jak dostaną w swoje ręce Roger, to złapanie pozostałych członków bandy będzie już kwestią czasu.

Oglądała telewizję bez przerwy, niemal bez odpoczynku. Wściekała się na samą siebie, że ogląda, zamiast słuchać, że przestaje uważać i przysypia. Robiła to przecież nie tylko dla siebie, ale dla Laurie i własnej rodziny. Zaniepokojony Rob rozmawiał w tej sprawie z jej ojcem. Kate wiedziała o tym, gdyż Michael zaczął dzwonić do niej częściej niż zwykle, a gdy raz wpadła na chwilę do ojca, Delia włączyła telewizor i podkręciła głos, mówiąc, że Kate nie może uronić ani słowa.

- Nie dbam o to, czy uważacie mnie za wariatkę - skomentowała jej uwagę Kate.

- Wcale tak nie myślimy - bronił się Michael.

- Przypuszczam, że nie można po prostu wszystkiego nagrać, a potem odtworzyć - dogryzała Delia. - Bo wtedy nie usłyszysz głosów.

- Zgadza się! - warknęła Kate.

W samej rzeczy, zaczęła się zastanawiać, że może naprawdę wariuje, wiedząc, że zbliża się dzień pogrzebu Laurie Moon. Nawet cicha modlitwa nic nie pomagała. Może poszukiwania tego głosu są zwykłą ucieczką przed myślami o pogrzebie dziewczyny. Bel zasugerowała, że skoro Kate usłyszała głos Roger około siedemnastej w poniedziałek, to może powinna oglądać program telewizyjny właśnie o tej porze.

- Przecież oni na okrągło puszczejają te same programy i reklamy, wciąż na tych samych kanałach, prawda?

Kate zgodziła się, że to dobra rada, ale na tym poprzestała. Słuchała radia w łazience i w samochodzie, zwracając większą uwagę na głosy niż na drogę.

-Gdybym przeszła to, co ty, też stałabym się wrakiem człowieka - dokuczała jej Delia.

-Jasne - odparła Kate. - Dzięki za wsparcie.

-Spokojnie - łagodził Micheal. - Ona tylko stara się okazać ci współczucie.

-Nie potrzebuję litości - odparowała Kate. - Muszę znaleźć Roger.

-Musisz odpocząć - powiedziała Delia. - Powinnaś pić rumianek.

-Lepiej nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy - warknęła Kate.

To tyle, jeśli chodzi o poprawę stosunków z ukochaną ojca.

TLR

LAURIE

W sobotni lutowy poranek, w dniu pogrzebu ich córki, Shelly powiedziała do Pete'a:

- Modliłam się, by ta kobieta trzymała się od nas z daleka.

Pete wiedział oczywiście, o kim mowa, i podzielał opinię żony.

Chodziło o Kate Turner.

I chociaż wiele osób mówiło zupełnie co innego, Shelly i Pete byli przekonani, że gdyby nie ta kobieta, to Laurie nadal byłaby z nimi. Żyłaby, a teraz muszą złożyć jej ciało do grobu.

Zanim nadszedł ten dzień, przebrnęli przez wiele niezwykle bolesnych tygodni, które ciągnęły się w nieskończoność. Teraz im się zdawało, że minęły w mgnieniu oka. Świat gnał przed siebie, a oni trwali niewzruszenie. Cóż za beznadziejny frazes, a mimo to jakże prawdziwy.

W rzadkich chwilach racjonalnych rozważań rodzice Laurie dochodzili do wniosku, że są dla dziennikarki niesprawiedliwi. Przecież ta kobieta też stała się ofiarą. To im jednak nie pomagało. Wszystko wydarzyło się w jej domu. To ona została uwięziona pierwsza. Jej grzech - według ich własnej dziwacznej oceny - był po stokroć cięższy niż występki ich córki. Zdawali sobie również sprawę, że to oni mieli wpływ na decyzję Laurie. Uznali jednak, że to zupełnie inny problem i że nie potrafią teraz sobie z nim poradzić. Jeśli w ogóle kiedyś stawią mu czoło.

Tak łatwo było przecież winić za wszystko Kate Turner.

Gdy Shelly wspominała ostatnią rozmowę z Laurie, chciała zapaść się pod ziemię ze wstydu. Te bezsensowne uwagi o niesprzątniętej podłodze i ciężkie,

wymowne milczenie. Zmarnowała ostatnią szansę, ostatnią okazję, by przytulić swoją córkę i powiedzieć, że ją kocha.

Pete opowiedział jej o nocnej krótkiej rozmowie z Laurie i lekkiej poprawie stosunków między nimi, co stało się teraz najcenniejszym ostatnim wspomnieniem o córce. Shelly poczuła zazdrość, gdy jej o tym opowiedział, i niemal znieawidziła męża. Potem jednak zrozumiała, że Pete chciał jej tylko uświadomić, że Laurie opuszczała rano dom szczęśliwsza, niż sądziła jej matka.

- To nie twoja wina, że zasnął - pocieszał żonę.

- To zapewne nie, ale cała reszta jak najbardziej.

- Ja też się do tego dołożyłem - przyznał Pete.

Sądziła, że wiedzą, co to znaczy wstyd, ale dopiero przyjazd Angeli z Prowansji sprawił, że poznali prawdziwy smak tego stanu. Siostra Shelly, stojąc obok obojga na pogrzebie, o nic ich nie obwiniła. Jednak kilka starannie przemyślanych zdań, które powiedziała, zraniło ich głęboko w samo serce.

- Cokolwiek będziecie mówić ludziom o Samie, ja temu nie zaprzeczę. - Pete i Shelly popatrzyli na siebie w milczeniu. - Jeśli wolicie utrzymywać, że to Laurie nie potrafiła sobie poradzić z tą sytuacją, ja też będę tak mówić. Dla niej to już i tak bez różnicy. Moja biedna, kochana dziecinka.

Nie pozostawiła im wyboru i ogromne poczucie winy, które narastało w nich przez dziewięć lat, teraz niemal zaczęło ich dusić.

Następnego dnia Angela zapytała:

- Co zamierzacie teraz zrobić w sprawie Sama?

- Właśnie się nad tym zastanawiamy - odparł Pete. - I bardzo dobrze.

Ich syn, Andrew, który z upływem lat tracił włosy, za to przybierał na wadze, nie zabierał głosu. Nigdy się nie odzywał, gdy chodziło o Sama. Dawno temu Angela zapytała go, co sądzi o wymuszonym rozdzieleniu siostry z jej synkiem,

ale tylko coś mruknął i nie wiedziała, czy stoi po stronie ojca, czy też po prostu się wypowiadać na ten temat.

- Zastanawialiśmy się - zaczęła Shelly - czy nie powinniśmy wziąć go do domu.

- „Powinniśmy” - powtórzyła za nią Angela. - Czy nie sądzisz, że na „powinniśmy” jest trochę za późno? - I obrzuciła oboje oskarżycielskim spojrzeniem.

- Chcemy zrobić to, czego pragnęłaby Laurie - powiedział Pete.

- Ona chciała mieszkać i żyć razem z synem - nie odpuszczała Angela.

- Jednak, ze względu na Sama, sądzimy, że lepiej późno niż wcale - słabo zaprotestowała Shelly.

- Ależ jesteście zakłamanymi! - wykrzyknęła Angie.

- Przestań, ciociu - wtrącił się zarumieniony z emocji Andrew. - Nie trzeba przecież...

- W porządku, Andrew - przerwał mu Pete.

- Przypuszczam, że Angie uważa - wolno zaczęła Shelly, starając się nie wybuchnąć płaczem - że lepiej będzie dla Sama, jeśli zostanie w miejscu, do którego już się przyzwyczaił.

- Lepiej będzie mu tam niż tutaj z wami - dobiła ich ciotka Laurie.

Zbyt dobrze pamiętała wiele przepłakanych dni i nocy ukochanej siostrzenicy, by zostawić w spokoju tych dwoje, którzy nie mogli zaakceptować ciąży swojej córki. Tak więc Angela wyszła z założenia, że im bardziej będzie dręczyć swą siostrę i jej męża, tym lepiej.

Shelly nie potrafiła powiedzieć, co było gorsze: dwa miesiące temu zobaczyć Laurie w kostnicy czy uczestniczyć w jej pogrzebie. W kostnicy mogła chociaż patrzeć na Laurie. Wtedy przynajmniej córka ciągle była obok, tylko kilka me-

trów od niej. A nie jak teraz, w zamkniętej trumnie, w której wieko z głuchym odgłosem uderzała ziemia.

Shelly podniosła wzrok i zauważyła Kate Turner stojącą w pewnym oddaleniu, jakby sądziła, że jej obecność może nie być mile widziana.

Ta kobieta nie miała nawet pojęcia, co zrobiła.

Sam stał między Pete'em a opiekunką z Mann, która obejmowała go ramieniem. Wyglądało na to, że jest zadowolony z jej uścisku. Chłopiec popłakiwał przez kilka minut, gdy trumnę spuszczano do grobu, zupełnie jakby rozumiał, co się działo. Kobieta podała mu chusteczkę i Sam wytarł nos.

- Wszyscy bardzo kochamy państwa wnuka - powiedziała opiekunka, gdy już było po wszystkim.

Sam uśmiechnął się prześlicznie do Shelly, ale ona wiedziała, że to był tylko odruch. Nie uśmiechał się do niej jak do swej babci, bo dlaczego miałby to robić? Gdyby dowiedział się kiedykolwiek o tym, co zrobili jemu i jego matce dziadkowie i gdyby jeszcze potrafił odczuwać nienawiść, to nienawidziłby ich do końca życia.

Shelly wiedziała, że zgromadzeni ludzie przyglądają się im i chłopcu i zdziwiła się nawet, że tak mało dba o to, co tamci mogą sobie pomyśleć. To nowe doświadczenie sprawiło, że nienawidziła siebie jeszcze bardziej, gdyż teraz okazało się, że osiem lat temu mogli pozwolić Laurie zabrać synka do domu i choć wspólne życie mogłoby się okazać trudne, to przecież stanowiliby normalną rodzinę.

Laurie żyłaby nadal. Nie cierpiałyby przez tyle lat, nie zostałyby zamordowane.

- Sam, lubisz konie? - zapytał wnuka Pete.

Chłopiec popatrzył na towarzyszącą mu kobietę, jakby oczekiwał od niej odpowiedzi.

- Kochasz koniki, Sam, prawda? - podpowiedziała.

- Może chciałbyś przejść się ze mną do stajni? - zaproponował Pete.

- To miejsce, gdzie trzymamy konie - wyjaśniła Shelly.

- Wiem - odpowiedział chłopiec, zawstydzając tym samym babkę.

- Prawdę mówiąc, owszem, byłam na pogrzebie Laurie, ale jej nie opłakiwałam. Przecież wcale się nie znałyśmy - opowiadała Kate mężowi. - Podczas całej tej ceremonii mogłam myśleć jedynie o rozpacz i przerażeniu tej biedaczki, co na pewno by jej się nie spodobało.

- Poszłaś tam, by okazać współczucie i szacunek - oponował Rob. - I dobrze zrobiłaś.

- Jej rodzice obwiniają mnie o śmierć córki.

- Sądzę, że bardziej łączą cię z samymi wydarzeniami, niż o cokolwiek winią.

- Czułam, że powinnam z nimi porozmawiać, ale nie chciałam pogarszać sprawy.

Kilka tygodni wcześniej Kate usiłowała napisać list do rodziców Laurie. Próbowała wyrazić swoje współczucie i dodać im otuchy, ale nie potrafiła dobrać właściwych słów i owa porażka wraz z niepowodzeniem w poszukiwaniach głosu Roger sprawiła, że Kate przepełniało monstrualne poczucie winy.

- Przynajmniej masz już to za sobą - pocieszał ją Rob.

- Oby to była prawda.

KATE

Decyzję o sprzedaży Caisleán podjęli jednomyślnie. Gdy pod koniec marca trzeba było pokazać dom kilku agentom nieruchomości, Rob nie zdołał przekonać Kate, że powinien jechać sam. Uparła się, że musi stawić czoło wspomnieniom, upierała się, że jest już gotowa, aby tam wrócić.

- Skoro jesteś tego pewna - poddał się Rob. Lecz Kate nie była pewna.

I miała rację.

- Wszystko wydaje się takie nierealne - oznajmiła, ale to ona czuła się nierealnie, zupełnie jakby śniła.

- Ja tak tego nie odbieram - odrzekł jej mąż - ale nie chcę zostać tu dłużej, niż jest to konieczne.

- Tyle twojej ciężkiej pracy poszło na marne.

Kate starała się patrzeć na dom bez powracania do tamtych strasznych przeżyć, ale ciągle miała przed oczami widok zwisającej z haka Simon i Laurie leżącej w kałuży krwi na ich łóżku. Była pewna, że gdyby dom spłonął do ostatniej deski, poczułaby wielką radość.

- Możemy sobie coś zbudować - pocieszał ją Rob.

- Gdy zechcemy odpocząć, wybierzemy się do hotelu - odpowiedziała łagodnie, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo przeraża ją myśl o zamieszkaniu kiedykolwiek w jakimkolwiek domku na odludziu.

- Nie musisz przede mną niczego udawać - powiedział czule Rob.

- Wiem, że nie muszę - odrzekła z ulgą Kate.

Nie spieszili się z powrotem do domu. Zachwycali się widokiem jagniąt na łąkach, a potem skręcili na zachód i zatrzymali się na długi lunch w restauracji niedaleko Pangbourne. Jedzenie bardzo im smakowało, a lokal okazał się całkiem miły, ale Kate wiedziała, że nawet jeśli zatrzymaliby się w podrzędnym pubie i zjedli po kanapce, byłoby jej równie przyjemnie.

Teraz byli sobie bliżsi niż kiedykolwiek.

Gdy podjeżdżali pod dom, Kate ciągle czuła miłe zadowolenie, które jeszcze trwało, gdy Rob otwierał drzwi.

Od razu dostrzegli, że ktoś się do nich włamał.

Wtedy Kate zrozumiała, że już nigdy nie poczuje się bezpieczna.

Włamywacze nie zabrali wiele. Ukradli jedynie dwa telewizory, DVD, komputer i laptopa, i nawet nie narobili dużo bałaganu, gdy szukali biżuterii i gotówki w szafach i szufladach.

- Już zamówiłem ślusarza - powiedział Rob.

- Aha.

Robert wiedział, o czym myśli Kate.

- Rozmawiałem z Helen Newton. Jest przekonana, że to włamanie nie ma nic wspólnego z twoją sprawą. Powiedziała, że w tej okolicy to istna plaga.

- To dobrze. - Kate uznała, że takie wyjaśnienie jej odpowiada.

- Chyba musimy pomyśleć o alarmie - zaproponował Rob. - Albo o dużym psie.

- Nie jestem pewna, czy nie wzmocniłoby to wspomnień, a tak bardzo chciałabym o wszystkim zapomnieć - odparła Kate.

- Zastanów się, dobrze? - naciskał delikatnie Rob.

- Zgoda.

Pomimo tego włamania Kate czuła się lepiej, odkąd Caisleán zostało wystawione na sprzedaż. Nie martwili się zbytnio, że nikt jeszcze nie złożył oferty i że większość telefonów z prośbą o możliwość obejrzenia domu wynikała z niezdrowej ciekawości łowców sensacji.

- Nie ma pośpiechu - mówił Rob.

- Jest dobrze, póki zajmują się tym agenci - odpowiadała Kate.

- Już nigdy nie będziesz musiała oglądać tego domu.

- Bardzo mi to odpowiada.

Kate czuła, że powoli wraca do równowagi. Czas płynął, a wspomnienia blakły. Ludzie mówili, że wygląda coraz lepiej, co od razu budziło w niej poczucie winy wobec Laurie. To było oczywiście głupie; na szczęście owo przygnębienie nigdy nie trwało zbyt długo, gdyż Kate nie była aż tak niemądra i cieszyła się, że pozostała przy życiu.

I wtedy włamanie się powtórzyło.

Pod koniec kwietnia Kate spędzała sobotni wieczór samotnie, gdyż Rob został u Penny w Manchesterze na weekend, by porozmawiać o szkole dla Emmie i po-
być z małą trochę dłużej. Kate przekonała męża, że doskonale da sobie radę sama.

Tak mocno zasnęła, że nie słyszała żadnych podejrzanych odgłosów. Dopiero w niedzielę rano zobaczyła, że drzwi do ogrodu są otwarte na oścież. Przerazona nie na żarty zrozumiała, że ktoś zakradł się w nocy do domu.

- Najgorsze jest to, że nie dość, że jacyś obcy łazili po naszym domu, kiedy ja spałam, to na dodatek wygarnęli wszystko, co było w lodówce - opowiadała Robowi przez telefon, podczas gdy policja zabezpieczała ślady. Wezwany wcześniej Michael był już w drodze do córki.

- Głodni włamywacze? - dociekał Robert.

- Być może - Kate nie mogła opanować drżenia. - A może to wcale nie byli prawdziwi złodzieje, tylko...

- Kate, chyba nie...

- Sądzę, że chcieli jedynie przypomnieć o sobie.

Rob poprosił, by ktoś z nią został aż do jego powrotu.

- Natychmiast wyjeżdżam - oświadczył. - Tym razem zakładamy alarm. I nie chcę słyszeć ani słowa sprzeciwu.

- Nic już nie powiem - zapewniła go Kate.

Minęły trzy tygodnie, zanim Kate zorientowała się, że oprócz jedzenia zginęło coś jeszcze. Zdjęcie ich nienarodzonego syna zrobione podczas badania USG.

- Nie szukałam go specjalnie - powiedziała mężowi. - Po prostu miałam zły nastrój i wyjęłam album z naszymi ślubnymi fotografiami. Zdjęcie, które zginęło, było włożone za okładkę. Dobrze pamiętam, w takiej małej kopercie. Sądziłam, że wypadło, ale nigdzie go nie znalazłam.

- Poszukajmy jeszcze raz razem - zaproponował Rob. - Jeżeli się nie znajdzie, zawiadomimy o tym Newton.

- Miałam nadzieję, że przesadzam - powiedziała Kate.

- Ja mam nadzieję, że oboje przesadzamy - odparł Rob.

Jednak Helen Newton wcale nie uważała, że którekolwiek z nich przesadza. Jeszcze raz wysłała do ich domu grupę techników policyjnych, aby szukali śladów, które za pierwszym razem mogli przeoczyć. Niestety, następnego dnia musiała poinformować Roba, że nic nowego nie znaleziono.

- Żadnej próbki do sprawdzenia? - dopytywał się rozczarowany Rob.

- Po włamaniu posprzątała państwo dom od dachu po piwnice, i to, jak sądzę, nie jeden raz. Nie mogło nam się powieść - wyjaśniła Newton.

- I co teraz? Czy dacie nam ochronę?

- Miejscowa policja zwiększyła liczbę patroli w okolicy, będą mieli wasz dom na oku.

- Tylko tyle?

- Proszę pamiętać - zwróciła uwagę Newton - że prawdopodobieństwo tego, że napastnicy wrócą, jest nikłe.

- Czy nie sądzi pani, że nadszedł czas, aby zwiększyć środki ostrożności? Kate nigdy nie histeryzowała, ale teraz zaczyna się bardzo denerwować.

- Czy jesteście państwo pewni, że zdjęcie, o którym mowa, było w albumie?

- Żona nie ma skłonności do konfabulacji. - Rob twardo bronił swojego stanowiska.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - odparła pani inspektor.

RALPH

Ralph zatelefonowała do Jacka.

- Koniec z włamaniami. To zbyt ryzykowne teraz, gdy zainstalowali alarm.

- Może jednak nie.

- Zabraniam. Wokół ich domu jeździ radiowóz.

- Wiem.

- A zatem posłuchaj mojej rady.

- Jestem mistrzem w swoim fachu - upierał się Jack.

- I nadal chcesz nim być, prawda?

- Pewnie, szefowo - odpowiedział.

Tak cudownie było znów rozmawiać. Grać na nowo.

KATE

W trakcie rozmowy z Bel w ostatni poniedziałek maja Kate usłyszała w słuchawce metaliczne kliknięcie.

- Słyszałaś to, mammo?

- Niczego nie słyszałam.

Sytuacja powtórzyła się następnego wieczoru, podczas rozmowy z ojcem.

- Tato, czy słyszałeś ten dziwny dźwięk? - zapytała Kate. Gdyby Rob nie brał na górze prysznic, też poprosiłaby, żeby posłuchał.

- Może - zgodził się Michael. - Ale ostatnio zdarza mi się słyszeć różne rzeczy. Delia mówi, że się starzeję. - Przerwał na chwilę. - Jak ci idzie w pracy?

- Nie najgorzej - skłamała. Tak naprawdę, to radziła sobie coraz lepiej, odzyskiwała siły - aż do drugiego włamanania.

- Lepiej będzie dla ciebie, jeśli jak najszybciej zabierzesz się do porządnej roboty.

Kate skorzystała z rady Michaela i zapomniała o dziwnych odgłosach w słuchawce.

RALPH

- Działa podwójnie - poinformował Ralph Prosiaczek. - Można ją podsłuchiwać i trochę postraszyć.

Ralph ucieszyła się, że Prosiaczek wraca do formy i że praca sprawia mu przyjemność. Choć życzyłaby sobie, aby było to coś poważniejszego i weselszego.

- Proszę, bądź ostrożny.

- Zawsze uważam na siebie - odpowiedział Prosiaczek. - Nie chciałbym stracić pracy, szefie.

- Jeśli wpadniesz, stracisz nie tylko pracę - upomniała go Ralph.

- Tak się jeszcze nigdy nie stało.

- Tylko się nie popisuj.

- Wcale tego nie robię.

Duma i upadek. Wiadomości od Roger, niestety, nie były takie dobre.

Nie były oczywiście najgorsze, jak ta o utracie Simon, ale zdecydowanie złe.

Pewnego czerwcowego wieczora Jack miał robotę w Princes Risborough. Opuszczając dom, potknął się o donicę i narobił dużo hałasu. Zaraz też pojawił się nadgorliwy sąsiad, społecznie pilnujący okolicznych domów, uzbrojony w halabardę w postaci kija do krykieta. Na ten widok Jack tak się zirytował, że mocno sponiewierał interweniującego strażnika. Może i dałby radę uciec, gdyby żona uszkodzonego nie należała do tych odważnych.

- Teraz więc mamy włamanie i poważne uszkodzenie ciała - relacjonowała Roger.

Tego właśnie od dłuższego czasu obawiała się Ralph. To, że Jack przez tak długi okres unikał więzienia, i tak już graniczyło z cudem. A choć wielokrotnie słyszała, jak się przechwalał, że odsiadka to dla niego bułka z masłem, teraz bardzo się o niego bała.

- O jednego mniej - podsumowała Roger. - Jack siedzi w areszcie śledczym.

Ralph wyczuła smutek w jej głosie.

- Gdzie? - spytała. - W Tayton Park, koło...

- Nawet o tym nie myśl, żeby go odwiedzić - przerwała gwałtownie Ralph. - Oficjalnie ani nieoficjalnie.

- Nie zamierzam.

- Choćbyś nie wiem jak tego chciała.

- Nie jestem głupia.

- Wiem - uspokajała ją Ralph - ale nie chcę stracić i ciebie.

KATE

- To ona! - wrzasnęła nagle Kate.

W sobotnie, czerwcowe popołudnie Rob sprawdzał wypracowania, a Kate, wyciągnięta na kanapie, czytała artykuł Jona Henleya w „Guardianie” i nie zwracała uwagi na nadawane w telewizji reklamy. Z ulgą stwierdziła, że pomалу uwalnia się od obsesyjnego słuchania programów telewizyjnych. Teraz nie mogła się mylić.

- Rob, to jest Roger!

- O rany! - Rob rzucił wypracowania, wiedząc, że to nie żarty, i gorączkowo szukał kawałka czystego papieru.

Kate wpatrywała się w ekran jak urzeczona, „Guardian” zsunął się na podłogę. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że głos dobiegający z telewizora, zachwalający tani środek do czyszczenia, należał do Roger.

- Mam wszystko! - wykrzyknął Robert, zapisując dokładną godzinę i kanał.

Reklama się skończyła. Kate wstała z kanapy i zarzuciła mężowi ręce na szyję.

- Dzięki ci, kochanie. Jesteś wspaniały!

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział. - Czy sama zadzwonisz do Helen Newton, czy może chcesz, abym ja to zrobił?

- Proszę - odpowiedziała i podała mu telefon.

Dwa dni później przypomniał o sobie Martin Blake.

- Kate, musisz dać policji jeszcze trochę czasu.

- Ile? - zapytała. - Przecież już ogryzłam wszystkie paznokcie.
- I przestań tak często dzwonić do inspektora Newton.
- Przepraszam - powiedziała Kate, choć wcale nie czuła się winna. - Tylko nawet nie wiem, czy już ją aresztowali.
- To się nazywa przesłuchiwanie osoby podejrzanej - poprawił ją Blake.
- No tak - przyznała mu rację. - Co się dalej stanie? Każą mi ją zidentyfikować?
- Tak - potwierdził adwokat. - Chociaż to nie będzie takie łatwe.
- Ze względu na pończochę, którą miała na głowie - Kate wpadła mu w słowo.
- To dlatego tyle razy dzwoniłam do Helen Newton, chciałam, żeby zrozumiała, że pamiętam kształt głowy, ruchy ciała...
- Kate, czyżbyś nie słyszała o programie EIOP? - przerwał jej Blake pytaniem.
- Ty jako dziennikarka powinnaś być na bieżąco. To skrót od...
- Elektronicznej Identyfikacji Osób Podejrzanych - tym razem to Kate nie pozwoliła mu dokończyć zdania. Wiedziała, o co chodzi, ale nie przypuszczała, że ten program zostanie wykorzystany w jej sprawie. - Stojącym bez ruchu podejrzanym filmuje się głowę i ramiona, zamiast zapraszać ich przed lustro weneckie.
- Najpierw stają twarzą do kamery, a potem obracają się bokiem, pokazując oba profile - poprawił ją Blake.
- I, niestety, nie wypowiadają ani słowa. - Kate poczuła, że ogarnia ją gniew. - W moim wypadku to zupełnie bez sensu.
- Niezupełnie - zaproponował Blake. - Możesz nie zdawać sobie sprawy, jak wiele zapamiętałaś, a ta Roger może się wyróżniać w jakiś szczególny sposób.
- A co z pończochami? Czy chociaż mogą jej założyć na głowę pończochę?
- Obawiam się, że nie - odpowiedział adwokat.
- Starłam się nie wyobrazić sobie ich prawdziwych twarzy.
- Być może to zadziała na twoją korzyść.

- A jeśli się pomylę? - spytała spanikowana.

- Jeśli wskażesz niewłaściwą osobę, nie będzie to miało znaczenia. Policja uzna, że nie potrafisz zidentyfikować przestępcy.

Kate przez chwilę zastanawiała się w milczeniu.

- Chyba warto spróbować - powiedziała w końcu.

- Jest jeszcze jeden problem. - Blake zawahał się przez chwilę. - Związany z procedurą regulującą takie okazanie. Czas, który upłynął od przestępstwa do identyfikacji.

W przypadku Kate minęło prawie pół roku.

- Do ciężkiej cholery! - wykrzyknęła. - Powiedzą, że już nic nie pamiętam, czy tak?

- Z całą pewnością w trakcie procesu przysięgłym zostanie zwrócona uwaga na czas, jaki upłynął od chwili popełnienia przestępstwa, a przyzwoity adwokat spróbuje podważyć rzetelność identyfikacji. To samo dotyczy czasu, który upłynął, od kiedy świadek obserwował oskarżonego. W twoim wypadku, Kate, trwało to bardzo długo.

- Gdzieś chyba czytałam o identyfikacji głosu. - Kate zastanawiała się głośno.

- Nie przywiązują do niej dużej wagi. Porównuje się przypadkowo nagraną rozmowę telefoniczną - wyjaśnił Blake. - A ty już rozpoznałaś głos Roger i jeśli Newton zechce naciskać na bardziej oficjalną procedurę, obawiam się, że uczepią się klauzuli o upływie czasu. I usłyszałaś ją w telewizji.

Kate zrozumiała natychmiast, o czym mówił prawnik.

- Powiedzą, że skoro usłyszałam Roger dwa razy w telewizji, to musiałam słyszeć ją częściej i się pomyliłam.

- Do tego nie dojdzie - zaprzeczył Blake. - Jeśli tylko prokuraturze uda się dobrze przygotować tę sprawę.

- Co dalej? - zapytała.

- Obawiam się, że trzeba będzie jeszcze poczekać na ciąg dalszy.
- Czy ujawnili prawdziwe nazwisko Roger?
- Dotąd nie.
- A co się stanie, jeśli Roger nie zgodzi się na identyfikację? Ma przecież do tego prawo - przestraszyła się nagle Kate.
- W takim wypadku policja będzie musiała wykorzystać zdjęcia z kartoteki.
- No to kłops - skwitowała cierpko Kate.
- Wątpię, by odmówiła.
- Czy dlatego, że będzie pewna, że jej nie rozpoznam?
- Miejmy nadzieję, że potrafisz ją zaskoczyć - zakończył Blake.

Identyfikacja miała się odbyć w komisariacie. Nie stawił się nikt, kto pracował przy śledztwie.

- Żeby uniknąć niewłaściwych sugestii - wyjaśnił Martin Blake.

Podejrzana nie będzie obecna przy identyfikacji, tylko jej adwokat.

- A ty też tam będziesz? - zapytała z nadzieją Kate.

- Na szczęście nie potrzebujesz obrońcy - odpowiedział Blake.

Na szczęście. Mimo to Kate poczuła się nieznośnie osamotniona.

I znów ogarnął ją strach.

- Nie daj się zjeść - podtrzymywał ją na duchu Rob, gdy stali w komisariacie i czekali na osobę, która miała zaprowadzić ją do sali przesłuchań. Kate zapewniła, że nic złego jej się nie stanie uścisnęła dłoń męża. Niewinne kłamstewko.

Zaprowadzono ją do wyznaczonego pomieszczenia i przedstawiono policjanta odpowiedzialnego za prawidłowy przebieg identyfikacji. Okazał się nim miły

mężczyzna, który poinformował Kate, że wszystko zostanie zarejestrowane i że nie należy się spieszyć, za to powinna się zrelaksować.

Uspokój się, tyle przecież teraz od ciebie zależy, myślała. Pomyślny wynik identyfikacji był ważny nie tylko dla Kate, ale także dla rodziny Moonów.

Podziękowała za wskazówki i za wszelką cenę starała się nie poddawać wspomnieniom.

Zbliżająca się czwórka napastników, wszyscy w ciemnych pończochach na twarzach... Roger trzymająca głowę Kate przyciśniętą do kanapy... Jack klęczący nad Laurie i podcinający jej gardło...

Zachowaj spokój.

Policjant przedstawił Kate oficjalną informację o przebiegu procedury, powiedział, że podejrzana może pojawić się na filmie, ale też może jej tam w ogóle nie być; że Kate musi obejrzeć film przynajmniej dwa razy, a jeżeli zechce, to może obejrzeć cały film lub wybraną część dowolną liczbę razy; i że jeżeli nie rozpozna podejrzanej, to ma o tym powiedzieć.

Kate ogarnął lęk, który sprawił, że chciała stamtąd uciec. Bez maski nie zdoła rozpoznać tej kobiety, to bez sensu. Roger opuści areszt i przestępcy będą mogli obwieścić światu, że wygrali.

I wtedy się zaczęło.

Na ekranie pojawiło się dziewięć zdjęć, jedno po drugim, każde opatrzone numerem. Dziewięć nieznanymi kobiet. A jednak ją rozpoznała.

Zmrużyła oczy, by zamazać nieco obraz, tak jak wcześniej pomyślała. Czuła, że serce jej wali i cierpnie skóra na rękach. Za każdym razem wizerunek Roger pokazywany był w różnej kolejności wśród ujęć innych kobiet, najpierw patrzyła przed siebie, później obrócono jej twarz w prawo, potem w lewo.

Potwór przywrócony do życia.

Kate ze zdumieniem stwierdziła, że Roger jest niezwykle atrakcyjną kobietą. Ciemne, czyste oczy nie zdradzały złego charakteru, figura zupełnie jak u mo-

delki. Kate pamiętała, że wszystkie jej reakcje są rejestrowane, czuła, że się uspokaja, ma jasny umysł i już się nie boi. Postanowiła dołożyć starań, by nikt nie mógł podważyć tej identyfikacji. Otworzyła szeroko oczy i przyglądała się każdemu zdjęciu uważnie, bez pośpiechu, chociaż nie musiała tego robić.

Ponieważ już ją rozpoznała.

Wiedziała, która z tych kobiet zaciągnęła ją do łazienki i ściągnęła jej majtki, by mogła się załatwić, i recytowała te okropności dotyczące późno wykonanej aborcji.

Która z nich pomogła Jackowi zabić Laurie Moon.

Kate nie miała nawet cienia wątpliwości i podała policjantowi numer ujęcia.

* * *

Największym sukcesem związanym z oskarżeniem Roger o uwięzienie dwóch kobiet i współudział w morderstwie Laurie Moon było szybkie dotarcie do Jacka. Prawdziwe nazwisko Roger brzmiało Karen Frost. Okazało się, że nie tylko jest aktorką, lecz także wolontariuszką, która zajmuje się więźniami. Niedawno odwiedziła kapelana w Prison Tayton Park. Każdy ochotnik musi zgłosić nowe więzienie, które zamierza odwiedzić, i przejść szczegółową procedurę. Frost podała, że przeprowadziła się z Reading do miejscowości położonej dziesięć kilometrów od Tayton Park i udzielono jej zgody na wejście do tamtejszego zakładu karnego. Zaraz potem zauważono, że szczególnym zainteresowaniem obdarzyła więźnia o nazwisku Paul Wilson, zatrzymanego w areszcie śledczym za włamanie i ciężkie uszkodzenie ciała.

Kate i Rob zaprosili Michaela i Bel do domu, potem kazali im przysiąc, że dotrzymają tajemnicy i zapoznali starszych państwa z osiągnięciami policji.

- Tamtego nauczyciela nie zamordowano w Tayton Park, prawda? - zapytał Michael.

- Nie. To się wydarzyło w Oakwood - wyjaśniła Kate.
- Policja sprawdza, czy Karen Frost nie była przypadkiem i tam - dodał Rob.
- Nic jej jeszcze nie łączy z Alanem Mitchamem - zauważyła Kate.
- Nie szkodzi i tak mamy tyle wspaniałych wiadomości - powiedziała Bel.
- Najważniejsze, że Helen Newton jest przekonana, że Wilson to albo Prosiaczek, albo Jack.
- I wiemy, że z pewnością to on się do nas włamał - kontynuował Rob. - Przeszukali jego dom i znaleźli nasze zdjęcie z USG.
- Coś takiego! - westchnęła Bel i pociągnęła spory łyk czerwonego wina.
- Wilson twierdził, że to zdjęcie jednego z jego własnych dzieci, ale zaprzeczyła temu jego żona - opowiadała Kate.
- Dobrze się spisała - ucieszył się Michael.
- Poza tym, na zdjęciu była data.
- Do tego czasu policja zdobyła już nakaz przeszukania domu Karen Frost. Zgadnijcie, co oboje mieli ze sobą wspólnego? - zapytał Rob.
- Książkę - odpowiedziała Bel. Kate przytaknęła.
- Newton twierdzi, że u Wilsona nie znaleźli zbyt wielu książek.
- Czy to wystarczy? - zaniepokoił się były prawnik Michael.
- Oczywiście, że nie - uśmiechnął się kwaśno Rob - ale jest coś jeszcze.
- Carol March, Paul Wilson i Karen Frost wychowali się w tym samym sierocińcu w Challow Hall - wyjaśniła Kate. - Około dwunastu kilometrów od Swindon, na skrzyżowaniu z Ridgeway Path.
- Niedaleko od Caisleán - dokończył Rob.
- Och, do diabła! - zaklęła Bel.
- Zakładam, że Wilson to Jack - stwierdziła Kate.

-A dlaczego nie Prosiaczek? - zapytał Michael.

- Nie mam na to mocnych dowodów - odpowiedziała Kate. -Na pewno nie wystarczą w sądzie. - Wzruszyła ramionami. - Po prostu wydaje mi się, że Prosiaczek nie potrafiłby się włamać do cudzego domu. To oczywiście może zostać uznane za nonsens, ale Jack był zdecydowanie okrutniejszy, tak więc uszkodzenie ciała lepiej do niego pasuje.

- A jak ty sobie z tym radzisz, dziecko? - dopytywał się Michael.

- Trochę się denerwuję - przyznała Kate.

- Jest bardzo dzielna - pochwalił ją Rob.

- Czy będzie kolejna identyfikacja? - dociekała Bel.

- Tak sądzę - odpowiedziała Kate, czując, że już zaczyna się niepokoić.

TLR

RALPH

Doświadczenie Ralph podpowiadało jej, że Roger złamie obietnicę i nie powstrzyma się od odwiedzenia Jacka. Ralph wiedziała też, że ani nie zmieni decyzji dziewczyny, ani też nie powstrzyma łańcucha wydarzeń, które po tej wizycie nastąpią.

Wszystko przez tę Kate Turner. Wszystko przez nią.

TLR

KATE

Kolejna identyfikacja przebiegła niemal tak samo, jak w przypadku Roger. Kate przyjrzała się wszystkim zdjęciom, ale wybrała tylko jedno. Jack, jak sądziła, a nie Prosiaczek, który nawet w czerwonym kombinezonie wyglądał na szczuplejszego i słabszego od tamtego. Z fotografii spoglądał na nią pewny siebie, rudowłosa mężczyzna o bladej karnacji, kamiennej twarzy, groźnym spojrzeniu zielonych oczu i zaciśniętych ustach.

Typowy sadysta, pomyślała Kate.

Jednak nie kierowała się w swoim wyborze cechami twarzy tego mężczyzny, lecz swoimi przeżyciami. Doskonale pamiętała jego niebezpieczną bliskość, uderzenia w twarz, groźby, wleczenie po schodach i krępowanie.

Chciał jej odebrać życie.

„Żałuję, że nie mogę cię zabić, tu i teraz”, dudniły jej w głowie słowa, których nigdy nie zapomni. Tak samo jak nie zapomni mordercy Laurie Moon.

Było jeszcze coś innego, co sprawiło, że rozpoznanie okazało się tak łatwe. Sposób, w jaki ten człowiek patrzył w obiektyw w czasie robienia zdjęć. Kate zdawało się, że spoglądał prosto na nią. Z czystą nienawiścią wlepił oczy w kobietę, która zabiła jego przyjaciółkę. Wyglądało to tak, jakby chciał, aby go wskazała. Kate obejrzała film w całości trzy razy. Miała pewność, że się nie myli. Wskazała numer i powiedziała, że to Jack. A potem modliła się z całych sił, by mężczyzna został uznany za winnego.

Jak się później okazało, Jack miał na imię Paul, bo tak nazwano noworodka porzuconego na parkingu przed supermarketem. Nazwisko Wilson otrzymał po

jednej z pielęgniarek, która miała dyżur na pediatrii w szpitalu Bristol Royal, gdzie trafił.

Historie życia Wilsona, Frost i Marsh nie należały do najweselszych. Wszyscy mieli nieszczęśliwe dzieciństwo. Zapewne to samo dotyczyło Prosiaczka, kimkolwiek był i gdziekolwiek się teraz znajdował. Stawało się też coraz bardziej prawdopodobne, że używanie tych samych pseudonimów w każdej sprawie, obsesja na punkcie jednej książki i prowadzenie przerażających gier mogły mieć swój początek w latach dzieciństwa spędzonych w sierocińcu.

- Może myśleli, że nawet fikcyjne postaci są lepsze od nich samych - zastanawiała się Kate.

Gdy rozmawiała z policją czy Martinem Blakiem, używała prawdziwych nazwisk złoczyńców, ale nigdy tak o nich nie myślała.

Dla niej na zawsze już zostaną Jackiem, Roger i Simon.

RALPH

Zatrzymanych członków grupy czekał proces. Roger osadzono w więzieniu Stonebridge, Jack pozostał w Tayton Park, gdzie siedział pod zarzutem włamania i pobicia. Rozdzieleni blisko dwustu kilometrami, zamknięci nie wiadomo na jak długo, byli teraz pozbawieni pomocy Ralph. Obawiała się, że tak już zostanie na zawsze.

- Co możemy zrobić? - dopytywał się przez telefon zrozpaczony Prosiaczek.
- Nic - odpowiadała Ralph. - Niczego nie możemy zrobić.
- Wiesz dobrze, że nie stosuję przemocy, ale chyba mógłbym zabić tę sukę - mówił Prosiaczek.
- Obiecuj mi - gniewnie rzuciła Ralph - że nie zrobisz żadnego głupstwa.
- Obiecuję.
- Jeśli i tobie coś by się stało, zostałabym całkiem sama - przekonywała go.
- W porządku - odpowiedział Prosiaczek. - Nie musisz się tym martwić. Ja po prostu nie mogę przestać myśleć o tym, jak oni sobie tam poradzą.
- Dadzą radę, bo nie będą mieli innego wyjścia - zapewniła go Ralph.

KATE

Kate nie mogła przestać myśleć o tym, gdzie teraz mógł się znajdować Prosiaczek. Zespół policjantów, którym kierowała inspektor Newton, starał się odnaleźć pracowników Challow Hall, którzy mogli pamiętać czwarte dziecko, a może nawet i piąte, biorąc pod uwagę fakt istnienia przywódcy, osoby szczególnie drogiej Marsh, Wilsonowi i Frost. Jednak do tej pory poszukiwania nic nie dały. Może, jak sądziła Kate, nikt nie zwracał wtedy uwagi na nieszczęsne sieroty. Wiedziała jednak, że te dzieci zwracały uwagę na siebie nawzajem.

Przypomniała sobie, jak Prosiaczek pogładził włosy Simon po zdjęciu z jej martwej twarzy pończochy. Zrozumiała wtedy, że kochał tę dziewczynę i że najprawdopodobniej to Simon - Carol Marsh - była jego słabą stroną.

-I dlatego jestem przekonana, że będzie próbował odwiedzić jej grób - mówiła do Helen Newton.

Ta odpowiedziała jej, że nawet nie wie, czy tam był, ponieważ teren nie jest monitorowany, a ona nie może codziennie posyłać ludzi na cmentarz.

- Wygląda na to, że policja straciła zainteresowanie tą sprawą - żaliła się Kate przez telefon Blake'owi. - Jakby im wystarczyło, że zatrzymali pozostałą dwójkę.

- Nie zgadzam się z tobą - zaprzeczył szybko prawnik. - Szczególnie teraz, gdy rodzice Laurie Moon zaczęli wywierać na nich presję.

- Czy sądzisz, że Jack i Roger zdradzą prawdziwą tożsamość Prosiaczka? Może trzeba zaproponować im jakiś układ?

- Chyba powinno się to rozważyć - zgodził się Blake.

- On mi w ogóle nie pomaga - skarżyła się Kate mężowi przy kolacji.

- Przypuszczam, że niewiele może zrobić - bronił prawnika Rob, po czym podniósł widelec z makaronem, spojrzał na nią i odłożył go z powrotem na talerz. - To znaczy, że przesłuchania rozpoczną się znowu albo policja wejdzie w układ z już zatrzymaną dwójką przestępców.

- Oni nie wydadzą Prosiaczka - stwierdziła stanowczo Kate.

- Nie możesz być tego aż tak pewna - oponował Rob.

- Mogę - upierała się. - Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale wiem, czuję to, że za nic w świecie nie zdradzą się nawzajem.

- Cóż za poczucie honoru wśród złoczyńców - ironizował Rob.

- Morderców - poprawiła go Kate.

- Cieszę się, że ty to powiedziałaś. - Rob dolał im obojgu czerwonego wina. - Chyba nie zaczynasz podziwiać tych łobuzów?

- Nigdy w życiu - odparła zdecydowanie. Znowu stanęła jej przed oczami śmierć Laurie Moon.

* * *

Kate w końcu pogodziła się z sytuacją. Lepiej już przecież być nie mogło. Za włamanie i pobicie Jack został skazany na dziesięć lat więzienia.

Tak więc jedna porywaczka nie żyła, a dwoje pozostałych czekało na proces.

Kate zdała sobie również sprawę, że jej cykl felietonów w gazecie dożywa swoich dni. Przeżycia w Caisleán, a także doświadczenie ze śledztwa nie pozwalały jej już z taką łatwością dzielić się swymi przemyśleniami z czytelnikami, jak to było do tej pory. Napięcie, w którym żyła, zaczynało odciskać swoje piętno na „Zapiskach” i Kate zrozumiała, że Fireman wkrótce będzie zmuszony z niej zrezygnować.

Dlatego też w lipcu postanowiła powiedzieć szefowi, że zdecydowała się napisać biografię Claude'a Duvala, francuskiego rozbójnika, który podobno miał dom w Sonning-on-Thames, gdzie, jak głosiła plotka, mieszkała też ciotka Dicka Turpina.

- To dziwne, że zaczynają cię fascynować łajdacy - powiedział Fireman.

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczyła Kate. - Może był uwodzicielski i czarujący, ale terroryzował i okradał podróżnych, i mogę cię zapewnić, że nie zamierzam go przedstawiać jako szarmanckiego romantyka.

Rob także zmienił zainteresowania, zachęcony do tego przez pracującą w jego szkole, przykutą do wózka inwalidzkiego koleżankę. Maria Coates w wolnym czasie pomagała niepełnosprawnym dzieciom podczas hipoterapii prowadzonej w Lambsmoor Farm na południe od Blewbury.

- To mała, niezależna grupa - opowiadał Rob. - Marie zaproponowała, żebym przyjechał w którąś sobotę i zobaczył, czy mi się to spodoba.

- To świetny pomysł - podchwyciła Kate. - To przecież tak blisko.

- Czy naprawdę tak sądzisz? - dopytywał się Rob.

- Oczywiście - potwierdziła. Wiedziała, że jej nie dowierza i nie lubi zostawiać jej samej w domu na dłużej. Uznała jego zachowanie za śmieszne i postanowiła z tym skończyć, zanim sprawa wymknie jej się spod kontroli. - Rob, naprawdę nie mam nic przeciwko temu pomysłowi.

- Gdybyś lubiła jazdę konną, moglibyśmy...

- Niestety nie lubię - przerwała, uśmiechając się. - I bardzo mi się nie będzie podobać, jeśli odrzucisz propozycję pracy, do której po prostu jesteś stworzony.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Kate dostrzegła radość w oczach męża i wiedziała, że Rob mówi prawdę.

- Poza tym, jestem bardzo zajęta - przekonywała go. - Mam zaległości w „Zapiskach”, a do tego trzeba zacząć zbierać materiały do pracy o Duvalu. Musisz

się też zgodzić, że czas najwyższy wrócić do normalnego życia, przynajmniej do czasu rozprawy.

Mówiła tak, chociaż wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie, póki proces się nie zakończy.

W czasie sierpniowej wizyty w Londynie Kate poszła na cmentarz przy kościele Covent Garden, gdzie pochowano Claude'a Duvala. Patrzyła na datę urodzin rozbójnika i jej myśli popłynęły w stronę innych dat, które zapamiętała. Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że za dwa dni będą urodziny innej osoby. Zatelefowała do Helen Newton. Została przełączona do Bena Poultera.

- W środę są urodziny Carol Marsh - powiedziała.

- Wiemy - odpowiedziała Poulter.

- Czy to znaczy, że będziecie obserwować, czy Prosiaczek przyjdzie na cmentarz?

- Zrobimy, co się da - odpowiedział Poulter.

- Ale co to znaczy? - dążyła Kate, chcąc poznać szczegóły. - Musicie czekać na niego cały dzień, a nie tylko od czasu do czasu wysłać patrol.

- Jak już powiedziałem, pani Turner, zrobimy, co w tyłko w naszej mocy - nie poddawał się sierżant.

- Helen Newton nigdy do mnie nie oddzwania - poskarżyła się następnego wieczoru Robowi, krzając się po sypialni. - Czuję przez skórę, że wszystko sknoć.

- Jestem o tym przekonany - zgodził się Rob. Kate zatrzymała się i zapytała.

- A ty skąd to wiesz?

- Ponieważ Helen Newton zadzwoniła do mnie dziś po południu i...

- Nic mi nie powiedziałaś - rzuciła oskarżycielsko Kate.

- Poprosiła - ciągnął niezrażony Rob - abym cię jutro czymś zajął, na wypadek gdybyś wpadła na dziki pomysł i pojechała sama obserwować grób Marsh.

- Czy powiedziała, że się tym zajmą?

- Nie zdradziła mi szczegółów. Prosiła, bym im zaufał.

- Coś podobnego - zdziwiła się Kate.

- Dokładnie tak powiedziała.

Kate przystanęła na chwilę i siadając na łóżku, powiedziała:

- Lepiej więc czymś mnie zajmij.

Środa wlokła się w nieskończoność.

- Może tylko przejedziemy się niedaleko? - zaproponowała około jedenastej Kate.

- Nie, nie przejedziemy się - odpowiedział Rob. - Tego za wszelką cenę chce uniknąć Newton. A jeśli właśnie wtedy zjawi się Prosiaczek, a my go spłoszymy?

Kate z niedowierzaniem uniosła brwi.

- Zaufaj policji - perswadował jej mąż.

Po lunchu Rob został, aby zapłacić rachunek. Przypuszczał, że Kate siedzi w pokoju i pracuje nad książką o Duvalu. Nagle zauważył żonę, idącą po schodach, z kluczami w dłoni.

- Mogłabym skłamać i powiedzieć, że zabrakło nam mleka.

- Kate, proszę. - Rob podniósł się i wszedł do holu. Potrząsnęła głową i powiedziała:

- Tylko jedna rundka wokół cmentarza, po to, żeby sprawdzić, czy naprawdę tam są.

Rob popatrzył w nachmurzone, brązowe i zdecydowane oczy żony.

- Pojedziemy moim wozem - oświadczył.

* * *

Przy cmentarnej bramie znajdowało się skrzyżowanie ze światłami.

- Wspaniale - ucieszyła się Kate, gdy zobaczyła czerwone światło, a Rob zwolnił, by zatrzymać samochód przed przejściem dla pieszych.

Mężczyzna z bukietem kwiatów szedł w ich stronę.

- Nie patrz na niego - powiedział Rob.

- To nie ma znaczenia. To nie Prosiaczek. - Rozglądała się dookoła, wykręcała szyję i potrząsała głową. - Nie widzę policjantów, chyba w ogóle ich tu nie ma.

- Może ten facet z kwiatami jest z policji - podsunął Rob.

Kate mruknęła z powątpiewaniem. Światła zmieniły się na zielone.

- Objedźmy cmentarz jeszcze raz - poprosiła.

- Mówiłaś, że tylko jeden...

- Proszę.

Rob westchnął i ruszył powoli.

- Dobrze, ale tylko raz. Zadzwoił telefon komórkowy.

- W mojej kieszeni - poinstruował Rob żonę. Kate wyjęła aparat i nacisnęła guzik.

- Telefon Roba Turnera, zgłosiła się pani Turner.

- Kate, mówi Helen Newton.

- To Newton - szepnęła Kate do ucha Robowi.

- No to ładnie.

- Zdaje się, że miało was tu nie być. Pora przestać się zachowywać jak para narwanych szczeniaków i wrócić do domu - oświadczyła policjantka.

- Powiedz jej, że już odjeżdżamy - szepnął Rob.

- Natychmiast! - zakomenderowała szorstko Newton.

- Ona nas obserwuje - zdziwiła się Kate.

Rob przyspieszył nieco i odjechał spod głównej bramy cmentarza.

- A jeśli on przyjdzie? - zapytała Kate. - Będziecie mnie potrzebować, żebym go rozpoznała.

- Jeśli pojawi się ktoś, kto może być Prosiaczkiem, to sami sobie poradzimy. We właściwy sposób, Kate - zapewniła ją Newton. - Powiedz Robowi, żeby skręcił w lewo.

Kate powtórzyła polecenie.

- Dobrze - pochwaliła ich Turner. - Zadzwoń, gdy tu skończymy.

- Kiedy możemy się spodziewać... - Kate zorientowała się, że po drugiej stronie nikogo już nie ma.

Cmentarz zamknięto ponad pięć godzin temu. Rob przygotował kolację i obserwował żonę, która nie mogła ani jeść, ani się uspokoić. Pogodził się też z czekającą go bezsenną nocą, gdyż Kate uznała, że pozostający na wolności przestępca za nic będzie miał zamkniętą furtkę czy kamienny mur.

- Pewnie im się nie uda, co? - zapytała cicho tuż po jedenastej.

- Nie wiem - odpowiedział Rob. - Przecież ciągle jeszcze są urodziny Simon.

- Jak sądzisz, czy policja nadal obserwuje cmentarz?

- Zapewne. - Wzruszył ramionami. - Łatwiej im się teraz schować w tych ciemnościach.

- Pewnie wysłali tylko jednego, biednego posterunkowego, który siedzi w krzakach przy grobie.

- Kto wie? - odpowiedział Rob. - Ale nie zawieziemy mu termosu z gorącą kawą.

- Wiem, że nie - uśmiechnęła się Kate.

Ponieważ sen nie nadchodził, telefon, który o pierwszej piętnaście zadzwonił w sypialni, wcale ich nie obudził. Rob odebrał, wysłuchał wiadomości i podał słuchawkę żonie.

Dłoń Kate leciutko drżała.

- Przyszedł - oznajmiła Helen Newton.

Rob zapalił lampki na nocnych szafkach. Oczy mu błyszczały z podniecenia.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć - poprosiła Kate z bijącym sercem.

- Przeszedł przez mur po zachodniej stronie za dwadzieścia dwunasta. Poszedł prosto do grobu, ukląkł i zaczął płakać - mówiła Newton. Kate nie mogła wykrztusić ani słowa. - Powiedział nam już wystarczająco dużo, byśmy mogli stwierdzić, że to nasz podejrzany.

- Czy to znaczy, że się przyznał? - zapytała Kate. Rob wstał i patrzył wyczekująco na żonę.

- Jeszcze nie - odpowiedziała policjantka.

Kate pokręciła przecząco głową i Rob znów się zasmucił.

- Przypuszczam, że minie sporo czasu, zanim będę mogła powiedzieć coś więcej - dodała Newton. - Chciałam jednak, abyście wiedzieli, że go mamy.

-Bardzo dziękuję - powiedziała Kate.

-Cała przyjemność po mojej stronie - Newton zawiesiła głos. - Wiem, że to trudne, ale musisz uzbroić się w cierpliwość.

-Jesteśmy już coraz bliżej celu i tylko to się liczy - odrzekła Kate.

* * *

-Jeszcze jeden w areszcie - odezwała się Kate, gdy po godzinie wrócili do łóżka z czerwonym winem i pizzą, gdyż wcześniej oboje stwierdzili, że są okropnie głodni. - Został jeszcze szef.

-Jestem pewien, że pozostali wkrótce go wydadzą - odparł Rob.

-Dlaczego się upierasz, że to mężczyzna? - zapytała Kate. Kiedyś Rob powiedział jej, że ktoś, kto wysyła innych do odwalenia brudnej roboty, musi być beznadziejnym tchórzem.

-Nadal twierdzę, że kobiety, generalnie, są odważniejsze od mężczyzn - powiedział. Kate wzruszyła ramionami i przysunęła się do niego. - A teraz mamy ważniejsze rzeczy na głowie.

-Takie jak stygnąca pizza.

-Chrzanić pizzę - mruknął Rob i pochylił się nad żoną.

RALPH

Ralph zdawała sobie sprawę z tego, że Prosiaczek już dłużej nie wytrzyma. Zmusiła go, by obiecał, że nie zrobi nic głupiego, wspomniała nawet o urodzinach Simon, a on powiedział, żeby się nie martwiła. Głupi, zakochany chłopak.

Będą go nazywać Edward Booth.

Zawsze wiedziała, jak bardzo Prosiaczek kochał Simon i teraz zastanawiała się, czy policja go złapie. Może zresztą właśnie o to mu chodziło?

Została całkiem sama. Straciła wszystkie dzieci.

Przy życiu trzymała ją tylko nienawiść.

I popychała ją do działania.

KATE

Świat Kate skończył się wraz z odebraniem właśnie telefonem.

Było wrześnie popołudnie, minęła siedemnasta czterdzieści trzy.

Rob pojechał pierwszy raz jako pomocnik do Lambsmoor Farm. Wcześniej był tam dwa razy, ale w charakterze obserwatora. Rano, przed wyjściem, powiedział jeszcze:

-Może w ogóle nie będę jeździł. Każde dziecko ma opiekuna, który prowadzi kucyka, i jeszcze jednego lub nawet dwóch, którzy idą obok, by uniknąć wypadku.

Kate ogromnie się to spodobało.

-Może to w końcu jest coś, co mogłabym czasami wspólnie z tobą robić. Oczywiście, dopóki nie musiałabym dosiąść konia.

-Nie musiałabyś - odpowiedział, bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy.
- Chciałbym, byś tam ze mną jeździła.

- To się nie stało podczas zajęć z dziećmi - informował przez telefon roztrzęsiony Mack, organizator zajęć. - To się wydarzyło później, gdy Rob i jeszcze inna osoba jeździli po Lambsmoor Hill. - Kate usiadła w kuchni i położyła lewą dłoń na blacie stołu. - Koń naszej koleżanki się spłoszył i pani mąż popędził na pomoc. Jego klacz straciła grunt pod nogami i upadła.

Kate patrzyła na ślubną obrączkę na palcu i żyły pod skórą.

-Czy z Robem wszystko w porządku? - zapytała spokojnie. Wiedziała, że za chwilę wszystko straci. Już wszystko straciła. - Proszę mi powiedzieć prawdę.

- Pani mąż został zmiażdżony przez konia.

Krew zaczęła jej pulsować w żyłach, wypełniła szumem głowę i wtargnęła wprost do duszy. Dłoń zsunęła się ze stołu i Kate zacisnęła palce na krawędzi blatu, aby nie spaść z krzesła.

- Czy żyje? - zapytała w końcu.

- Niestety, nie - odpowiedział Mack. - Bardzo mi przykro, pani Turner.

Twarz Roberta nie miała ani jednego zadrapania. Była spokojna i pogodna. Wyglądał, jakby spał. Jakże mylący widok. Ojciec trzymał Kate za rękę, gdy walczyła z bolesną rzeczywistością, chcąc przedłużyć w nieskończoność ostatnie chwile z ukochanym.

Jeszcze trochę, jeszcze nie teraz.

Michael rozkleił się całkowicie. Jego wilgotne oczy potwierdzały to, czego Kate nie chciała przyjąć do wiadomości. Mimo że widziała przed sobą ciało męża, miała wrażenie, że bierze udział w jakimś nierealnym przedstawieniu.

Była w takim stanie, że nawet nie mogła zapłakać.

Zgromadzeni byli bardzo uprzejmi i nie ponaglali Kate.

Ktoś podszedł do niej w sprawie przekazania ciała. Kobieta w ciemnym kostiumie, o popielatych włosach i smutnych oczach. Kate usłyszała słowo „tkanka” i spytała:

- A co z jego organami? Rob podpisał zgodę.

Kate rozumiała, co mówi ta kobieta, ale wszystko działo się w dziwnym, niedostępnym świecie, zupełnie jakby rozmawiały o kimś obcym.

- Serce pani męża przestało bić, zanim dotarli do niego ratownicy medyczni - wyjaśniła nieznajoma. - Oznacza to, że jego narządy, niestety, nie nadają się do przeszczepu. Ale tkanki i kości można pobrać do dwudziestu czterech godzin po ustaniu pracy serca.

- Rozumiem - odrzekła Kate. - Dobrze.

I wtedy, ku swojemu przerażeniu, zrozumiała, co lekarze muszą zrobić jej mężowi, by wypełnić jego ostatnią wolę. I chociaż śmierć Roberta ciągle do niej nie docierała, to obraz narzędzi chirurgicznych przecinających ukochane ciało stał się tak realny, że zapragnęła wyć.

- Kate, proszę - powiedział Michael stanowczym tonem.

- Czy mógłbyś mnie stąd zabrać? - zapytała nieswoim głosem ojca.

- Czy nie chcesz...

- Chodźmy już stąd.

* * *

Dni płynęły jeden za drugim. Przy Kate cały czas ktoś był: rodzice, znajomi, Abbey Wells, która przyleciała z Brukseli, gdzie teraz pracowała, oraz inne koleżanki i przyjaciele. Przychodzili też znajomi policjanci, Richard Fireman, Martin Blake, sąsiedzi, z których istnienia nawet sobie nie zdawała sprawy. Wszyscy chcieli pomóc i obchodzili się z nią niezwykle delikatnie. A ona szczerze ich nienawidziła. Chciała, żeby zostawili ją w spokoju razem z tym, co pozostało po Robie.

Kate wspominała, jak pogodziła się z mężem, i niezmiernie żałowała, że tak krótko cieszyli się swoim nowym życiem. Zdawało jej się, że Robert nie odszedł całkowicie, bo przecież wciąż czuła w domu jego obecność. To dlatego chciała być sama, by mogła cieszyć się obecnością męża, póki jeszcze mogła. Cieszyć się nim samym.

* * *

Bel zamieszkała u córki. Spała, gotowała, karmiła ją nawet - i to lepiej niż w dzieciństwie.

- Przecież sama mogę to zrobić - Kate broniła się, jak mogła.

- Masz na to jeszcze mnóstwo czasu - odpowiadała matka.

- Opieka nad tobą pomaga Bel - wyjaśnił ojciec. - Jeśli więc tylko możesz to znieść...

- Tak. Oczywiście.

Dlaczego miałyby się nie godzić na pomoc, stwierdziła otepiała. Właściwie to było jej wszystko jedno. Niech przygotowują jedzenie, którego nie da rady zjeść, niech pilnują, czy położyła się spać, choć nie mogła zasnąć. Ani siedzieć z odwiedzającymi ją ludźmi i słuchać tego, co opowiadają o Robie. Rodzice nie naciskali jej, póki nie doszło do przygotowań do pogrzebu.

- Zróbcie, co uważacie za stosowne - powiedziała.

- Musisz wziąć w tym udział - odrzekła Bel.

- Chcemy, żebyś była zadowolona - poparł ją Michael. - Zrób to dla Roba.

- On i tak się nie dowie - odparła Kate.

Wrażenie, że Rob ciągle z nią jest, to uczucie, które rozpaczliwie chciała zatrzymać, powoli znikało, rozmywało się wśród tych ludzi, którzy także ją kochali. Kiedy zniknie na dobre, już nic po Robie nie pozostanie.

Przygotowania do pogrzebu nic dla niej nie znaczyły.

To tylko rytuał.

* * *

Marie Coates, koleżanka z pracy Roba, która zaproponowała mu udział w zajęciach w Lambsmoor Farm, odwiedziła Kate tydzień po pogrzebie. Zastała ją samą w domu, ponieważ Bel przed dwoma dniami nareszcie wyjechała z powrotem do Henley.

- Nie chciałam przeszkadzać wcześniej - powiedziała przybyła, gdy Kate pomogła jej przejechać wózkiem inwalidzkim przez próg, a potem wjechać do salonu.

Marie dobiegała pięćdziesiątki. Miała krótkie, posiwiałe włosy i miłe szaroniebieskie oczy. Była ubrana w błękitny sweter

I staromodną, tweedową spódnicę zakrywającą kolana.

- Pani mi nie przeszkadza - grzecznie odpowiedziała Kate.

Nadal żyła niczym automat. Nie pozwalała sobie rozpamiętywać straty, tego, ile miesięcy stracili na niepotrzebne kłótnie. Ludzie jeszcze ją odwiedzali, ale i to wkrótce się skończy. Podenerwowani odbijali się od muru, którym się otoczyła, przestraszeni, że być może to oni właśnie przebiją się przez niego i uwolnią drżącą rozpacz.

- Nie przyszedłam na pogrzeb, sądziłam bowiem, że nie chciałaby mnie pani tam widzieć.

- Dlaczego? Przecież przyjaźniła się pani z Robem.

- To wszystko przeze mnie - odpowiedziała Marie. - Dlatego teraz przyszedłam. Chciałam prosić o wybaczenie.

- To był wypadek.

- Robowi nic by się nie stało, gdybym go nie namówiła na przejażdżkę.

To akurat była prawda.

- On sam chciał tam pojechać - odrzekła Kate, wiedząc, że nieuprzejmość nie przywróci go do życia. Poza tym, Rob naprawdę palił się do nowego zajęcia.

- Czy powiedziano pani, że to mnie spieszył z pomocą? Kate wolała, by kobieta zamilkła, gdyż uprzejmość,

na jaką się zdobyła, miała swoje granice. Od chwili, gdy dowiedziała się, że Rob zginął przez własną odwagę, życzyła tej kobiecie, by zmarła zamiast Roba. Zdołała jednak powiedzieć:

- To nie pani wina. - Tu wyczerpała się jej wspaniałomyślność. Nagle zdała sobie sprawę, że twarz Marie Coates wydaje jej się znajoma. - Czy my się już nie spotkałyśmy?

Może kiedyś w szkole, chociaż rzadko tam zaglądała. Nie mieli w zwyczaju czekać na siebie po pracy. Rob wspominał, że Marie Coates pracuje w sekretariacie, więc i tak pewnie robiła to w innych godzinach, Kate nie miała więc szansy, by ją tam spotkać...

- Krótko - odpowiedziała Marie Coates. - Na spotkaniu grupy terapeutycznej kilka miesięcy temu w Reading.

- To pani prowadziła spotkanie, kiedy... - przypomniała sobie Kate.

— Gdy jedna z uczestniczek tak brzydko się zachowała w stosunku do pani - dokończyła Marie Coates.

—A pani interweniowała. Bardzo dziękuję.

—Na tym polega moja praca.

Dopiero teraz do Kate dotarło, że Sandi West także przyszła na pogrzeb i powiedziała kilka oklepanych słów pocieszenia, zapewne z dobrego serca. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie czuje już niechęci do Sandi ani do Delii, która też się tam zjawiała. Ale wszystko to było dla Roba, więc może po prostu bardzo się starała. Uprzejmie zaproponowała herbatę, nagle nie chciała już, by ta kobieta szybko i nieodwołalnie ją opuściła.

—Wydawało mi się, że matka powiedziała, że ma pani na imię Mary.

—Tak mnie nazywała Bel - wyjaśniła Marie Coates. - Inna uczestniczka spotkania też tak do mnie mówiła, a ponieważ nie chciałam jej poprawiać, tak już zostało. - Uśmiechnęła się i dodała: - To nie ma znaczenia.

Kate wbrew sobie przyznała, że polubiła tę kobietę i zrozumiała, dlaczego Rob tak ją podziwiał. Zręczność, z jaką poruszała się na wózku, i jej taktowne zachowanie sprawiały, że kalectwo stawało się niezauważalne, zupełnie traciło znaczenie. Wydawała się spokojna, rozsądna i szczerą. To zapewne bardzo jej się przydawało w pracy z dziećmi.

—Musi pani być dumna z pracy z niepełnosprawnymi dziećmi? - zapytała.

—Bardzo - odpowiedziała Marie. - Rob wspominał mi, że nie lubi pani koni.

—Lubię na nie patrzeć, ale jazda na nich mnie przeraża.

—Nie jest pani w tym osamotniona.

—Dlatego nie było mnie wtedy z Robem.

—A on nie musiał ze mną jechać.

—To nie ma już znaczenia. - Kate pokręciła głową.

—Żadnego - zgodziła się Marie.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę o Robie. Kate dowiedziała się, jak bardzo Marie go lubiła, i to podniosło ją na duchu.

Ostatnio dom pełen był ludzi, którzy Roba lubili i szanowali, ale nikt nie potrafił dotrzeć do Kate. Marie Coates miała jednak w sobie coś wyjątkowego, jak sam mówił.

- Mam nadzieję, że wie pani o tym, że go pani uszczęśliwiła - powiedziała Marie z wielką delikatnością.

Inni też tak mówili, ale teraz te słowa rozdarły ochronną skorupę i wydobyły na powierzchnię łzy.

- Przepraszam - tłumaczyła się Kate, ocierając twarz.

- Nie ma za co.

- Rzadko płaczę.

- Proszę nie wstrzymywać łez. Już go pani nie straci. Kate nie wiedziała, skąd jej gość to wie. Dlatego tak starała

się nie rozkleić, zupełnie bezpodstawnie bojąc się, że Rob ostatecznie ją opuści i zniknie nawet wrażenie jego obecności w domu.

Było jeszcze coś, co Kate skrzętnie przed wszystkimi skrywała.

Ich wspólny sekret, choć on o tym nie miał pojęcia. Lecz teraz już wie, bo wyszeptała mu go tysiące razy w samotności.

Kate postanowiła teraz zdradzić ten sekret właśnie Marie. Nieznajomej kobiecie, zupełnie obcej, choć nie powiedziała jeszcze nawet rodzicom. Być może pomyślała o wyjawieniu tajemnicy, ponieważ Marie Coates była przyjaciółką Roba, a może dlatego, że rozmawiała z nim ostatnia.

- Jestem w ciąży - wyznała Kate.

Była mniej więcej w piętnastym tygodniu.

Przed śmiercią Roba niczego nie podejrzewała. Po wydarzeniach w Caisleán, zapewne z powodu przeżytego szoku, miesiączki stały się nieregularne. Nie mógł tego ustabilizować krótki okres wspólnego, spokojnego życia, który potem nastąpił. Później zrozumiała, że brak napięcia przedmiesiączkowego powinien zwrócić jej uwagę. Lecz uznała, że to tak, jak z pokonanym bólem, o którym nie chce się myśleć. Kate żałowała niezmiernie, że Rob nie wiedział.

- Żadnych testów - poinstruowała ginekologa i położną. - Żadnych badań prenatalnych, a jeżeli już będzie trzeba jakieś zrobić, to nie chcę znać wyników.

Była nieugięta. Robiła wszystko, by uchronić dziecko, nie chciała szukać kłopotów. Nikt, za nic na świecie, nie namówiłby jej do usunięcia ciąży. Ta decyzja nie była spowodowana wydarzeniami w Caisleán. Kate nie akceptowała fanatyzmu przestępców, choć sprytny adwokacina mógł to wykorzystać w ich obronie. Zrobiła tak wyłącznie dla Roba. Dziecko miało przyjść na świat w połowie marca.

Ich małeństwo.

* * *

Wszczęte wkrótce po śmierci Roba dochodzenie zakończono w listopadzie. Raporty wstrząsnęły Kate bardziej niż pogrzeb.

Podświadomie nie pozwalała sobie na rozpacz. Na początku dla własnego dobra. Również dlatego, że wydarzenia w Caisleán nauczyły ją, że można wyłączyć przerażenie, odepchnąć je daleko i nie pozwolić, by nas ogarnęło. Potem, kiedy dowiedziała się o ciąży, uruchomiła ten sam mechanizm dla dobra dziecka, dla jego ochrony i zdrowia.

Lepiej by było, gdybyś się otworzyła, doradzali życzliwi.

Nie wierzyła im.

Kiedy przyjechała na rozprawę do biura koronera, wydawało jej się, że szok już dawno minął. Ale gdy słuchała zeznań Marie Coates i ratowników medycznych, opisujących obrażenia Roba, czuła się, jakby ten koszmar odkryto przed nią po raz pierwszy. Siedzący obok Michael pocieszał ją:

- Już niedługo się skończy.

Tylko wtedy, gdy pogrzebię to wszystko głęboko i nie będę do tego wracać, pomyślała.

Wyrok można było z łatwością przewidzieć. Śmiertelny wypadek, za który nikt nie ponosił winy.

Odczucia Kate okazały się bardziej skomplikowane. I to nie tylko te związane z Marie Coates, której była za wszystko wdzięczna, oczywiście z wyjątkiem roli, jaką ta odegrała w śmierci Roba. Przyjaźń Marie przyszła we właściwej chwili. Kate udzielała się towarzysko o tyle, o ile było ją stać. Nigdy nie była zbyt otwarta i miała więcej znajomych niż przyjaciół.

- Nigdy nie przeceniaj dobrej, kobiecej przyjaźni - radziła matka.

Kolejny przykład matczynej mądrości. A w dwudziestym drugim tygodniu ciąży odczuwała wszechogarniającą wdzięczność również w stosunku do Bel.

W tydzień po przesłuchaniach dotyczących wypadku Roba o dziewiątej trzydzieści zadzwonił Martin Blake. Poinformował, że proces rozpocznie się jedenasteo lutego i zapewnił, że na tak wczesnym etapie Kate nie musi się do niczego przygotowywać. Zaraz potem zatelefonowała Bel, pytając, czy Kate słyszała już, co przytrafiło się Marie Coates.

- Straszny pożar zniszczył jej mieszkanie. Wszystko poszło z dymem.

- Nic jej się nie stało? - zapytała Kate.

- Na szczęście nie. Nie było jej wtedy w domu, ale możesz sobie wyobrazić, jak się teraz czuje.

Kate z pewnością potrafiła to sobie wyobrazić. Takie nieszczęście musiało być okropne dla zdrowej osoby, a co dopiero mówić o kalece. Zapewne miała w domu zainstalowany specjalny sprzęt, a dostosowanie mieszkania do jej potrzeb musiało trwać bardzo długo... W dodatku strata dotknęła osobę tak niezależną jak Marie. Kate pod wpływem impulsu zapytała:

- Ciekawe, co by powiedziała na zamieszkanie ze mną?

- Czy nie powinnaś tego przemyśleć? To poważna sprawa.

- Wiem, ale mamy dodatkowe łóżko w gabinecie. - Ze zdziwieniem zauważyła, że słowo „my” ciągle jeszcze wypierało „ja”. - Jest też prysznic na dole, więc wszystko powinno grać. Przynajmniej w teorii.

- Sądziłam, że chcesz pomieszkać sama - odrzekła Bel.

Kate wyczuła w jej głosie odrobinę sarkazmu i przypomniała sobie, ileż to razy odrzucała propozycje matki, by na czas ciąży zamieszkały razem.

- To przecież wyjątkowa sytuacja.

- To miło z twojej strony, że wyszłaś z taką propozycją. Musisz jednak być całkowicie pewna, że dasz radę. Mieszkanie z osobą niepełnosprawną może okazać się trudne. Widzę jednak, że już się zdecydowałaś.

- Przecież ona może odmówić - broniła się Kate.

- Biorąc pod uwagę to, jaką ma o tobie opinię, szczerze w to wątpię - odpowiedziała Bel.

* * *

Nadeszła kolejna Gwiazdka. Tym razem święta były ponure i szczęśliwie szybko przeminęły. Kate czuła, że ta odrobina spokoju, który jej się udało wypracować, znów bezpowrotnie się rozpada.

Żałoba, ciąża i czekanie na proces, mający się rozpocząć za nieco ponad miesiąc, wszystko to sprawiało, że nie czuła się najlepiej. Praca nad biografią Duvala nie posuwała się naprzód, a w połowie grudnia szef poinformował Kate, że nie może już dłużej odkładać decyzji o przekazaniu kolumny innemu felietoniście.

- Bardzo chciałbym poczekać jeszcze trochę, Kate. Bardzo chciałbym wierzyć, że wrócisz do pisania. - Na młodzieńczej twarzy Firemana malował się szczery żal. - Lecz obydwójce wiemy, co się wydarzyło, i zdajemy sobie sprawę z tego, że zmieniłaś się tak bardzo, że nie dasz rady dalej pisać po staremu.

- Kim więc się stałam według ciebie? - zapytała Kate, nie czując przy tym ani urazy, ani smutku.

- Sądzę, że stałaś się kobietą, która nie do końca otrząsnęła się po przeżytych doświadczeniach, a która już wkrótce zostanie matką.

- Czy uważasz, że kiedykolwiek jeszcze wrócę do pisania?

- Nic cię przed tym nie powstrzyma - stwierdził Fireman. - Jak tylko uspokoją się hormony, a może nawet wcześniej. Któż to wie? Masz świetne pióro. I czas już na zmiany.

Po raz pierwszy wyrzucono ją z pracy w tak miły sposób.

Marie mieszkała z nią już wtedy od ponad miesiąca. Kate nie zgodziła się przyjąć od niej pieniędzy i Marie powiedziała, że czas, by ruszyła swoją drogą.

- Niekoniecznie - odrzekła Kate.

- Zostanę, jak długo będziesz chciała, ale po narodzinach dziecka zapewne będziesz wolała mieć przy sobie Bel albo nianię.

- Chyba nie - uznała.

Po świętach Martin Blake zaczął nalegać na spotkanie, by ustalić strategię procesową i nie bardzo miała czas myśleć o porodzie. Od lekarzy otrzymała jednak zapewnienie, że dziecko doskonale się rozwija.

- A pieniądze nie stanowią żadnego problemu - zapewniała przyjaciółkę.

Zabezpieczenie finansowe Kate stanowiła polisa na życie Roba i jego fundusz emerytalny. Ten aspekt samotnego życia nie przysparzał Kate kłopotów. Płaciła rachunki, prowadziła dom, ale każdy taki sukces przypominał jej boleśnie o poniesionej stracie, napawał coraz większym bólem i goryczą i osłabiał, zamiast dodawać sił.

Marie nie sprawiała kłopotów, sama o siebie dbała i starała się nie wchodzić Kate w drogę częściej, niż to było konieczne. Trzy razy w tygodniu jeździła do szkoły swoim nissanem przystosowanym do potrzeb niepełnosprawnej osoby, spotykała się z przyjaciółmi, doglądała prac przy remoncie spalonego mieszkania i konsekwentnie odmawiała przyjęcia jakiegokolwiek pomocy.

- Przyjąłś mnie pod swój dach i to wystarczy - tłumaczyła. - Nikt mi tak bardzo nie pomógł jak ty.

Idealna towarzyszka, ale Kate zaczęła się zastanawiać, czy nie miałyby więcej czasu na przygotowania do porodu i macierzyństwa, gdyby została sama przez pozostałe do rozwiązania tygodnie.

- Gdybyś chciała się już wyprowadzić, to nie oglądaj się na mnie - powiedziała do Marie między Gwiazdką a Nowym Rokiem. - Możesz to zrobić w każdej chwili. Teraz i tak nie mogę myśleć o niczym innym, jak tylko o tym cholernym procesie.

- Nie dziwi mnie to - odpowiedziała Marie. - Jeśli nie możesz już ze mną wytrzymać...

- To nie tak! - zaprzeczyła gwałtownie Kate. - Cieszę się, że tu mieszkasz.

- Skoro tak, zostanę, by pomóc ci przetrwać najgorszy czas, bez względu na to, jaki będzie wynik procesu.

Nikt prócz Martina Blake'a nie był z Kate dość szczery. Nie mówiono jej, że proces może się skończyć uniewinnieniem oskarżonych.

Po tak długim czasie od popełnienia zbrodni proces Much, jak nazywali go dziennikarze, zdawał się zmierzać do zaskakująco szybkiego końca. Rozprawę wyznaczono na jedenastego lutego. Prokuratura zastosowała rozwiązania prawne, które umożliwiły jednoczesne postawienie przed sądem wszystkich oskarżonych. Mimo tak obiecującego początku Kate i Martin Blake zdawali sobie sprawę, że bilans między dowodami a domysłami wypada na niekorzyść oskarżenia i wielu spraw nie da się dowieść ponad wszelką wątpliwość. Mogło się okazać, że podejrzani, kierowani przez domniemanego szefa, wraz z nieżyjącą już Carol Marsh nie zostaną uznani za winnych. Kate rozpoznała sprawców i jej zeznania wystarczyły, by postawić zarzuty, ale prawdopodobnie nie przetrwają one pod gradem bezwzględnych pytań obrony.

- Nie po to przechodziłam przez cały ten koszmar, by teraz tak mnie wkurzali w sądzie - skarżyła się Kate Martinowi Blake'owi.

- Nie wątpię - odpowiadał prawnik.

Oboje wiedzieli, że te słowa denerwują Kate jeszcze bardziej. Nadal brakowało niepodważalnych dowodów. Kilka egzemplarzy powieści znalezionych w domach każdego z podejrzanych niczego nie dowodziło. Niczego też nie dowodził fakt, że spędzili dzieciństwo w tym samym sierocińcu. Nawet zbieżność niektórych faktów ze śmiercią Mitchama, choć pomocna, nie stanowiła ważkiego argumentu. Udowodniono obecność w Caisleán tylko jednej osoby z kręgów przestępców, i to tylko dlatego, że tam zginęła. Otoczenie Kate, rodzice, Blake i Marie, wszyscy starali się podnieść ją na duchu.

- Prokurator nie zabierałby się do tej sprawy, gdyby nie wierzył w jej powołanie - zauważył Michael.

Powiedzmy, że to prawda.

- Tak sobie czasami myślę, że lepiej by było, aby ten proces w ogóle się nie odbył - powiedziała Kate do Marie pewnego styczniowego wieczoru.

- Pozwoliłabyś im żyć dalej bezkarnie? - Marie pokręciła siwą głową z niedowierzaniem. - Ja nie zdobyłabym się na tak wielkoduszny gest.

- To nie ma nic wspólnego z wielkodusznością - zaprzeczyła Kate. - Raczej z tchórzostwem. Nie chcę znów na nich patrzeć i przeżywać wszystkiego na nowo.

- I tak wiem, że jesteś wyjątkowo życzliwą osobą, skoro przyjąłś mnie pod swój dach.

To przekonanie Marie sprawiało, że Kate nie miała nic przeciwko wspólnemu mieszkaniu.

- Och, daj spokój. - Kate powtarzała Marie, że nie wini jej za śmierć Roba, ale te zapewnienia wzbudzały nieznośny ból i obawiała się, czy to nie będzie miało złego wpływu na dziecko. - Martwię się tylko, że Laurie nie otrzyma sprawiedliwości.

- Zatem to stanowi dla ciebie sedno sprawy? - zapytała Marie. - To, co stało się z Laurie Moon, a nie z tobą?

Kate poczuła przyływ zniecierpliwienia, bo pytanie wydało jej się głupie.

- Obie sprawy są ważne, lecz to Laurie nie żyje, a jej syn stracił matkę.

- Mnie się wydaje, że wcale jej nie miał.

- Przestań, proszę - zaprotestowała ostro Kate. - Przypuszczam, że Laurie za życia wiele wycierpiała. Biedactwo.

- Przepraszam. Chyba nasza rozmowa cię denerwuje.

- To dlatego, że ten temat wytrąca mnie z równowagi.

- Wiem, że nie znosisz, jak zrzedzę - usprawiedliwiała się Bel, stojąc następnego dnia w progu domu Kate z gotowym lunchem w torbie. - Cokolwiek powiesz,

jestem pewna, że nie odżywasz się właściwie i źle wyglądasz. Martwię się o ciebie.

Kate nie odpowiedziała, w obawie, by znów jej nie dopadł ponury nastrój.

- Czy nie sądzisz, że już czas, aby Marie się wyprowadziła? - ciągnęła matka. - Jej mieszkanie jest już niemal gotowe. Mogłabyś pomieszkać trochę ze mną, obiecuję, że nie będę się narzucać. Albo ja mogłabym zamieszkać u ciebie do rozwiązania.

- Poradzę sobie doskonale sama, gdy Marie się wyprowadzi - odpowiedziała z westchnieniem Kate. - Nie chciałabym wyjść na niewdzięcznicę, tym bardziej że ona chce dotrzymać mi towarzystwa aż do końca procesu.

- Nawet jeśli tak mówisz, to nie sądzę, abyś robiła jej przyjemność, kręcąc się wokół niej bez przerwy.

- Ona nie pozwala sobie pomagać - zaprotestowała Kate.

- Miałam na myśli twoje towarzystwo.

- Nie martw się o mnie - odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- Taka już rola matki - odparła Bel.

- Czy myślisz czasami o tej piątej osobie, o przywódcy? - Pytanie Marie zburzyło spokój Kate.

- Tak rzadko, jak tylko się da - odpowiedziała.

- Tak też przypuszczałam. Bo wiesz, to może być każdy.

- Dlatego unikam tego tematu - stwierdziła stanowczym głosem Kate.

- Tajemnicza historia, co? - ciągnęła niezrażona Marie. - Dlaczego tylko tych czworo brało udział w akcji?

- Rob uważał, że ten facet to tchórz - wyjaśniła zirytowana Kate.

- Mężczyzna? - zdziwiła się Marie.

- Rob tak twierdził.

- A jakie jest twoje zdanie?

- Ja w ogóle nie chcę się nad tym zastanawiać - odpowiedziała Kate. - Już ci to mówiłam.

- Wolisz, żebym się zamknęła - stwierdziła Marie z zadowoleniem.

- Owszem. Zdecydowanie.

- W porządku. Już milczę.

Kate czuła, że powinna poprosić Marie, aby się wyprowadziła. Pytania o lidera grupy przestępców wydawały się z założenia prowokacyjne i zdziwiły Kate, która nie mogła pogodzić ich z łączącą je obie przyjaźnią. Po stracie Boba potrzebowała spokojnej, wyważonej życzliwości. Ale dręczyło ją coś jeszcze. Coś, co wydarzyło się jakiś czas temu, i o czym nie wspomniała ani Bel, ani Michaelowi, ponieważ bardzo starała się zapomnieć o tej sprawie.

Pojechała na cmentarz zawieźć Robowi bukiet białych róż i ze zdumieniem zastała Marie siedzącą w inwalidzkim wózku niedaleko jego grobu. Kobieta płakała.

- Wybacz - powiedziała, szybko ocierając łzy. - Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Oczywiście - skłamała Kate, bo w rzeczywistości była niemile zaskoczona.

- To dlatego, że czuję się winna - wyjaśniła tamta.

I Kate jej uwierzyła. Jednak widok Marie pogrążonej we łzach nad grobem Roba dał Kate do myślenia. Czyżby podkochiwała się w jej mężu? Różnica wieku nie musiała stanowić przecież przeszkody. Rob był atrakcyjnym mężczyzną i bardzo lubił swoją koleżankę. Kate nie miała wątpliwości, że ze strony Roba była to tylko życzliwość, ale Marie... W takim wypadku jej obecność tutaj byłaby wielce żałosna. I trochę przerażająca.

* * *

Ósmego stycznia zatelefonował Martin Blake z przełomowymi wieściami.

- Jakiś czas temu odnaleziono samochód Laurie - powiedział.

- Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?

- Dlatego, że sam dopiero teraz się dowiedziałem. Jest coś jeszcze.

Kate czekała w napięciu, wstrzymując oddech.

- Kierowca, który odprowadził samochód Laurie do kryjówki, nie był tak dokładny, jak bandyci w Caisleán. W aucie znaleziono DNA Carol Marsh. - Kate nadal milczała, więc Blake kontynuował: - Co dowodzi, że przynajmniej Simon brała udział w porwaniu Laurie.

- Ale to nie pomoże skazać pozostałych - zauważyła cierpko.

- Kate, musisz uzbroić się w cierpliwość.

Trzy dni później zjawił się nieproszony gość. Przyjechała Sandi West. Tylko jej jeszcze brakowało Kate, ledwo żywej po upiornej nocy, wypełnionej koszmarnymi snami, z których zapamiętała, jak siedzi związana w wannie w Caisleán i karmi piersią gigantycznego noworodka.

- Przyjechałam właśnie teraz, bo wiem, że Mary jest w szkole.

Kate nie miała wyjścia i zaprosiła Sandi na filiżankę kawy.

- Nie rób sobie kłopotu.

- To żaden kłopot.

- No tak - powiedziała Sandi. - Dziękuję, ale się nie napiję.

Kate zauważyła, że kalectwo sprawiało Sandi coraz więcej kłopotów. Poruszała się o dwóch laskach i z trudem dotarła do jednego z foteli w salonie.

- Przyjechałam, ponieważ muszę ci o czymś powiedzieć - zaczęła, sadwiąc się wygodnie.

- Słucham - odpowiedziała Kate, siadając na kanapie przykrytej zakardową narzutą, którą kupili z Robem w trakcie krótkiego okresu szczęścia.

- Usiłowałam porozmawiać o tym z Bel, ale ona mnie nie słucha. Przez wzgląd na ciebie doskonale to rozumiem. Muszę ci jednak powiedzieć coś ważnego.

Kate była już zmęczona, dziecko od rana niemiłosiernie ją kopało.

- Sprawa dotyczy Mary.

- Ona ma na imię Marie - poprawiła ją Kate. - O co chodzi?

- Wiem, że tu mieszka. To nie moja sprawa. Ale chciałabym, żebyś wiedziała, że ona zawsze bardzo się tobą interesowała.

- Czy to źle? - zapytała Kate.

- Mnie się to wydaje dziwne - odpowiedziała Sandi. - Mówię o czasach, na długo zanim się poznałyście. Wtedy Bel chodziła ze mną na spotkania grupy, a Mary zawsze wybierała osoby, które ją szczególnie ciekawiły. Jeśli chodzi o ciebie, to wyciągała ze mnie mnóstwo informacji.

Przez chwilę Kate słuchała z zainteresowaniem, ale przypomniała sobie, jak Sandi zaatakowała ją na spotkaniu grupy terapeutycznej i jak Marie ucięła jej niewłaściwe pytania. A Sandi zdecydowanie nie należała do kobiet, które puszczałyby płazem takie zachowania.

- Uważam, że przesadzasz.

- Nie sądzę - zaprzeczyła Sandi. - Długo o tym myślałam. Wiem, że się ze sobą nie dogadujemy i pewnie myślisz, że opowiadam bzdury. Ale biorąc pod uwagę, co ci okropni ludzie mówili o twoim utraconym dziecku, zanim zabili Laurie Moon...

- Sandi, nie wolno mi rozmawiać o sprawie.

- Ja nie chcę z tobą o tym rozmawiać. Mówię ci tylko, że Mary Coates była niezwykle zainteresowana twoim poronieniem...

- Na miłość boską - Kate wstała, drżąc z gniewu i osłaniając dłonią wielki brzuch. - Idź już sobie.

- Mary zadawała pytania niby od niechcienia, ale i tak nie potrafiła ukryć ciekawości - ciągnęła niezrażona Sandi. - Twoja matka opowiadała o swoich problemach grupie, a w tamtym okresie ty stanowiłaś jej największe zmartwienie.

- Chcę, żebyś już sobie poszła.

- Dobrze, ale...

- Idź już.

- Tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Przed czym ostrzegała ją Sandi? Jeżeli cokolwiek z tego, o czym mówiła, było prawdą, to co sugerowała? Że Marie może być inna, niż się wydaje? Przecież to nie jest żadne poważne oskarżenie. Poza tym kalectwo czasami powoduje niezdrowe zaciekawienie życiem innych osób. Marie to aktywna kobieta i chociaż po wypadku Roba nie chciała wrócić do hipoterapii dla dzieci, nadal przez trzy dni w tygodniu pracowała w szkole. Trudno sobie wyobrazić, że miałyby żyć porażkami i sukcesami obcych ludzi.

Przyszła jej do głowy jeszcze jedna, nedorzeczna myśl. Czy Sandi nie zwracała jej uwagi na coś innego? Że Mary, jak ją nieustannie nazywała, miała jakiś związek z bandą? Że może być piątym jej członkiem? Szefem?

To niewiarygodne! Chociaż, zastanawiała się dalej, już raz wpadł jej do głowy taki nedorzeczny pomysł, gdy za wszelką cenę starała się jakoś połączyć przyjaciółkę matki ze sprawą Caisleán. Wtedy Kate poruszyło stwierdzenie tamtej o zbyt wielu szefach. Sandi wypowiedziała owo zdanie zaraz po tym, jak prowadząca spotkanie Marie zmieniła temat dyskusji, chcąc uwolnić Kate od ataku. Z tego wniossek, dedukowała Kate, że przyjaciółka jej matki po prostu lubi się

awanturować. A Marie, choć czasami irytująca, jest całkowicie niewinna i nieszkodliwa.

Owszem, może nawet kochała się w jej mężu.

Do tego mieszkała teraz w jego domu tylko z powodu łączącej ich za życia przyjaźni.

I z uwagi na jego śmierć.

A do tego, tylko Marie była przy Robie podczas jego śmiertelnego wypadku.

Kate poczuła kolejne kopnięcia, jakby córeczka dawał jej znak.

Czy to możliwe, że Marie próbowała zbliżyć się tamtego dnia do Roba, a on ją odrzucił? Kate przywołała w myślach scenę z cmentarza.

Jeżeli z Marie coś jest nie w porządku, to na pewno nie ma to nic wspólnego z wydarzeniami w Caisleán. Kate zrozumiała, że dla tej kobiety liczył się tylko Rob, a o reszcie powinna zapomnieć. Także o jego nagłej śmierci. I o tym, że właśnie Marie była przyczyną tragedii.

* * *

Dwa dni później Sandi znów przyjechała, gdy Marie była w szkole. Kate dostrzegła ją, gdy parkowała wiekowego morrissa na podjeździe. Od razu zamknęła się w domu, odsunęła od okna i wyłączyła muzykę. Miała za sobą kolejną męczącą noc wypełnioną koszmarami o dzieciach, które wyskrobywano z brzuchów matek kuchennymi nożami. Nie odpowiedziała na dzwonek do drzwi. Sandi zadzwoniła trzy razy i zawołała:

- Wiem, że tam jesteś! - Wyglądała na zdesperowaną. - Nie możesz wiecznie przede mną uciekać! - W jej głosie brzmiała wojownicza nuta. - Zabrałaś mi moją najlepszą przyjaciółkę! - I dodała agresywnie: - Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że nigdy ci tego nie wybaczę!

- Czy dobrze się czujesz? - zapytała wieczorem Marie. Kate przygotowała kolację, ale prawie jej nie tknęła.

- Jak najbardziej.

- Jeśli coś jest nie tak, nie musisz udawać.

- Nie mogłabym ze względu na dziecko.

- Zadbaj też o siebie - powiedziała Marie. - Przecież będziesz dla maleństwa matką i ojcem.

- Dzięki, że mi przypomniałaś.

Następnego ranka przy herbacie Marie wróciła do tematu.

- Zachowałam się nietaktownie, przepraszam.

- W porządku - odpowiedziała Kate. - Zapomnijmy o tym.

- Wiem, że trochę ci przeszkadzam.

- Tego bym nie powiedziała.

- Pewnie, bo jesteś uprzejma - pochwaliła ją Marie.

- Nie zawsze - odparła zażenowana Kate.

Potem postawiła na stole dwa kubki. Marie podjechała wózkiem. Kate wróciła po grzanki i masło. Wrzuciła do tosterka jeszcze dwie kromki. Tego jej współmieszkanka nie mogła zrobić sama. W swoim mieszkaniu miała sprzęty dostosowane do potrzeb osoby niepełnosprawnej.

- Zastanawiałam się nad czymś - zaczęła Marie. - Wiem, że nie lubisz o tym mówić, ale chciałabym cię o coś zapytać.

- O co chodzi?

- Wiem, że gdybym była na twoim miejscu, nigdy nie pozwoliłabym kobiecie, która spowodowała śmierć mojego męża...

- Przestań - poprosiła Kate, czując zaciskający się żołądek.

- Wysłuchaj mnie, proszę. - Marie zauważyła, że Kate kręci głową i się odwraca. - Pomyślałam tylko, czy to coś by pomogło, gdybym pokazała ci miejsce, w którym Rob spadł z konia.

Kate nie jeździła do Ridgeway Path od śmierci męża. Teraz wyobraziła sobie nagle, że oto niepełnosprawna Marie wstaje z wózka i spycha ją w przepaść z Lambsmoor Hill.

- Myślę, że to dobry pomysł - powiedziała, chcąc odpędzić makabryczne przypuszczenie.

Postanowiły jechać samochodem Marie, dzięki czemu dojechały dalej niż autem bez plakietki osoby niepełnosprawnej. Podskakując na wybojach, dotarły do połowy wzgórza, najbliższej miejsca tragedii, jak tylko było można. Kate wysiadła i stanęła w oczekiwaniu. Marie z trudem, lecz samodzielnie przesiadała się z samochodu na wózek.

- Chciałabym ci pomóc - zaproponowała.

- Wolę to zrobić sama - odpowiedziała Marie, oddychając ciężko na zimnym powietrzu.

- Wiem.

Nie ulegało wątpliwości, że to wyjątkowa kobieta. Rob miał rację.

Przepiękne miejsce na dokonanie żywota, pomyślała Kate, stojąc przy ścieżce prowadzącej na szczyt wzgórza. Zimny, styczniowy wiatr dmuchał jej w twarz. Caisleán było niedaleko stąd, jednak Kate zachowała spokój, nie poddawała się, mimo że przygniatała ją świadomość tego, co się tutaj stało.

Podniosła wzrok i popatrzyła na ponury, zanurzony w zimowym krajobrazie wierzchołek. Akurat zaczął padać śnieg z deszczem, smagając jej policzki i wpadając do oczu. Kate czekała, ale nie bardzo wiedziała na co. Dziecko kopało ją energicznie, jakby starało się przywołać matkę do porządku, przypomnieć, że ma dla kogo żyć.

- Nie mogę iść z tobą na samą górę - powiedziała Marie. - Wtedy jechałam konno.

- Oczywiście - odrzekła Kate.

Marie podniosła ramię i palcem wskazała miejsce.

- To tam.

Kate wspięła się na szczyt i stanęła pod ogołoconą z liści brzozą, kołyszącą się na wietrze. Zamknęła oczy.

Kobieta na wózku tkwiąca niżej na zboczu nie ruszyła się z miejsca.

Kate wyobraziła sobie, jak Rob spada z konia, a zwierzę, upadając, miażdży jego ciało. Zapewniano, że stało się to bardzo szybko i wzięła to za pewnik. Chciała wierzyć, że Rob odszedł cicho i bez bólu, zapewne bojąc się bardziej o konia niż o siebie. Od tamtej chwili wołała myśleć o odejściu męża jak o czymś niewiele tylko różniącym się od separacji. O czymś, co da się wytrzymać.

Lecz tu, na wzgórzu, wszystko się zmieniło.

Fizycznie odczuła śmierć męża. Już wiedziała, że wcale nie była lekka. Robert konał w męczarniach, czując ból miażdżonych żeber, pękających kości, rozerwanych płuc. Odchodził w pełni świadomy tego, co się dzieje.

Kate to czuła.

I wtedy zaczęła krzyczeć.

Opowiadano jej później, że Marie przywlokła ją ze wzgórza do samochodu. Wydawało się to niemożliwe, choć kobieta była niezwykle silna i tak zdesperowana, że naderwała sobie mięśnie ramienia i nadwreżyła plecy. Pomimo bólu ratowała Kate, jak tylko mogła. Bez pomocy Marie Coates Kate urodziłaby swoją córeczkę na zimnym, wietrznym wzgórzu, gdzie dziecko nie miałoby żadnych szans na przeżycie.

W szpitalu Great Western w Swindon na oddziale intensywnej terapii noworodków leżała w inkubatorze Roberta Turner, zwana przez najbliższych Bobbie.

Urodzona rankiem piętnastego stycznia dziewczynka wymachiwała nóżkami, jadła, brudziła pieluchy i spała. A jej matka wiedziała, że mała radzi sobie doskonale.

Miała zaledwie trzydzieści jeden tygodni i była przerażająco wątła. Kate za zgodą lekarzy przyglądała się swej ciemnowłosej, delikatnej córeczce tak często, jak tylko mogła i rosła w niej miłość, której do tej pory nie знаła.

Była tak silnie związana z córeczką. W cudowny sposób wypełniała ją miłość i rozlewała się dookoła, sprawiając, że Kate jednocześnie czuła się bezgranicznie szczęśliwa i przerażona. Lekarze obawiali się, że po wstrząsie przeżytym na szczycie Lambsmoor Hill wpadnie w głęboką depresję i odizoluje się od reszty świata. Szczęściem, narodziny dziecka zapobiegły temu.

A maleństwo zadbało o całą resztę.

Kate nie potrafiła wyrazić Marie swojej wdzięczności.

- Żałuję, że tam pojechałyśmy - powiedziała Marie.

- Musiałam - odparła Kate. - Musiałam spróbować.

- Nie powinnam cię tam zabierać - upierała się tamta.

- Ależ tak! Musiałam tam pójść i wszystko to poczuć. Rodzice mieli mieszane uczucia co do owej wycieczki, ale żywili głęboką wdzięczność dla kobiety, która uratowała ich córkę i wnuczkę.

- Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni - powiedział Michael.

- To prawda - wtórowała mu Bel.

- Każdy zrobiłby to samo na moim miejscu - odrzekła skromnie Marie.

- Nie mogę sobie wyobrazić, ile wysiłku cię to kosztowało - kontynuował.

- Najważniejsze, że obie są już bezpieczne. Tylko to się teraz liczy - dodała Bel.

Umarła Sandi West.

Bel dowiedziała się o tym od jednego z uczestników spotkań terapeutycznych, w trzy dni po wyjściu Kate ze szpitala. Niestety Bobbie musiała tam jeszcze zostać, przeciwko czemu protestowało serce młodej matki.

-Przedawkowała - mówiła Bel z wyraźnym smutkiem. -Tydzień temu, a ja nawet o tym nie wiedziałam.

Michael odnosił się do niej bardzo delikatnie. Nawet Delia, widząc, jak była żona Michaela nagle się postarzała, starała się ją pocieszyć:

- Wiem, że się poróżniłyście, ale to wcale nie ułatwia sprawy, prawda? - Michael spiorunował ją wzrokiem. - Przepraszam, nie chciałam być nietaktowna.

- Przecież nie chciałaś - powiedziała Bel. - Już w porządku.

- Czy widywałaś ją jeszcze na spotkaniach grupy? - pytał Michael.

- Sandi przestała przychodzić już jakiś czas temu - wyjaśniła Bel. I dodała w myślach, że to z jej winy, z powodu zerwania znajomości, skrytykowania Sandi na zajęciach przed wszystkimi i całkowitego jej odtrącenia.

- Nie wpuściłam Sandi do domu, kiedy przyszła ostatnim razem - zwierzyła się Kate Marie po usłyszeniu smutnej wiadomości.

Nie powtórzyła ani matce, ani Marie, co wtedy mówiła jej Sandi. Nawet nie miała zamiaru nikomu opowiadać, że tamta tu była, ale te słowa same wyszły z jej ust.

- Zapewne miałaś swoje powody - uspokajała ją Marie.

- Wiedziała, że jestem w domu, a ja się przed nią chowałam.

Poczucie winy nie dawało jej spokoju, tak samo jak nie dawało spokoju Bel.

- Najlepiej zrobisz, jeśli weźmiesz mamę i pójdziecie odwiedzić twoją śliczną, małą córeczkę - poradziła jej Marie.

Kate wiedziała, że przyjaciółka miała rację. Otarła łzy i skierowała się do drzwi.

* * *

Pierwszego lutego, trzy dni po przywiezieniu Bobbie ze szpitala do domu, Kate odebrała telefon od Martina Blake'a. W domu panował chaos, smutek mieszał się ze szczęściem.

- Musimy się spotkać - powiedział adwokat.

- Co się stało? - zapytała Kate.

- To nie jest rozmowa na telefon.

Przyjechał do domu Kate i zdziwił się, zobaczywszy Marie. Kate postanowiła, że nie będzie miała tajemnic przed kobietą, która uratowała życie jej córeczki, i powiedziała:

- Możesz mówić bez ogródek.

- Nie będzie procesu - poinformował ją Martin. Te proste i zaskakujące słowa poraziły Kate.

- Dlaczego? - zapytała Marie, wyręczając ją.

- Powiedziano mi, że ślady z samochodu Laurie Moon zostały zanieczyszczone.

- Jak to się mogło stać? - Zdumiona Kate nie wierzyła własnym uszom.

- Nie znam szczegółów - odpowiedział zdenerwowany prawnik, - Cynk z biura Helen Newton. Wiem, że będzie do ciebie dzwonić, ale sama jest tak zawiedziona, że musi trochę odczekać.

- I to wystarczy, by wstrzymać całe postępowanie? - dopytywała się Marie.

- Jeszcze mieli wątpliwości co do przeprowadzonej przez Kate identyfikacji - dorzucił Blake.

- To oburzające! - wykrzyknęła Marie. - A co z biedną rodziną Laurie?

Kate usiadła, czując, jak nagle odpływa cała jej energia. Po chwili powiedziała spokojnie:

- Zawsze zdawaliśmy sobie sprawę z takiej możliwości. Przecież minęło tyle czasu.

- Mimo to rozpoznałaś ich - dowodził Blake. - I nikt tego nie kwestionował.

- To tchórzostwo! - prychnęła pogardliwie Marie. - Prokuratura nawet nie próbowała walczyć.

- Obawiają się, że ktoś ich oskarży o stawianie bezpodstawnych zarzutów.

Znów zapadła cisza, którą dopiero po dłuższej chwili przerwała Kate.

- Czy to oznacza, że przestępcy zostaną wypuszczeni na wolność? - zapytała cicho.

Czuła się niemal spokojna, ale zdawała sobie sprawę, jak złudne to było uczucie. Na policzkach Martina Blake'a wykwitł delikatny rumieniec.

- Wszyscy, oczywiście prócz Wilsona. Tak mi przykro. No tak. Przynajmniej Jack odsiedzi swoje za czyn popełniony, zanim go rozpoznała.

* * *

Kate zaproponowała Blake'owi, by został na lunchu. Starła się opanować emocje, postanawiając przelać wszystkie swoje uczucia na malutką córeczkę. Prawnik podziękował za jedzenie, ale został jeszcze przez chwilę. Niepokoił się o Kate. Zachwycał się Bobbie i głośno dawał wyraz swemu podziwowi.

- Cieszę się, że zajęła się pani Kate - szepnął do Marie tuż przed wyjściem.

- Zostanę tu tak długo, jak ona tego zechce - odpowiedziała Marie.

Następnego dnia Michael poszedł na policję porozmawiać z Helen Newton.

- Skąd możemy mieć pewność, że Booth i Frost nie będą chcieli się zemścić na Kate? - zapytał.

- Nie możemy mieć takiej pewności - przyznała.

- Czy można przydzielić Kate ochronę?

- Robię, co w mojej mocy.

- To znaczy, co? - dopytywał się nieustępliwie Michael. - Jakiś patrol z rzadka przejeżdżający w okolicy jej domu?

- Zorganizuję wizytę doradczą na temat bezpieczeństwa

- odparła uprzejmie pani inspektor, wykazując zrozumienie dla ojcowskiej troski.

- Kate już zainstalowała alarm - przypomniał jej Michael. - Załatwili to z Robem po drugim włamaniu, jakiego do ich domu dokonał Wilson.

- Zapewniam pana, że robimy, co tylko w naszej mocy - powtórzyła Helen Newton.

- I będzie ich pani miała na oku? - zapytał Michael. Po czym dodał konfiden-
cjonalnie: - Tylko między nami.

- Jeśli tak, to może pan na mnie liczyć - odpowiedziała Newton.

RALPH

Ralph zatelefonowała najpierw do Roger. Marzyła o tym od dawna, ale nie śmiała żywić nadziei, że uda jej się jeszcze porozmawiać z dwojgiem dzieci, które wyszły na wolność.

- Co u ciebie słyhać? - zadała beznadziejnie prozaiczne pytanie, ale przecież będą teraz mieli mnóstwo czasu na długie rozmowy.

- Coraz lepiej - odpowiedziała Roger napiętym, choć jak zawsze pięknym głosem.

- Musiało być ci bardzo źle?

- A żebyś wiedziała.

Ralph zapytała, czy Roger jest sama w domu. Miała nadzieję, że towarzystwo usprawiedliwi chłód odpowiedzi.

- Jestem sama - odrzekła Roger.

- Kiedy możemy się spotkać? - zapytała Ralph. Ni stąd, ni zowąd ogarnęły ją złe przeczucia.

- Nie wiem. Musimy zachować ostrożność.

- Oczywiście - przytaknęła skwapliwie. - Miałam nadzieję, że jak wszystko się uspokoi, moglibyśmy urządzić sobie spotkanie w Smithy, jak za dawnych czasów.

- Nie wszyscy będą mogli przyjść - zauważyła Roger.

- Wiem, ale mimo to, kiedy już okoliczności na to pozwolą, takie spotkanie byłoby wspaniałe.

- Nie jestem wcale przekonana, czy okoliczności kiedykolwiek na to pozwolą.

Ralph wystukała numer telefonu Prosiaczka.

- Wybrany numer jest nieprawidłowy - oznajmił automat.

Spróbowała jeszcze raz i usłyszała tę samą wiadomość. Zadzwoiła do Roger. Odezwała się automatyczna sekretarka.

- Dodzwoniłeś się do Karen Frost. Nie mogę teraz odebrać telefonu, ale jeśli dzwonicz w sprawie pracy, zostaw numer, oddzwonię tak szybko, jak to będzie możliwe.

Ralph zawahała się przez chwilę. Zdawała sobie sprawę, że telefon Roger może być na podsłuchu. Zastanawiała się też, czy podczas ostatniej rozmowy nie powiedziała za dużo.

- To ja - odezwała się wreszcie. - Oddzwoń, proszę, na moją komórkę.

Czekała całą dobę, ale nikt się nie odezwał. Spróbowała więc jeszcze raz dozwonić się do obojga. Prosiaczek okazał się znów nieosiągalny. Zostawiła drugą wiadomość na sekretarce telefonu Roger. Ale dziewczyna nie oddzwoniła.

KATE

Czternastego lutego Martin Blake zatelefonował do Michaela. Powiedział, że Wilson wystąpił z apelacją od wyroku. Jego obrońca utrzymuje, że proces o pobicie przebiegał pod znacznym wpływem publikacji o Muchach i sprawiedliwy osąd został zaburzony.

- Czy ma szansę wygrać? - zaniepokoił się Michael.

- Wiesz doskonale, że tak - odpowiedział Blake. - Przecież tamten facet napadł go pierwszy, i to w dodatku z kijem w rękę.

- Kate chyba nie powinna o tym wiedzieć.

- Rodzice Laurie Moon zdenerwowali się, usłyszawszy o tych skażonych próbkach DNA, i zapowiadają pozew cywilny - dorzucił Blake. - Prędzej czy później Kate i tak się o wszystkim dowie. Lepiej, żeby dowiedziała się od ciebie.

- Niech tego Wilsona szlag trafi! - zezłościł się Michael.

- Zastanawialiśmy się z Delią, czy nie powinnaś przez jakiś czas zamieszkać z Bobbie u nas - zaproponował Michael kilka dni po przekazaniu Kate nowin o Wilsonie.

Kate najpierw parsknęła śmiechem, a potem nagle spoważniała.

- Przepraszam cię tato, naprawdę mi przykro. Michael przychodził teraz często pomagać przy kąpieli Bobbie. Lecz nawet wtedy, gdy trzymał w objęciach bezpiecznie owiniętą w ręcznik dziewczynkę, nie mógł pozbyć się wrażenia, że potworne zło zostało wypuszczone na wolność i nieubłagane zaciska złowrogi krąg wokół jego córki i wnuczki.

- Jeśli uważasz, że Delia nie jest temu pomysłowi przychylna, to się mylisz - argumentował, gdy przeszli do kuchni, a Kate przygotowała mu kawę.

- To miłe z jej strony - odpowiedziała. - Dziękuję wam obojgu, ale to się przecież nie uda.

Świadomość tego sprawiła, że Kate nie wiedziała już, czy ma się śmiać, czy też może płakać z żalu.

- Jeśli uważasz, że mamy za mało miejsca, możemy się przeprowadzić.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry, tato - odrzekła Kate. - Nie chodzi o przestrzeń, sam to wiesz. Nie chcę się zmienić w odpychającą zdzirę, nie teraz.

Kate miała rację. Zauważyła, że Delia dba o Bobbie i bardzo taktownie mówi o Robie, co bardzo ją cieszyło.

- Wiesz, że Bel także chciałaby bardzo, żebyś z nią zamieszkała. - Michael tak łatwo nie dawał za wygraną.

Kate podała ojcu kubek z kawą i oboje usiedli przy stole.

- Nie chciałabym zepsuć sobie stosunków z mamą. Świetnie się między nami teraz układa. Nie zniosłabym zmiany na gorsze, a to z pewnością by się stało, gdybyśmy zamieszkały razem. I nie musisz mówić, że to tylko na jakiś czas. Oboje wiemy, że chodzi o nich, o przestępców, którzy wyszli na wolność, a to zmienia wszystko.

- Przykro mi, że nie chcesz wziąć pod uwagę żadnej z tych propozycji - powiedział ojciec.

- Tato, nie martw się tak. Wszystko przemyślałam i nie zapominaj, że przecież nie mieszkam sama - zwróciła mu uwagę Kate.

Niemowlę i kobieta na wózku inwalidzkim.

- Żadna to dla mnie pociecha, przecież nie możesz liczyć na ich pomoc.

- Mama też by mi nie pomogła, gdyby coś się stało. W końcu Michael zrozumiał.

- A poza tym, nie wiadomo, czy Wilson wygra apelację. Od czasu do czasu wracały do niej jego słowa: „Żałuję, że nie mogę cię zabić, tu i teraz”. Michael wypił łyk kawy.

- Czy zainstalowałaś przycisk alarmowy?

- Tak, zrobiłam to w zeszłym tygodniu. - Kate pogładziła go po dłoni. - Musicie z mamą przestać nieustannie się o nas martwić.

- Wcale się nie martwimy.

Kate patrzyła na ojca przez chwilę, po czym zapytała:

- Tato, o co jeszcze ci chodzi?

- O Marie. Czy ona wyszła z domu?

- Jest na spotkaniu - przytaknęła Kate.

- Wiesz doskonale, jak jesteśmy jej wdzięczni za uratowanie Bobbie i ciebie, prawda?

- Ale?

- Zanim urodziła się Bobbie, matce i mnie wydawało się, że nie chciałaś, żeby została u ciebie dłużej - ciągnął Michael.

- To było dawno - wyjaśniła Kate. - Cięża i cała reszta sprawiały, że byłam drażliwa. Teraz wszystko się zmieniło. - Uśmiechnęła się. - I miło jest mieć kogoś obok siebie, przynajmniej przez jakiś czas.

- Mogłabyś zatrudnić nianię - podsunął Michael.

- Nie chcę, żeby ktoś inny zajmował się Bobbie.

- Albo lokatora - naciskał ojciec.

- Mam już lokatorkę, która upiera się, że chce płacić czynsz i która, jak się зда- je, zaczyna być moją najlepszą przyjaciółką.

DZIECI RALPH

Spotkali się w Wayland's Smithy w połowie maja. Zostało ich tylko troje. Pogoda była wietrzna, ale sucha, miejsce spotkania wypełniały wspomnienia. I duchy.

- Przywieźliśmy szampana - powiedziała Roger.

- Cudownie - ucieszył się Prosiaczek.

- I to dobrego szampana - dorzucił Jack. Roger wyjęła butelkę i trzy plastikowe kieliszki do szampana z torby termicznej.

- Dzięki - powiedział Prosiaczek i dodał: - Ciągłe czuję się podle z powodu Ralph.

- Ja też myślałem, że będę się podle czuł, ale tak nie jest - odpowiedział Jack.

- Musimy spojrzeć prawdzie w oczy - odezwała się Roger. - Gdyby nas zamknęli, byłaby to tylko jej wina.

- Od samego początku - zgodził się z nią Jack.

- No, nie wiem - oponował nieśmiało Prosiaczek.

- Ależ z ciebie cholerny mięczak - dokuczał mu Jack.

- Nic na to nie poradzę.

Roger otworzyła butelkę i nie roniąc ani kropli, rozlała szampana do kieliszków.

- Czas na toast. Za wolność - zaproponowała. - I za Simon - dodał Prosiaczek.

- Za Simon - powtórzył Jack. Wszyscy troje wypili do dna.

- Byłaby tu teraz z nami. Wszystko przez głupi plan szefowej - zauważył Prosiaczek.

- Tu cię mam - roześmiał się Jack. Roger znów napełniła kieliszki. - Mam nadzieję, że już tak za nią nie tęsknisz?

- Już nie tak bardzo - przyznał Prosiaczek.

- A zatem, kiedy znów zagramy? - zapytała Roger.

- Nie mam pojęcia, jak miałyby to wyglądać bez przywódcy - powiedział Prosiaczek.

- Będzie przywódca, nie pamiętasz? - zwróciła mu uwagę Roger.

- Masz na myśli, że będzie tak jak w książce? - upewnił się Prosiaczek.

W książce Jack przejął władzę i zajął miejsce Ralpa jako przywódca dzieci.

- Właśnie tak.

- Sądę, że przez jakiś czas musimy zachować szczególną ostrożność - powiedział Jack.

- Masz rację - poparła go Roger.

Siedzieli w kurhanie, delektując się szampanem.

KATE

W ciepłe, letnie popołudnie Kate wyglądała przez kuchenne okno i patrzyła na Marie, która siedziała w swoim wózku obok dziecięcego kojca. Bobbie leżała na kocyku i radośnie wymachiwała nóżkami. Kate była zadowolona, ale patrząc na tryskającą zdrowiem córeczkę, zdała sobie sprawę, że nadal tęskni za Robem.

Brudnopis biografii Claude'a Duvala był już w połowie gotowy. Nowy, londyński wydawca zawiadomił Kate, że chciałby zobaczyć gotowy tekst w całości.

Bel zaczęła się spotykać z architektem krajobrazu, Davidem Milesem. Wszyscy go lubili. Matka pierwszy raz od wielu lat wyglądała na szczęśliwą.

Michael i Delia postanowili się pobrać. Kate do tej pory nie wyobrażała sobie, że taka wiadomość może jej sprawić tyle radości. Pomyślała, że Rob byłby z niej dumny.

Nigdy nie jest zbyt późno, by dojrzeć, pomyślała. I wierzyła, że zawdzięcza to swej córeczce.

Kate patrzyła na Marie, swoją mądrą i roztrofną przyjaciółkę. Zastanawiała się, czy Marie kiedykolwiek zechce ją opuścić, i jak się wtedy będzie czuła. I jak to będzie, jeśli nigdy nie zechce jej opuścić. Na razie wszystko było bardzo dobrze. To i tak więcej, niż mogłaby sobie wymarzyć.

RALPH

Ralph siedziała w ogrodzie Bestii. Wokoło było słycać i czuło się letnie zamieszanie w przyrodzie. Dziecko bawiło się obok w kojcu. Ralph myślała o swoich utraconych na zawsze dzieciach. Wiedziała, że nigdy ich już nie zobaczy. To wszystko przez nią, przez Bestię.

Myślała o nich przez cały czas, zastanawiała się, czy kiedykolwiek jej wybaczą, czy zaczną same prowadzić grę. A może już zaczęły?

Jeśli chodzi o nią, to zrobiła, co do niej należało. Kontynuowała grę samotnie, na własną rękę, bardzo ostrożnie i powoli.

Najpierw mąż Kate.

Potem pożar.

Poszcęściło się jej też ze śmiercią Sandi West. W tym wypadku nawet nie musiała interweniować ani niczego planować. Nie miała takiego szczęścia wcześniej, gdy grała ze swoimi dziećmi. Dziećmi, które jej odebrano.

Ralph popatrzyła w stronę domu i zobaczyła ją w kuchni, jak przygotowuje herbatę.

W kojcu machała małutkimi nóżkami i uśmiechała się do niej brązowowłosa, niebieskooka mała dziewczynka.

Bestia całkowicie ufała Ralph. Także jeśli chodziło o dziecko.

Zatem Ralph nie musiała się spieszyć. Poczeka tak długo, jak długo będzie trzeba. Ma mnóstwo czasu. Dokładnie zaplanuje całą grę. Najlepszą i najważniejszą grę na świecie. Macierzyństwo.